

Z nowego
świata

Spis treści

| | |
|-------------------------|------------|
| Rozdział 1 | 4 |
| Rozdział 2 | 21 |
| Rozdział 3 | 39 |
| Rozdział 4 | 60 |
| Rozdział 5 | 83 |
| Rozdział 6 | 109 |
| Rozdział 7 | 136 |

Autor przekładu z nieoficjalnego tłumaczenia angielskiego na język polski: Jovex
Korekta: Eqeminiv

Wszelkie prawa autorskie do powieści 新世界より (Z Nowego Świata) należą do Yusuke Kishi.

Ten dokument jest fanowskim tłumaczeniem, nieautoryzowanym przez posiadacza praw autorskich.

Autor tłumaczenia nie rości sobie jakichkolwiek praw do treści powieści.

Autor przekładu nie wyraża zgody na umieszczanie tego tłumaczenia na stronach innych niż znowegoswiatapl.wordpress.com, helheim.pl oraz centrum-mangi.pl

W razie pojawienia się tłumaczenia oficjalnego dokument ten zostanie natychmiastowo usunięty z Sieci.

Część I: Sezon młodych liści

Rozdział 1

Późnymi nocami, gdy świat pogrąża się w ciszy, zanurzam się w fotelu i zamykam oczy. Obraz, który wtedy widzę zawsze jest taki sam; wizja na stałe wyryta w mojej pamięci.

Ciemność. Ogień płonący nad ołtarzem na tyłach świątyni. Buchające z niego niczym pomarańczowe płatki śniegu iskry, zakłócające cichy dźwięk monotonnego śpiewu dobiegającego głęboko spod ziemi.

Zawsze zastanawiam się, dlaczego widzę właśnie tę scenę.

Od tamtej nocy minęły już dwadzieścia trzy lata. Właśnie wtedy, kiedy byłam dwunastoletnią dziewczynką, miał miejsce początek wielu wydarzeń - tak smutnych i przerażających jak tylko można sobie wyobrazić; wydarzeń, które obróciły w pył wszystko, w co wierzyłam.

Dlaczego tamta noc wciąż jest pierwszą rzeczą, która przychodzi mi do głowy ilekroć pogrążam się w myślach? Czyżby siła hipnozy była aż tak ogromna? Czasami mam wrażenie, że wciąż nie uwolniłam się w pełni od skutków prania mózgu.

Mam powody, dla których postanowiłam przelać na papier moje wspomnienia o tym, co wtedy zaszło i o okolicznościach, które do tego doprowadziły. Od zakończenia ciągu zdarzeń, które opisuję minęło dziesięć lat – nie jest to zbyt długi okres czasu, lecz wystarczający by narosło wiele nowych problemów. Od czasu ustanowienia nowego ładu pojawia się – o ironio! - coraz więcej niepewności na temat tego, co przyniesie przyszłość. Podczas ostatnich lat, które spędziłam na zgłębianiu historii, uświadomiłam sobie ważną prawdę o ludzkości – gdy los daje nam bolesną lekcję, to nieważne, ile łez przez nią wylejemy – ponieważ gdy łzy wyschną, zapominamy płynący z niej morał. Takimi właśnie jesteśmy istotami.

Przyrzekliśmy, oczywiście, że już nigdy nie dopuścimy do ponownego wydarzenia się równie gigantycznej tragedii. Chcę wierzyć, że jako ludzkość będziemy w stanie dotrzymać tej obietnicy,

jednak nie mogę pozbyć się obaw, że może nadejść dzień, w którym nasze wspomnienia się zatrą; dzień w którym w którym znów skierujemy swoje kroki na tamtą złą drogę i historia zatoczy koło.

To właśnie strach przed taką przyszłością jest moją motywacją do spisywania wspomnień.

Odkryłam, że podczas pisania często zdarzają mi się momenty zamroczenia - mam wrażenie że moje wspomnienia są jakby nadgryzione w kilku miejscach przez mole, przez co nie mogę przypomnieć sobie pewnych istotnych szczegółów. Próbowałam łątać luki w mojej pamięci pytając się o umykające mi detale innych osób, które były również świadkami tamtych wydarzeń. Ku mojemu zdziwieniu zaobserwowałam wtedy, że niektóre ze wspomnień, jakie dzielimy są sprzeczne – dla przykładu doskonale pamiętam, że w dniu, w którym spotkałam fałszywego minoshiro na górze Tsukuba miałam na nosie okulary z czerwonymi szklami, jednak z jakiegoś powodu Satoru jest pewien, że tego dnia nie nosiłam żadnych okularów. Mało tego, Satoru uważa, że odnalazł fałszywego minoshiro w pojedynkę – a przecież tak absurdalne stwierdzenie z całą pewnością jest nieprawdziwe.

Postanowiłam jednak odłożyć na bok swoją dumę i przepytąć wszystkie osoby, które przyszły mi na myśl. Doprowadziło mnie to tylko do odkrycia jeszcze większej ilości niezgodności we wspólnych wspomnieniach. Uderzył mnie wtedy pewien fakt – nie mogłam znaleźć nikogo, kto nie miałby pamięci zmodyfikowanej w taki sposób, aby ukryć swoje przewinienia.

Kiedy opisywałam moje najnowsze odkrycie, uświadomiłam sobie nagle, że nie mam właściwie powodów by sądzić, że różnię się od tych ludzi, z których jeszcze przed chwilą podśmiewałam się w duchu, kpiąc z ich żalosnej ignorancji. Nie mam wątpliwości, że z punktu widzenia innych osób moja historia będzie się wydawała przeinaczona tak, by ukazać mnie jedynie w dobrym świetle.

Muszę zaznaczyć więc w tym miejscu, że ta opowieść – jako, że będzie pisana z mojej perspektywy – może okazać się zniekształcona.

Będę prawdopodobnie nieumyślnie próbowała uzasadniać swoje czyny – przede wszystkim chcąc jakoś usprawiedliwić fakt, iż ich konsekwencją była śmierć tak wielu osób. Mimo tego postaram się z całych sił by wyłuskać z moich wspomnień prawdę; chcę stawić czoła faktom i przedstawić tamte wydarzenia takimi, jakimi były naprawdę. Mam też nadzieję, że spisanie tej historii na modłę starych legend pomoże mi jak najwierniej odtworzyć to, co wtedy myślałam i czułam.

Ten rękopis powstaje przy użyciu niezmywalnego atramentu, na kartkach, które są zrobione z nieutleniającego papieru, mogącego przetrwać całe tysiąclecia. Kiedy już skończę, nie pokażę go nikomu (może zrobię wyjątek dla Satoru i spytam się o jego opinię), włożę go do kapsuły czasu i zakopię głęboko w ziemi.

Następnie mam zamiar wykonać jeszcze dwie kopie, tak, by łącznie istniały tylko trzy sztuki. Jeżeli kiedykolwiek w przyszłości ludzkość powróci do starych zwyczajów; jeżeli wszystkie opublikowane teksty znów zostaną ocenzurowane, istnienie tej kopii historii musi pozostać tajemnicą tak długo, jak będzie to możliwe. Biorąc pod uwagę możliwość zajścia takich wydarzeń, myślę, że trzy egzemplarze to odpowiednia liczba.

Innymi słowy, ten zapis jest długim listem, jaki pozostawiam dla potomków moich rodaków, którzy będą żyć tysiąclecia po nas. W tej odległej przyszłości, kiedy jego treść zostanie odczytana będzie już wiadomo czy nasze wysiłki, by skierować kroki ludzkości na nową ścieżkę odniosły ostatecznie zamierzony skutek.

Właściwie to jeszcze się nie przedstawiłam.

Nazywam się Saki Watanabe. Urodziłam się 10 grudnia 210 roku w dystrykcie Kamisu 66.

Tuż przed moimi narodzinami nagle kwiatami pokryły się wszystkie bambusy, należące do pewnego specjalnego gatunku, który kwitnie tylko raz na sto lat. Tego roku wystąpiły chyba wszystkie możliwe rodzaje anomalii pogodowych – między innymi śnieg, który spadł w środku lata, gdy spodziewano się jeszcze trzech długich

miesiący suszy. W nocy, 10 grudnia, gdy świat spowiła ciemność, na niebie pojawił się nagle błysk światła. Wielu ludzi twierdzi, że widziało wtedy smoka o złotych łuskach, wynurzającego się z rozświetlonej szczeliny między chmurami...

Tak naprawdę żadna z tych rzeczy nie miała miejsca.

Rok 210 był zupełnie zwyczajny, tak samo jak wszystkie dzieci urodzone wtedy w Kamisu 66, włączając w to mnie.

Dla mojej matki nie byłam jednak zwyczajna. Gdy mnie urodziła, dobiegała już czterdziestki i była pewna, że nie może mieć dzieci. W naszych czasach zajście w ciążę po ukończeniu trzydziestu lat jest uważane za bardzo późne.

Gdyby tego było mało, moja matka, Mizuho Watanabe, piastowała ważny urząd opiekunki biblioteki. Jej decyzje wpływały na przyszłość całego dystryktu, a w niektórych przypadkach mogły nawet doprowadzać do śmierci mieszkańców. Konieczność codziennego dźwigania ciężaru takich obowiązków, połączona z potrzebą dbania o ciążę z pewnością nie jest czymś, z czym ludzie muszą się zazwyczaj mierzyć.

W tym samym czasie mój ojciec, Takashi Sugiura, pełnił funkcję burmistrza. Była to praca wymagająca dużego zaangażowania, jednak bycie opiekunem biblioteki niosło ze sobą wtedy nieporównywalnie większą odpowiedzialność; oczywiście nadal tak jest, jednak w tamtym okresie było to jeszcze bardziej zauważalne.

Moja matka uczestniczyła właśnie w spotkaniu poświęconym omówieniu klasyfikacji nowoodkrytego zbioru książek, gdy zaczęła rodzić. Ten dzień wypadł ponad tydzień przed planowanym terminem rozwiązania, jednak gdy tylko bez żadnego ostrzeżenia odeszły jej wody, przetransportowano ją do położonego na obrzeżach wioski szpitala porodowego. Nie minęło nawet dziesięć minut gdy usłyszała mój pierwszy płacz. Niestety, pępowina owinęła się wokół mojej szyi, moja twarz zrobiła się purpurowa i nie mogłam złapać tchu. Gdy nowoprzyjęta do pracy położna zobaczyła, co się dzieje, prawie zemdląła z trwogi; na szczęście jednak udało się bez

problemów przeciąć pępowinę i wreszcie mogłam po raz pierwszy zaczerpnąć powietrza tego świata i wydać z siebie zdrowy okrzyk.

Dwa tygodnie później w tym samym szpitalu urodziła się Maria Akizuki, która miała w przyszłości zostać moją najlepszą przyjaciółką. Przyszła na świat jako wcześniak; w czasie ciąży znajdowała się w nieprawidłowym, pośladkowym ułożeniu. Ponadto, podobnie jak w moim przypadku, wokół szyi owinęła się jej pępowina – jej stan był jednak znacznie poważniejszy od mojego; narodziła się praktycznie martwa.

Położna, bogatsza o doświadczenie które przy mnie nabyła, podeszła do tej sytuacji zachowując zimną krew. Nie mam wątpliwości, że gdyby przy przecinaniu pępowiny zadrżała jej ręka lub gdyby spóźniła się z tą czynnością nawet o kilka sekund, Maria zmarłaby przy porodzie.

Kiedy pierwszy raz usłyszałam tę historię, byłam dumna, że w pewien sposób niebezpośrednio uratowałam życie przyjaciółki. Dziś jednak, kiedy o tym pomyślę, nachodzą mnie rozterki. Gdyby Maria wtedy się nie urodziła, nie doszłoby do śmierci tak wielu ludzi...

Powróćmy do opowieści. Spędziłam szczęśliwe dzieciństwo, otoczona bujną przyrodą mojego rodzinnego dystryktu. Kamisu 66 składa się z siedmiu wiosek, rozrzuconych w promieniu ponad pięćdziesięciu kilometrów. Od świata zewnętrznego odseparowane jest przez Świętą Bariere – gruby, spleciony ze słomy sznur obwieszony wstążkami, mający pełnić rolę osłony strzegącej osady przed plugastwem z zewnątrz.

Dzieci ostrzega się przed żyjącymi na zewnątrz bariery potworami i złymi duchami; mówi się im, że jeżeli spróbują samotnie ją przekroczyć to sprowadzą na siebie niewyobrażalne cierpienie.

– Ale co dokładnie jest tam takiego strasznego? – Pamiętam, że zadałam ojcu to pytanie, gdy miałam może sześć lub siedem lat.

– Wiele różnych rzeczy. – Podniósł głowę znad swoich papierów i spojrzał na mnie czule, podpierając dłonią podbródek. Ojciec nigdy

nie był dla mnie surowy i tylko jeden, jedyny raz na mnie nakrzyczał: gdy pewnego dnia nie patrzyłam na to, gdzie stawiam kroki i pewnie wpadłabym do głębokiego dołu w ziemi gdyby mnie nie ostrzegł.

– Saki, przecież już wiesz, prawda? O dziwoszczurach, zmyłkotach i bombopsach.

– Mama mówi, że to wszystko jest zmyślane.

– Może i tak, ale z wyjątkiem dziwoszczurów. One są prawdziwe – powiedział ze zdumiewającą nonszalancją.

– Kłamiesz.

– Wcale nie. Nawet teraz wykorzystujemy dziwoszczury do pomocy przy rozbudowie wioski.

– Nigdy żadnego nie widziałam.

– Nie pozwalamy dzieciom by je widziały. – Ojciec nie powiedział dlaczego tak jest, ale pomyślałam sobie, że są po prostu zbyt szkaradne by na nie patrzeć.

– Ale skoro słuchają ludzi, to nie mogą być takie straszne, prawda?

Ojciec odłożył dokumenty, które przeglądał i podniósł prawą dłoń, a następnie niskim głosem wyszeptał zaklęcie. Cienkie włókno papieru natychmiast zaczęło się zwijać w skomplikowany, wtopiony w kartkę wzór, tworząc pieczęć burmistrza. Zupełnie, jakby na papierze ujawnił się jakiś niewidzialny atrament.

– Saki, wiesz co oznacza fałszywe posłuszeństwo?

Zaprzeczyłam, potrząsając lekko głową.

– To znaczy, że udajesz, że jesteś komuś posłuszna, ale tak naprawdę myślisz zupełnie co innego.

– Co dokładnie masz na myśli?

– Że oszukujesz tę osobę, planując w sekrecie, że ją zdradzisz.

Szeroko otworzyłam usta ze zdumienia.

– Tacy ludzie nie istnieją.

– Masz rację. Nie ma człowieka, który mógłby zdradzić zaufanie drugiej osoby. Ale dziwoszczury nie są ludźmi.

Po raz pierwszy poczułam wtedy przyływ strachu.

– Dziwoszczury czczą nas i są nam posłuszne, ponieważ posiadamy cantus. Nie jesteśmy jednak w stanie przewidzieć, jak mogłyby się zachować w stosunku do dzieci, w których moc jeszcze się nie obudziła. Dlatego za wszelką cenę musimy was chronić przed spotkaniem dziwoszczurów.

– Ale jeśli wykorzystujecie je do pracy to znaczy że są obecne w wiosce, prawda?

– Tak, ale zawsze nadzoruje je jeden z dorosłych. – Ojciec odłożył dokument do kasetki i ponownie uniósł dłoń. Wieko zatrzęsło się i wtopiło w pudełko, tworząc coś na kształt wklęsłego, pokrytego lakierem klocka. Otwarcie pojemnika tak, by go nie uszkodzić byłoby wyjątkowo trudne dla innej osoby; nikt poza ojcem nie wiedział bowiem co wyobraził on sobie, wykorzystując swój cantus do zamknięcia kasetki.

– W każdym razie, nie wychodź nigdy poza Świętą Barierę. Wewnątrz jest bezpiecznie, ale jeśli uczynisz choćby jeden krok poza nią, nie będziesz chroniona niczyją mocą

– Ale przecież dziwoszczury...

– Nie chodzi tylko o nie. Uczylaś się w szkole o karmicznych demonach i o Bestii, czyż nie?

Poczułam jak zaciska mi się gardło.

Opowieści o tych potworach są wielokrotnie powtarzane dzieciom już od najmłodszych lat, tak aby mogły zakorzenić się głęboko w podświadomości. Wersje opowiadane w szkołach są złagodzone, ale i tak po ich usłyszeniu ma się koszmary.

– Naprawdę Bestie... i... i karmiczne demony, i podobne okropieństwa żyją za Świętą Barierą?

– Mhm. – Tata uśmiechnął się lekko, chcąc mnie pocieszyć.

– To stare legendy, dziś nie ma już tych stworów...

– To prawda, że żaden nie pojawił się od ponad stu pięćdziesięciu lat, ale lepiej być przygotowanym na wszystko. Nie chciałabyś spotkać się nagle twarzą w twarz z Bestią jak ten chłopiec, który zbierał zioła, prawda, Saki?

Przytaknęłam cicho.

Przytoczę teraz historie o Bestii i o karmicznym demonie; nie będą to jednak te baśniowe opowieści dla dzieci lecz wersje dla dorosłych – te same, które muszą usłyszeć wszyscy rozpoczynający nauki w Akademii Mędrców:

Legenda o Bestii

Działo się to około sto pięćdziesiąt lat temu. Żył wtedy pewien chłopiec, zajmujący się zbieraniem ziół. Pewnego razu, pochłonięty pracą, dotarł pod samą Świętą Bariere. Zorientował się wtedy, że zerwał już całe ziele, które rosło wewnątrz Bariery, podczas gdy po drugiej stronie liny wciąż znajdowało się wiele pięknych roślin.

Chłopiec dobrze pamiętał ostrzeżenia dorosłych aby nigdy nie przekraczać Bariery. Mówiono mu, że przejść na zewnątrz można jedynie w razie najwyższej konieczności i tylko w towarzystwie dorosłego opiekuna.

Lecz tym razem w pobliżu nie było nikogo dorosłego.

Chłopiec, skuszony widokiem ziół, pomyślał, że nic takiego się nie stanie, jeżeli na chwilę przejdzie na drugą stronę. Musiał tylko przeczołgać się pod liną, zerwać kilka roślin i wrócić; nic złego nie mogło się przecież zdarzyć.

Na początku tylko niepewnie wychylił głowę na zewnątrz, ale już po chwili pochylił się i cały przeszedł przez Bariere. Wiszące na linie wstążki zadrżały i cicho zaszeleściły.

Nagle ogarnęło go nieprzyjemne uczucie. Nie było to tylko poczucie winy spowodowane nieposłuszeństwem wobec dorosłych; odczuwał dodatkowo dziwny rodzaj niepokoju, jakiego nigdy wcześniej nie doświadczył.

Uspokajając się w duchu, że wszystko jest w porządku, podszedł do kępy ziół.

Wtedy właśnie zobaczył zbliżającą się Bestię.

Nadchodząca istota, mimo że wielkością zaledwie dorównywała chłopcu, wzbudzała swoim wyglądem przerażenie. Potwór kipiał gniewem; złość, którą emanował przybrała formę wirującej, ognistej łuny która niszczyła wszystko na swej drodze. Tam, gdzie postawił swą nogę, cała roślinność

natychmiast stawała w płomieniach; wszystko, co żywe ulegało spopieleniu aż do gołej gleby.

Chłopiec zbladł ze strachu, jednak zdołał powstrzymać się od krzyku. Pomyślał, że jeśli tylko dałby radę wycofać się za Bariere, to monstrum zniknie.

Zaczął się cofać, jednak nadepnął na gałązkę, która z trzaskiem pękła. Bestia odwróciła głowę, ukazując oblicze, które było prawie całkowicie pozbawione emocji – z wyjątkiem oczu, które płonęły furją.

Chłopiec przeszedł na kuckach pod sznurem tak szybko jak tylko potrafił; wszakże wszystko powinno być w porządku gdy tylko znajdzie się w zasięgu ochronnego działania Bariery.

Jednak jego prześladowca też zdołał przejść pod liną.

Gdy tylko chłopiec to zobaczył, uświadomił sobie że dokonał czynu, którego skutków nie da się odwrócić. Zaprosił Bestię do wewnątrz Bariery.

Chłopiec uciekał z krzykiem górską ścieżką, biegnąc wzdłuż bariery w kierunku przeciwnym do wioski a Bestia nieustępliwie za nim podążała.

Gdy obejrzał się za siebie, zobaczył tylko błyszczące oczy i wykrzywione złośliwym uśmiechem usta potwora, który schował się w zaroślach.

Bestia chciała odszukać drogę do wioski.

Chłopiec wiedział, że nie może dopuścić by do tego doszło. Gdyby potwór podążył za nim do wioski, wymordowałby wszystkich jej mieszkańców.

Przedarłszy się przez ostatnie zarośla, chłopiec znalazł się na skraju głębokiego wąwozu. Huk płynącej daleko w dole rzeki niósł się echem między skalnymi ścianami. Przez rozpadlinę przerzucony był świeżo zbudowany linowy most.

Jednak chłopiec nie skorzystał z niego do przekroczenia przepaści. Zamiast tego podążył w górę rzeki, wzdłuż krawędzi wąwozu.

W tyle Bestia również dotarła do mostu i wypatrywała swojej ofiary.

Chłopiec kontynuował ucieczkę.

Niedługo później na horyzoncie, na tle zachmurzonego nieba zamajaczyła sylwetka kolejnego mostu.

Chłopiec zbliżył się do konstrukcji. Kładka, osłabiona od wieloletniego używania kołysała się, zupełnie jakby chciała go do siebie przywołać.

Budowla mogła zawalić się w każdej chwili. Nie była używana już od dziesięciu lat; mieszkańców upominano by nie korzystali z tej przeprawy. Chłopiec powoli zaczął iść przez most.

Liny wydawały przeraźliwy, skrzypiący dźwięk. Deski, zrobione z dębowego drewna były przegniłe i sprawiały wrażenie, że zaraz pękną. Gdy chłopiec doszedł do połowy mostu, spojrzął przez ramię. Zobaczył jak Bestia wchodzi za nim na kładkę.

W miarę jak monstrum zbliżało się do swej ofiary, konstrukcja kołysała się coraz silniej.

Chłopiec spojrzął w dół. Przepaść była zawrotnie głęboka.

Bestia coraz bardziej zbliżała się do chłopca.

Gdy potwór zbliżył się na tyle blisko, by dało się zobaczyć jego przepelnioną nienawiścią twarz, chłopiec zamachnął się ukrytym w rękę ostrzem, przecinając jednym ruchem wszystkie liny utrzymujące most.

Cała konstrukcja runęła; chłopiec zdołał jednak w ostatniej chwili chwycić koniec liny.

Bestia nie spadła jednak w przepaść; gdy chłopiec obejrzał się za siebie, zobaczył, że jego wróg też zdołał chwycić się sznura. Potwór powoli zwrócił ku chłopcu swój pałający żądzą mord wrokiem.

Nie można już było przeciąć liny; ostrze runęło bowiem w dolinę wraz z mostem.

Cóż pozostało chłopcu? Wzniósł modły ku niebiosom; nie dbał już o to czy przeżyje, prosił jedynie by Bestia nie dostała się do wioski.

Czy życzenie chłopca zostało wysłuchane? A może po prostu liny nie mogły już znieść ciężaru, który utrzymywały?

To pozostaje tajemnicą.

Wiadomo jedynie, że sznur się zerwał. Chłopiec i potwór runęli w rwący nurt rzeki i wkrótce zniknęli za horyzontem. Od tego czasu nie widziano więcej Bestii.

Ta historia uczy nas kilku rzeczy.

Małe dzieci bez trudu pojmą, że jest ona przestrożą przed przekraczaniem Świętej Bariery; te nieco starsze prawdopodobnie dostrzegą, że morałem opowieści jest to, aby cenić wioskę bardziej niż własne życie i aby zawsze być gotowym na poświęcenie się dla społeczności.

Im mądrzejsi się stajemy, tym trudniej jest jednak dostrzec prawdziwe przesłanie tej legendy.

Któż bowiem mógłby przypuszczać, że tak naprawdę chodzi w niej o to, abyśmy nie zwątpili w istnienie Bestii?

Legenda o karmicznym demonie

Ta historia wydarzyła się osiemdziesiąt lat temu. W wiosce żył wtedy pewien chłopiec. Był on niezwykle inteligentnym dzieckiem, miał jednak pewną wadę; im bardziej rósł, tym widoczniejsza się ona stawała.

Chłopiec niezwykle pysznił się swą inteligencją, traktując swe otoczenie z pogardą. Udawał, że szanuje nauki dorosłych, jednak nigdy nie pozwolił, by do jego serca dotarło płynące z nich przesłanie. Zaczął drwić z ignorancji nauczycieli i wyśmiewać rządzące światem reguły.

Arogancja jest siewcą nasion grzechu¹.

Chłopiec zaczął odsuwać się od kręgu swoich przyjaciół. Stał się sam dla siebie jedynym towarzyszem i powiernikiem uczuć.

Samotność to gleba, na której kiełkują grzechy.

W swym odosobnieniu chłopiec spędzał dużo czasu medytując. Rozmyślał o rzeczach zabronionych oraz o sprawach, o których w ogóle nie powinno się wspominać.

Dzięki nieczystym myślom grzechy mogą wzrastać.

Chłopiec, nie będąc tego świadomy, coraz bardziej odchodził od zmysłów; przekształcił się ostatecznie w coś nieludzkiego – karmicznego demona.

Wioska opustoszała w mgnieniu oka; wszyscy mieszkańcy uciekli ze strachu przed demonem. Chłopiec postanowił zamieszkać w lesie; odkrył jednak że wszystkie żyjące w puszczy zwierzęta także zniknęły w poszukiwaniu bezpiecznego miejsca.

Gdzie stanęła noga demona, tam wszystkie rośliny zaczynały gnić i deformować się, tworząc figury, które trudno sobie wyobrazić. Pożywienie, którego dotknęła jego ręka przekształcało się w zabójczą toksynę.

Demon wędrował bez celu przez martwy, zniekształcony las.

Zrozumiał ostatecznie, że nie ma dla niego miejsca w tym świecie.

¹ Wzorując się na tłumaczeniu angielskim, używam słowa „grzech” zamiast oryginalnego „karma”, gdyż użyte jest ono w tekście wyłącznie w kontekście czegoś złego.

Wyszedł z mroków puszczy; jego oczom ukazał się cel, do którego zmierzał. Dotarł do ukrytego między górskimi szczytami głębokiego jeziora o lśniącej i iskrzącej się wodzie.

Wszedł do jeziora, myśląc że w jego czystej, nieskażonej wodzie dozna oczyszczenia.

Jednak woda pociemniała, gdy tylko się w niej zanurzył; stała się mętna i zaczęła zmieniać się w truciznę.

Karmiczne demony nie powinny żyć na tym świecie.

Chłopiec zrozumiał tę prawdę i w ciszy pogrążył się w jeziorze, znikając na jego dnie.

Tym razem lekcja jest znacznie prostsza do zrozumienia. Nie oznacza to jednak, że łatwo jest doszukać się prawdziwego przesłania historii. Również my nie dostrzegaliśmy morału tej opowieści aż do tamtego pamiętnego dnia. Dopiero wtedy, gdy wśród niezmiernego rozpacz i smutku mogliśmy na własne oczy ujrzeć narodziny prawdziwego karmicznego demona, zdaliśmy sobie sprawę z rzeczywistego znaczenia legendy.

Zdaje się, że zboczyłam z tematu; czasami podczas pisania zalewa mnie fala wspomnień, którą ciężko mi kontrolować. Powróćmy do mojego dzieciństwa.

Jak już wspomniałam, na Kamisu 66 składa się siedem wiosek. Administracja dystryktu skupia się w jego centralnej części. Na wschodnim brzegu rzeki Tone znajduje się wioska Zbożowy Krąg. Na północy, otoczony lasem leży Sosnowy Wiatr ze swoimi charakterystycznymi, ogromnymi domostwami. Kierując się na wschód można dojść do wybrzeża i wioski Biały Piasek. Tuż na południe od Zbożowego Kręgu leży Wodny Młyn, natomiast po drugiej stronie rzeki, nieco na północny zachód znajduje się Piękny Widok, który takiemu położeniu zawdzięcza swoją nazwę. Najdalej na południu, za polami ryżowymi znajduje się Żłocista Wioska a daleko na zachodzie – Dębowy Gaj.

Moją rodzinną wioską jest Wodny Młyn. Kamisu 66 przecięte jest przez setki kanałów odchodzących od rzeki Tone. Ludzie używają

ich jako szlaków komunikacyjnych; ciągły ruch wody powoduje jednak, że choć w wodzie można się kąpać, to warto się dwa razy zastanowić zanim weźmie się jej łyk. W kanale tuż przed moim domem zawsze pływały piękne bordowe i białe karpie; jednak rzeczą rzucającą się w oczy bardziej od ryb jest duża liczba kół wodnych, od których wzięła się nazwa wioski. Takie koła znajdują się we wszystkich wioskach; jednak to w Wodnym Młynie jest ich najwięcej; dzięki nim oglądana z oddali wioska wygląda naprawdę imponująco. Są tu chyba wszystkie kształty i rodzaje tych kół: nasiębierne, śródsiębierne, podsiębierne; oraz z całą pewnością wiele innych typów których nazw nie potrafię wymienić. Większość z nich wykorzystywana jest do podstawowych prac, jak łuskanie ryżu czy mielenie ziarna.

Jest tu też jednak pewien specjalny rodzaj koła, którym nie wszystkie wioski mogą się poszczycić – to wodna turbina o metalowych łopatach, służąca do generowania elektryczności. Wytwarzaną energię wykorzystuje się do zasilania zamontowanych na dachu sali zebrań głośników; używanie elektryczności do innych celów jest surowo zabronione przez Komisję Etyki.

Każdego dnia, tuż przed zachodem słońca można usłyszeć wydobywającą się z głośników melodię. Utwór ten nosi tytuł „Powrót do domu” i pochodzi z napisanej w zamierzchłych czasach symfonii autorstwa artysty o obco brzmiącym nazwisku Dvořák.¹ Słowa tej pieśni, których uczy się w szkołach są następujące:

*Słońce ukrywa się za odległymi szczytami,
Gwiazdy rozświetlają niebo,
Dzisiejsza praca już skończona,
I czuję lekkość na sercu.*

¹ Antonín Leopold Dvořák (1841-1904) – czeski kompozytor i dyrygent. Wspomniana melodia to Symfonia nr.9 e-moll (Z Nowego Świata), Op. 95, Część II – Largo: [LINK](#) . Sama piosenka „Going Home”, bazująca na melodii symfonii posiada angielski tekst, odbiegający jednak treścią od przytoczonego w powieści: [LINK](#)

*Wśród chłodnego, wieczornego wiatru,
Zbierzmy się wszyscy w krąg,
Zbierzmy się w krąg.*

*Ognisko jasno płonące wśród mroku,
Zaczyna już dogasać.
Sen nadchodzi szybko
Zaprasza mnie, bym zniknął,
I delikatnie nad nami czuwa.
Śnijmy więc wszyscy,
Śnijmy więc.*

Gdy rozlegają się dźwięki utworu, wszystkie dzieci bawiące się wśród łąk muszą wracać do domów. Dlatego też ilekroć pomyślę o tej pieśni, bezwiednie przypomina mi się obraz skąpanych w zachodzącym słońcu pól otaczających moją rodzinną okolicę. Krajobraz dystryktu o zmierzchu. Drzewa ze skraju sosnowego lasu kładące się długimi cieniami na piaszczystą ziemię. Niebo w wielu odcieniach szarości, odbijające się w ryżowych polach niczym w tuzinach luster. Chmury czerwonych ważek. I wreszcie najżywsze ze wspomnień – słońce chowające się za horyzontem widziane ze szczytów wzgórz.

Gdy zamykam wtedy oczy, na myśl przychodzi mi pewien dzień z pogranicza lata i jesieni; pory gdy dopiero co zaczęło robić się chłodniej.

– Musimy już wracać do domu – usłyszałam czyjś głos. Gdy wyteżyłam słuch rzeczywiście wychwyciłam niesione wiatrem ulotne dźwięki znanej melodii.

– Więc mamy remis – powiedział Satoru; wszystkie dzieci wyszły w dwu- lub trzyosobowych grupkach ze swoich kryjówek.

Mieliśmy wtedy wszyscy od ośmiu do jedenastu lat i cały dzień spędziliśmy na zakrojonej na szeroką skalę grze w chorągwie. To zabawa przypominająca długą bitwę na śnieżki, w której podzieleni na

dwie drużyny zawodnicy próbują zaatakować terytorium przeciwnika; wygrywa ten zespół, któremu uda się zdobyć flagę rywali. Tamtego dnia moja drużyna popełniła poważny błąd taktyczny na początku rozgrywki i w rezultacie musieliśmy rozpaczliwie bronić się przed porażką.

– To nie w porządku. Jeszcze kilka chwil i wygralibyśmy – naburmuszyła się Maria. Miała duże, jasne oczy a jej cera była znacznie jaśniejsza niż pozostałych dzieci. Najbardziej charakterystyczną cechą jej urody była jednak burza płomiennorudych włosów. – Powinniście się poddać.

– Racja, byliśmy od was znacznie lepsi – zawtórował Marii Ryou. Nawet w tak młodym wieku Maria miała zadatki na księżniczkę.

– Niby dlaczego mielibyśmy się poddawać? – odparłam z oburzeniem.

– Bo byliśmy lepsi – powtórzył Ryou.

– Ale nie udało się wam zdobyć naszej chorągwi. – Spojrzałam na Satoru.

– Jest remis – zadeklarował chłopiec.

– Satoru, jesteś w naszej drużynie, czyż nie? Dlaczego trzymasz ich stronę? – prychnęła Maria.

– Nic na to nie poradzimy, według zasad zachód słońca oznacza koniec zabawy.

– Ale słońce jeszcze całkowicie nie zaszło.

– To dlatego, że stoimy na wzniesieniu. Nie czepiaj się szczegółów, dobrze? – odpowiedziałam, z trudem hamując irytację. W takich sytuacjach Maria strasznie mnie denerwowała, mimo że normalnie byłyśmy bliskimi przyjaciółkami.

– Hej, naprawdę musimy już kończyć – powiedziała Reiko zmartwionym głosem. – Powinniśmy wracać, gdy tylko usłyszymy „Powrót do domu”.

– Skończymy gdy się poddadzą – zgodził się z Marią Ryou.

– Przestańcie już. Hej, panie sędzio! – Satoru krzyknął poirytowanym głosem w kierunku Shuna, który stał w oddaleniu na szczycie pagórka, wpatrując się w krajobraz. Jego buldog, Subaru, siedział spokojnie obok chłopca.

– Słucham? – odpowiedział po chwili.

– Obudź się i powiedz im, że mamy remis.

– Tak, tak. Jest remis – oznajmił Shun ponownie się odwracając.

– Więc wracamy – powiedziała Reiko. Dzieci z jej grupy zeszły razem po zboczu w kierunku rzeki, zmierzając ku łodziom, którymi mogły wspólnie popłynąć do swoich wiosek.

– Poczekajcie, jeszcze nie skończyliśmy.

– Idziemy, nie chcemy, żeby dopadły nas zmyłkoty.

Maria i reszta jej drużyny wyglądali na niezbyt zadowolonych, ale koniec zabawy niezaprzeczalnie stał się faktem.

– Saki, też powinniśmy już wracać – powiedział Satoru.

Zwróciłam się w kierunku Shuna.

– Nie idziesz? – spytałam.

– Tak, idę... – odparł Shun, nie odrywając wzroku od fascynującej panoramy.

– Ruszmy się w końcu – zniecierpliwił się Satoru.

Shun skinął lekko głową.

– Tam, widzicie? – spytał.

– Co mamy widzieć?

Wskazywał w kierunku Żłocistej Wioski, na granicę między lasem a polami.

– Spójrzcie, to minoshiro.

Od najmłodszych lat uczono nas jak cenną rzeczą są nasze oczy i jak ważny jest dobry wzrok, którym wszyscy zostaliśmy obdarowani. Również w tamtej chwili byłam w stanie dostrzec biały cień, wolno poruszający się po zacienionej ścieżce odgraniczającej od siebie pola ryżowe.

– Masz rację – powiedziałam.

– No i co z tego? Przecież one nie są jakoś szczególnie rzadkie ani nic takiego. – W zazwyczaj łagodnym głosie Satoru można było usłyszeć dziwne niezadowolenie.

Nie poruszyłam się. Nie chciałam się poruszyć.

Minoshiro przesuwał się w ślimaczym tempie po dróżce aż wreszcie zniknął między drzewami. Podczas gdy śledziłam jego ruchy, pomyślałam o Shunie.

Nie wiedziałam wtedy jeszcze jak nazwać uczucie, które mnie ogarnęło. Sam fakt, że stałam obok niego, oglądając wioskę oświetloną ostatnimi promieniami słońca, spowodował że poczułam w sercu mieszaninę słodyczy i żalu.

Być może trochę wyolbrzymałam to wydarzenie. W końcu zawsze ma się sentyment do podobnych wspomnień.

Nawet jeżeli tak się stało, nie zmienia to faktu, że tamten dzień ma dla mnie specjalne znaczenie. To był ostatni raz, kiedy chodziłam po idealnym świecie; ostatni raz kiedy wszystko było na swoim miejscu i nie trzeba było martwić się o przyszłość.

Nawet teraz, kiedy wspomnę swoją pierwszą miłość, czuję przyjemne ciepło, niczym dotyk promieni zachodzącego słońca. Nie zmienia tego nawet pamięć o tym, że niedługo później wszystko miało zostać pochłonięte przez bezdenną otchłań pustki i smutku.

Rozdział 2

Chcę opowiedzieć trochę dokładniej o swoim dzieciństwie.

W Kamisu 66 dzieci zaczynają uczęszczać do szkoły, gdy osiągną wiek sześciu lat. Ja chodziłam do Szkoły Harmonii; poza nią istnieją jeszcze dwie podobne placówki – Szkoła Przyjaźni i Szkoła Moralności.

Populacja dystryktu wynosiła wtedy nieco ponad trzy tysiące mieszkańców. Studiując historię starożytnej edukacji uświadomiłam sobie, że liczba szkół była nieproporcjonalnie duża dla tak niewielkiej społeczności. Wiem już, że był to kolejny dowód na to, że prawdziwa natura wspólnoty, wśród której się wychowałam nie jest taka, jaką wydawała się na pierwszy rzut oka. Kolejnym wartym wspomnienia faktem jest to, że z jakiegoś powodu ponad połowa dorosłych obywateli trudniła się zawodami związanymi z edukacją.

Miałyby to zapewne ogromny wpływ na gospodarkę, jednak w społeczeństwie opierającym się na wzajemnej współpracy nie potrzebowaliśmy pieniędzy. W naturalny sposób radzono sobie z zapotrzebowaniem na ludzi wykonujących określony zawód; gdy ktoś miał odpowiednie zdolności, zaczynał po prostu robić z nich użytek.

Szkoła Harmonii znajdowała się dwadzieścia minut drogi piechotą od mojego domu. Podróż łódką byłaby jeszcze krótsza, ale ciężar wioseł był zbyt duży, by mogło unieść je dziecko.

Szkoła leży w cichej okolicy, niedaleko od centrum dystryktu, przy południowej granicy Zbożowego Kręgu. To jednopiętrowa budowla w kształcie litery A, wykonana z ciemnego, polerowanego drewna. Pierwszą rzeczą, która rzuca się w oczy po wejściu przez główne wrota, umiejscowione w łączniku pomiędzy ramionami „A”, jest zawieszony na ścianie napis głoszący: RADUJ SIĘ HARMONIA. To pierwszy wiersz z Konstytucji Siedemnastu Artykułów, napisanej w zamierzonych czasach przez mnicha zwanego Księciem Shoutoku. Jej przesłaniem jest budowanie wszystkiego na fundamentach

harmonii – stąd właśnie wzięła się nazwa szkoły. W pozostałych dwóch szkołach również znajdują się podobne napisy powitalne; nie znam jednak ich treści.

Po obu stronach wejścia znajdują się sale lekcyjne i pomieszczenia dla nauczycieli; większa ich część leży w prawym skrzydle budynku. Pomimo, iż liczba osób w szkole, wliczając w to personel, nigdy nie przekraczała stu pięćdziesięciu, mieliśmy ponad dwadzieścia sali lekcyjnych. Po lewej stronie od głównych drzwi skupiały się pomieszczenia administracji, do których uczniowie nie mieli wstępu.

Na placu przed szkołą znajdowało się boisko, dobrze wyposażony plac zabaw i zagrody dla zwierząt, gdzie trzymano między innymi kurczaki, kaczki, króliki i chomiki, którymi opiekowali się dyżurni uczniowie. W narożniku placu stało duże, drewniane pudło z narzędziami. Nikt nie wiedział do czego ono służy; przez sześć lat które spędziłam w szkole nigdy nie zostało użyte.

Dziedziniec, otoczony z trzech stron budynkiem szkoły był wielką tajemnicą. Uczniom pod żadnym pozorem nie wolno było tam wchodzić; nic nie usprawiedliwiłoby złamania tego zakazu.

Na dziedziniec nie wychodziły żadne okna, nie licząc tych ze skrzydła administracji. Zerknąć na niego udawało się nam tylko czasami, gdy prowadzące doń drzwi były akurat uchylone.

– Jak uważacie, co jest na dziedzińcu? – zapytał się nas Satoru z szelmowskim uśmiechem. Wszyscy wstrzymaliśmy oddech.

– Czekaj, przecież ty też nie wiesz co tam jest, co nie? – Nie mogłam znieść dłużej napięcia.

– Ale znam kogoś, kto wie – odparł Satoru, niezadowolony z tego, że mu przerwałam.

– Kogo?

– Nie znasz go.

– To uczeń?

– Już nie. Ukończył szkołę.

– Co to ma właściwie znaczyć? – odparłam z coraz silniejszym przekonaniem, że Satoru zmyśla.

– A czy to ważne? – wtrąciła się Maria. – Po prostu powiedz nam, co widział ten ktoś.

Wszyscy mruknęli z aprobatą.

– No dobrze. Ale ci, którzy mi nie wierzą wcale nie muszą słuchać. – Satoru spojrział na mnie spode łba.

Udałam, że tego nie widzę. Chciałam przekonać się, co ma do powiedzenia, nawet jeżeli nie miałyby to być nic wartego uwagi.

– Kiedy uczniowie są w szkole, – kontynuował – nauczyciele nigdy nie zostawiają otwartych drzwi na dziedziniec, prawda? Pewnego razu zapomnieli jednak przez przypadek sprawdzić czy nikogo nie ma w pobliżu i nie zamknęli ich.

– To już słyszeliśmy – ponaglił kolegę Ken.

– Wewnątrz były... groby. Ogromna ilość grobów. – Satoru z pewnością przesadzał, ale wszyscy pozostali oniemieli z wrażenia.

– Och...!

– Kłamie.

– To okropne! – Maria zakryła uszy dłońmi. Powiedziałam jej, że to niepoważne.

– I czyje niby były te groby?

– Hę? – Satoru wyraźnie czerpał satysfakcję z efektu, jaki wywarła jego straszna opowieść na reszcie grupy.

– Skoro było ich tak wiele, to kto był w nich pochowany?

– Nie mam pojęcia. W każdym razie były ich setki.

– Czemu ktoś miałby stawiać celowo stawiać groby na szkolnym dziedzińcu?

– Jak już mówiłem, nic więcej nie wiem.

Wyglądało na to, że Satoru próbuje wymigać się od wyjaśnień, zasłaniając się tym, że jego informacje są z drugiej ręki, przez co nie muszą być kompletne.

– A może to mogiły uczniów? – zastanowił się na głos Ken. Wszyscy zamilkli.

– Uczniów? Kiedy umarli? Dlaczego tak wielu? – spytała Maria niskim głosem.

– Nie jestem pewien, ale słyszałem gdzieś, że osoby, którym nie udało się ukończyć szkoły po prostu znikają.

Uczniowie we wszystkich trzech szkołach zaczęli naukę w tym samym wieku; z powodów które później przedstawię, czas jej ukończenia był mimo tego kwestią indywidualną. Słowa Kena w pewien sposób dotknęły wtedy jednak tematu, który był głębokim tabu i nikt z nas nie wiedział, co odpowiedzieć.

Właśnie wtedy siedzący dotychczas z boku Shun spojrział na nas znad książki, którą czytał. W padającym z okien świetle zauważyłam, że ma naprawdę długie rzęsy.

– Nie ma żadnych grobów – powiedział.

Jego odpowiedź nieco wszystkich uspokoiła, jednak pozostawiła ważną kwestię do wyjaśnienia.

– Co masz na myśli? Skąd wiesz? – zapytałam w imieniu nas wszystkich.

– Nie widziałem ich na dziedzińcu – odpowiedział z nonszalancją.

– Co?

– Naprawdę widziałeś dziedziniec, Shun?

– Powaga?

– Żartujesz sobie, nie?

Zasypaliśmy go pytaniami. Satoru stał z boku rozczarowany tym, że nie jest już w centrum uwagi.

– Nigdy wcześniej o tym nie opowiadałem. W zeszłym roku niektórzy zapomnieli oddać na lekcji prace domowe – wiecie, te sprawozdania z obserwacji na przyrodę. Nauczyciel poprosił mnie więc, abym zebrał je od wszystkich i zaniósł mu do skrzydła administracyjnego.

Wszyscy czekaliśmy z zapartym tchem na ciąg dalszy, ale Shun nie śpieszył się; włożył zakładkę do książki, oznaczając miejsce w którym przerwał lekturę i dopiero wtedy kontynuował opowieść.

– Jeden z pokoi jest wypełniony książkami po sufit i znajduje się w nim wychodzące na dziedziniec okno. Nie ma tam żadnych grobów, chociaż rzeczywiście znajduje się tam kilka dziwnych rzeczy.

Wyglądało na to, że Shun w tym miejscu chciał zakończyć rozmowę. W mojej głowie kotłowały się tysiące pytań, powstrzymałam się jednak przed wyrzuceniem ich z siebie, biorąc głęboki wdech.

– To niedorzeczne – odparł Satoru z niecodziennym dla siebie drżeniem w głosie. – Co to za „dziwne rzeczy”? Wyjaśnij nam to!

Przez myśl przeszło mi, że przed chwilą sam wzbraniał się przed wytłumaczeniem swoich rewelacji; chciałam jednak usłyszeć co odpowie Shun, więc powstrzymałam się od komentarza.

– Cóż, nie wiem jak to dobrze opisać. Na przeciwległym końcu dziedzińca znajdowało się pięć małych, ceglanych budowli. To było coś w rodzaju magazynów z dużymi, drewnianymi drzwiami na frontowych ścianach.

Jego słowa w dziwny sposób zdawały się prawdziwe, mimo że niczego nie wyjaśniały. Satoru syknął cicho, nie mogąc wymyślić kolejnych pytań.

– No więc, Satoru? Przypomnij nam raz jeszcze, co widziała ta osoba, która ukończyła już szkołę – naciskałam na niego. Najwyraźniej zrozumiał, że znalazł się w nieciekawej sytuacji i zawahał się przed odpowiedzią.

– Jak mówiłem, słyszałem to od kogoś innego, więc nie mam pewności. Może ten ktoś się pomylił, a może w tamtym dniu na dziedzińcu naprawdę były groby – coraz bardziej plątał się w zeznaniach Satoru.

– Gdzie więc się one podziały?

– Nie mam pojęcia... Ale wiecie co? Ten gość widział coś jeszcze, i było to znacznie straszniejsze od grobów – próbował zmienić temat.

– Co to było? – Maria, czego można było się spodziewać, połknęła haczyk.

– Nie możesz pytać o to tak od razu. Satoru potrzebuje czasu na wymyślenie wystarczająco przerażającej odpowiedzi – wtrąciłam złośliwie, ale Satoru zachował powagę.

– Nie kłamię. On naprawdę coś widział. Może nie było to do końca na dziedzińcu, ale...

– Tak, tak, jasne.

– No więc co to w końcu było? – Ken nie mógł już wytrzymać napięcia.

Pomyślałam, że Satoru zaraz uśmiechnie się tajemniczo w swoim stylu, ale tak się nie stało; zamiast tego z jego twarzy zniknęły wszelkie emocje.

– Niewyobrażalnie wielki cień kota – odpowiedział.

Zapanowała zupełna cisza.

Podziwiałam wtedy Satoru za to, że był doskonałym mówcą. Jeżeli kiedykolwiek potrzebna byłaby osoba parająca się opowiadaniem strasznych historii, to jestem pewna, że wybrano by właśnie jego na to stanowisko. Nie wyobrażam sobie jednak, że mogłoby istnieć społeczeństwo, które potrzebowałoby kogoś wykonującego tak kretyński zawód.

– Czy to był... zmyłkot? – Maria przerwała zbiorową zadumę, zapoczątkowując całą lawinę pytań.

– Wygląda na to, że zmyłkoty upodobały sobie pokazywanie się w szkołach podstawowych.

– Ale dlaczego?

– Czy to nie oczywiste? Polują na dzieci!

– Ponoć często pokazują się jesiennymi nocami.

– Słyszałem, że czasami kręcą się w pobliżu domostw, ale tylko o północy.

Wszyscy obawialiśmy się ciemności, ale zarówno byliśmy nią zafascynowani. Mieliśmy obsesję na punkcie strasznych opowieści o złych duchach rzek i gór, jednak to historie o zmyłkotach powodowały, że ze strachu dostawialiśmy gęsiej skórki. Krążące wśród dzieci relacje były oczywiście ubarwione, ale wszyscy zgadzali

się, że zmyłkoty co najmniej dorównują wysokością dorosłym. Pomimo, że mają koci pysk, ich kończyny są nieproporcjonalnie długie, przez co sprawiają wrażenie cienia, skradającego się za dziećmi. Kiedy ich cel znajdzie się w odosobnionym miejscu, skaczą na niego i przygwożdżają go do ziemi. Zaatakowane dziecko staje się oziębiałe, jakby było zahipnotyzowane; następnie zmyłkot szeroko rozwiera swą paszczę i zaciska zęby na szyi ofiary tak, by nie mogła się uwolnić. W ten sposób nie uroni ona ani jednej kropli krwi, jej ciała nie da się odszukać, i tak dalej, i tak dalej...

– Co działo się później? Gdzie spotkał zmyłkota?

– Nie wiem nawet, czy to był zmyłkot, czy nie. Wszystko co widział, to cień – powiedział Satoru, odzyskując dawną pewność w głosie. – A działo się to całkiem niedaleko dziedzińca.

– Gdzie dokładnie? Przecież nie można dostać się na dziedziniec bezpośrednio z zewnątrz budynku ani opuścić go w ten sposób.

– To nie było na zewnątrz.

– He? – wątpiłam w słowa Satoru, ale i tak z jakiegoś powodu przeszły mnie ciarki.

– Widział go, jak znika tuż przed drzwiami na dziedziniec, na końcu korytarza w skrzydle administracyjnym.

Nikt nie był w stanie wydusić z siebie słowa. Chcąc czy nie chcąc, musiałam przyznać Satoru, że udało mu się osiągnąć zamierzony efekt. Bądź co bądź, była to tylko jedna z tych zmyślonych historyjek, krążących wśród dzieci, jednak wtedy wciąż w nie wierzyłam.

Gdy teraz o tym pomyślę, lata, które spędziłam w Szkole Harmonii były bardzo szczęśliwe. Sam fakt, że mogłam tam spotykać się z przyjaciółmi sprawiał, że każdy dzień był równoznaczny z doskonałą zabawą.

Dzień zaczynaliśmy matematyką, następnie był japoński, nauka o społeczeństwie, przyroda i inne nudne lekcje. Nauczyciele pilnie nas obserwowali i upewniali się, że każdy zrozumiał materiał; zawsze cierpliwie wyjaśniali niejasne kwestie, tak, aby nikt nie pozostał

w tyle. Robili też nam dużo sprawdzianów – raz na trzy dni, o ile dobrze pamiętam. Większość z nich nie miała jednak związku z przerabianym materiałem. Były to raczej krótkie wypracowania na tematy w stylu: „Jestem dziś smutna, ponieważ...”, więc ich pisanie nie było specjalnie stresujące.

Trudniejsze były zadania domowe do samodzielnego wykonania. O ile rysowanie czy rzeźbienie w glinie było dobrą zabawą, o tyle codzienne prace pisemne potrafiły być frustrujące. Prawdopodobnie jednak to właśnie dzięki nim nabrałam wystarczającej wprawy, by nie mieć teraz szczególnych problemów z napisaniem tej historii.

Kiedy nudne lekcje dobiegały końca, opuszczaliśmy szkołę i całe popołudnia spędzaliśmy na zabawie na świeżym powietrzu. Mieliśmy także dwudniowe weekendy, podczas których mogliśmy do woli biegać i bawić się na zewnątrz.

Jeszcze zanim zaczęłam uczęszczać do Szkoły Harmonii, poznałam wszystkie zakamarki łagodnie wijących się kanałów. Podczas wypraw, obserwując szpiczaste dachy domów, docierałam aż do Złocistej Wioski. Jej nazwa wzięła się od złotych, ryżowych kłosów, którymi mieniła się cała osada podczas jesieni. Bardziej interesująco było w niej wiosną i latem. Gdy przyjrzało się polom ryżowym, można było zobaczyć pływające w wodzie piskorze i gambuzje, a także ślizgające się po powierzchni nartniki oraz próbujące ukryć się wśród rosnących na dnie wodorostów przekopnice. W kanałach i zbiornikach dostarczających wodę gospodarstwom żyły olbrzymie wodne pluskwiaki, płoszczyce, topielnice, pływaki żółto-brzeżki i wiele innych owadów. Pluskały się tam też karasie i różne inne ryby. Starsze dzieci nauczyły nas, jak łowić raki za pomocą nitki bawełny i przynęty z suszonej mątki; w ciągu dnia potrafiliśmy złapać ich całe wiadro.

W okolicach Złocistej Wioski żyło też wiele ptaków. Wiosną wszędzie wkoło rozbrzmiewał śpiew skowronków, a latem, zanim posadzono ryż, na pola zlatywały się całe stada ibisów polujących na piskorze. Podczas zimy łączyły się one w pary i budowały gniazda na

pobliskich drzewach; ich młode opuszczały lęgowiska następnej jesieni. Pomimo, że ich krzyki nie były zbyt przyjemne, to widok klucza tych jasnorożowych ptaków w locie był naprawdę majestatyczny. Oprócz nich można było też często zaobserwować fruujące nad głowami kanie czarne, bilbile, sikory, turkawki, wróble balonowe czy kruki trójskrzydłe.

Od czasu do czasu spotykaliśmy też minoshiro, które w poszukiwaniu roślin i małych zwierząt zgubiły drogę i wywędrowały z lasu aż w pobliże pól ryżowych. Te istoty nie tylko użyźniają glebę, ale również pozbywają się szkodników – dlatego też oparte na rolnictwie społeczności traktują je z szacunkiem, a ich pojawienie się uznają za dobrą wróżbę. Przeciętne minoshiro ma około metra wysokości, ale zdarzają się osobniki wielkie na ponad dwa metry, pokryte licznymi, falującymi czułkami. Poruszają się z niezwykłą gracją; nie mam wątpliwości, że to właśnie dlatego bywały uznawane za boskie stworzenia.

Wśród zwierząt, którym oddawano cześć były też białe i paskowane węże zbożowe – na oba te gatunki polowały minoshiro. Wielką zagadką pozostaje, jak ludowym wierzeniom udało się pogodzić te dwie kwestie.

Uczniowie wyższych klas odbywali wycieczki do najbardziej wysuniętej na zachód wioski Dębowy Gaj, do położonych na południe od Białego Piasku wydm plaży Hasaki oraz do źródeł rzeki Tone, gdzie przez cały rok kwitły kwiaty. Przy brzegu odpoczywały stada czapli i biegusów łyżkodziobych, do których czasami dołączały żurawie mandzurskie. Świetną zabawą było wypatrywanie gniazd trzciniaków zwyczajnych wśród przybrzeżnych zarośli oraz legowisk sianokułek na szczytach wzgórz, wśród rozległych połaci trawy. Fałszywe jaja, wytwarzane przez sianokułki były świetne do robienia różnych psikusów.

Nieważne jednak ile zwierząt widzieliśmy – dopóki znajdowaliśmy się wewnątrz Świętej Bariery, nie można było powiedzieć, że to prawdziwa natura; byliśmy raczej w miniaturowym

ogrodzie. W przeszłości zwierzęta, jakie trzymaliśmy w ogrodach zoologicznych, zasadniczo były takie same, jak ich żyjący na wolności krewni. Słonie, lwy, żyrafy i inne zwierzęta, jakie możemy oglądać dzisiaj są tak naprawdę mutantami stworzonymi przez nasz cantus. To fałszywe słonie, imitacje lwów i podrobione żyrafy – zmodyfikowane tak, aby nie były w stanie wyrządzić krzywdy człowiekowi w przypadku gdyby udało im się uciec z zagród. Całe środowisko wewnątrz Bariery jest zmienione w taki sposób, by było bezpieczne dla ludzi. Później stało się to dla mnie oczywiste, ale gdy byłam dzieckiem nie zastanawiało mnie, dlaczego możemy bawić się wśród dzikiej przyrody bez obaw przed ukąszeniami jadowitych węży i insektów. Bariera odgradzała nas od niebezpiecznych gadów, takich jak grzechotniki. Wewnątrz żyły tylko niegroźne gatunki węży, jak zaskrońce, połozy japońskie, japońskie węże leśne czy węże różańcowe. Rosnące w lasach cyprusy i świerki wydzielają substancję o niezwykle silnym aromacie, która miała działanie zabójcze dla zarodników pleśni, kleszczy, roztoczy i bakterii, które mogłyby być groźne dla zdrowia.

Pisząc o dzieciństwie, muszę wspomnieć też o naszych corocznych świętach i obrzędach. Przekazywane z pokolenia na pokolenie tradycje w pewnym sensie wyznaczały rytm naszego życia.

Pierwszym, co przychodzi mi na myśl jest wiosenny rytuał odpędzania złych duchów; podczas tej pory roku odbywało się też święto modłów o pomyślne zbiory oraz o brak chorób. Lato było czasem Święta Lata, Święta Ognia i Święta Latarni. Jesienią miał miejsce Dzień Pierwszego Sierpnia oraz ceremonia ofiarowania bogom zbiorów ryżu. Zima natomiast kojarzy mi się z Festiwalem Śniegu oraz Dniem Nowego Roku.

Ze wszystkich wymienionych obrzędów najbardziej w pamięć wrył mi się pierwszy z nich.

Święto to, zwane też dniem pogoni za demonami jest jedną z naszych najstarszych tradycji; liczy ono sobie przeszło dwa tysiące lat.

Porankiem tego dnia dzieci zbierały się na placu. Wszyscy mieliśmy na twarzach „maski czystości” wykonane z utwardzonej gliny pokrytej kredą; w roli *shinshi* braliśmy udział w przedstawieniu będącym częścią obrzędu. Ta ceremonia zawsze mnie przerażała, zwłaszcza z powodu dwóch spośród używanych masek.

Przedstawiały one Bestię i karmicznego demona. Maską Bestii przedstawiała wykrzywioną paskudnym, złowieszczym uśmiechem twarz. Później, gdy już przywrócono wolny dostęp do informacji, starałam się znaleźć w archiwach coś na temat początków tego święta, lecz wszystkie informacje były niejasne. Udało mi się jedynie ustalić, że wygląd maski wywodzi się od starożytnego zakrycia twarzy przedstawiającego węża, wykorzystywanego w ceremonii Noh, reprezentującego ostatnie z trzech stadiów transformacji człowieka w demona. Z kolei maska karmicznego demona wyobrażała oblicze pełne strachu i udręki; rysy twarzy były zniekształcone i wydawały się rozpływać, co nadawało jej niehumaniczny wygląd.

Rytuał, będący głównym wydarzeniem dnia, rozpoczynał się od rozsypania białego piasku po placu, na końcach którego rozpalano małe ogniska. Następnie dwudziestu lub trzydziestu *shinshi* przechodziło między płomieniami, skandując w specyficznym rytmie słowa: „Przepadnijcie, demony! Przepadnijcie, demony!”.

W dalszej kolejności na placu pojawiał się ubrany w tradycyjne szaty egzorcysta, dzierżący w dłoniach ogromną włócznię. Rzeczą, która najbardziej przykuwała uwagę była jednak jego złota maska o czterech oczach. Dołączał on do nas, i wraz z *shinshi* krążył pomiędzy ogniskami intonując te same słowa i rozrzucając wkoło ziarna fasoli – miało to odpędzać kataklizmy i nieszczęścia.

Potem zaczynała się straszna część. Kapłan bez ostrzeżenia zwracał się w kierunku *shinshi* i rzucał w ich kierunku pozostałymi fasolkami. Nieczystość jest wśród nas! – krzyczał, a my powtarzaliśmy za nim. Na ten sygnał dwoje spośród *shinshi* występowało z szeregu – reprezentowali oni Bestię i karmicznego demona.

Gdy brałam udział w tym przedstawieniu, było to dla mnie na tyle przerażające, że ledwo mogłam złapać oddech. Jednego roku stojący bezpośrednio obok mnie *shinshi* okazał się być Bestią; reszta dzieci, przekonanych że widzą prawdziwe demony, rozbiegła się w popłochu.

– Przepadnij, nieczystości! – grzmiał egzorcysta, mierząc w obydwie demony włócznią. Udawały one, że opierają się jego rozkazowi, jednak gdy tłum dołączył się do krzyku kapłana, uciekły. W ten sposób rytuał dobiegł końca.

Wciąż mam przed oczami drżącą twarz Satoru, zdejmującego swoją maskę.

– Jesteś blady jak duch – powiedziałam, patrząc jak trzęsą się jego usta, z których odpłynął cały kolor.

– I co z tego? Ty też.

W swoich oczach ujrzeliśmy wzajemnie niczym w zwierciadłach nasze najgłębiej skrywane lęki.

Satoru szeroko otworzył oczy i wskazał policzkiem coś za moimi plecami. Gdy się odwróciłam, ujrzałam, jak kapłan powraca na plac, ściągając swoją maskę.

Egzorcystą zostaje wybrana osoba, która posiada najpotężniejszy spośród wszystkich *cantus*. Z tego co mi wiadomo, Shisei Kaburagi nigdy nie pozwolił nikomu odebrać sobie tego stanowiska.

Kapłan wyczuł, że wpatrujemy się w niego i uśmiechnął się lekko. Pod maską, którą przed chwilą zdjął nosił jeszcze jedną, zakrywającą górną połowę twarzy. Plotka głosiła, że nikt nigdy nie widział jego prawdziwego oblicza. Jego usta i nos były zupełnie zwyczajne, ale ciemne okulary skrywające oczy nadawały mu złowieszczy, groźny wygląd.

– Przestraszyliście się? – zapytał niskim, dźwięcznym głosem. Satoru przytaknął, oniemiały z wrażenia. Shisei Kaburagi skierował swój wzrok na mnie. Patrzył – jak mi się wtedy zdawało – wyjątkowo długo.

– Interesujesz się wieloma rzeczami, prawda? – zapytał.

Zamarłam, nie wiedząc jakiej odpowiedzi oczekuje.

– Czy przyszłość przyniesie ci szczęście? Czy może pecha? – Shisei Kaburagi oddalił się z twarzą ozdobioną cieniem uśmiechu.

Przez chwilę stałam niczym zahipnotyzowana.

Satoru westchnął. – Ten gość mógłby rozerwać Ziemię na pół jeżeli wystarczająco mocno by się skoncentrował – wyszeptał.

Z reguły nie przywiązywałam większej wagi do bzdur, jakie miał w zwyczaju wygadywać Satoru, lecz tym razem jego słowa na długo zapadły mi w pamięć.

Szczęśliwe dni nigdy nie trwają długo.

Moje dzieciństwo nie było odstępstwem od tej reguły; ironią losu jest jednak fakt, że wtedy martwiłam się, że to szczęście nie chce się skończyć.

Jak już wspomniałam, czas ukończenia Szkoły Harmonii dla każdego z nas był inny. Pierwszy dokonał tego Shun. Chłopiec, który zawsze miał najlepsze oceny, był bardzo dojrzały i dorównywał mądrością dorosłym pewnego dnia po prostu nie pojawił się w naszej klasie. Nasz nauczyciel, Sanada, z dumą ogłosił pozostałym uczniom ukończenie przez niego szkoły.

Od tego dnia zaczęłam marzyć aby i mnie spotkało to samo, żebyśmy mogli znowu uczęszczać do tej samej klasy. Niestety, moi koledzy jeden po drugim opuszczali szkołę a moja kolej wciąż nie nadchodziła. Kiedy odeszła Maria, poczułam się strasznie osamotniona. Nikt nie mógł zrozumieć, jak się wtedy czułam, niezależnie od tego jak bardzo starałam się tłumaczyć swoje uczucia.

Gdy kwiaty wiśni zaczęły opadać, z dwudziestopięciosobowej klasy została nas już tylko piątka – w tym Satoru i ja. Zazwyczaj zuchwały Satoru jakby przygasł. Każdego poranka upewnialiśmy się, że nikt więcej nas nie opuścił, wzdychaliśmy i staraliśmy się normalnie funkcjonować. Chcieliśmy ukończyć szkołę jednocześnie, ale w sekrecie każde z nas marzyło o tym, by uprzedzić przyjaciela.

Wraz z nadejściem maja Satoru – mojej ostatniej ostoi – udało się ukończyć szkołę. Dwóch kolejnych uczniów praktycznie natychmiast poszło w jego ślady. Zostało nas dwoje.

Mimo, że wydaje się to dziwne, nie jestem w stanie przypomnieć sobie jak nazywał się mój ostatni towarzysz, nieważne jak usilnie próbuję to zrobić. Nawet jeżeli był najgorszym uczniem w klasie i niczym szczególnym się nie wyróżniał, wątpię by było to powodem mojej luki w pamięci. Myślę, że podświadomie stłumiłam wspomnienia o tym kimś.

W tamtym okresie po powrocie ze szkoły zamykałam się w pokoju i z nikim nie rozmawiałam. Przez takie zachowanie moi rodzice zaczęli się o mnie martwić.

– Bądź cierpliwa, Saki – powiedziała moja matka pewnego wieczoru, gładząc mnie po włosach. – Czas ukończenia szkoły nie ma żadnego znaczenia. Wiem, że czujesz się samotna, ponieważ wszyscy cię opuścili, ale wkrótce ponownie spotkasz się z przyjaciółmi.

– Nie jestem wcale samotna ani nic takiego – odparłam, ukrywając twarz w poduszce.

– Szybkie ukończenie szkoły nie jest niczym szczególnym, wiesz? Nie ma to nic wspólnego z siłą i jakością twojej mocy. Wspominałam ci już, że zarówno ja jak i tata też długo czekaliśmy na swoją kolej?

– Ale żadne z was nie było ostatnie, prawda?

– Nie, ale...

– Nie chcę zostać wymazana!

– Nie mów takich rzeczy! – powiedziała matka zaskakująco poważnym głosem. – Gdzie o tym usłyszałaś?

Wtuliłam twarz głębiej w poduszkę i niczego nie odpowiedziałam.

– Czas ukończenia szkoły to decyzja bogów, więc wszystko co musisz zrobić to cierpliwie czekać. Nawet nie zauważysz, jak dościgniesz wszystkich kolegów.

– A co, jeśli...

– Hmm...?

– Co, jeśli nie uda mi się ukończyć szkoły?

Mama oniemiała na ułamek sekundy, jednak po chwili uśmiechnęła się szeroko.

– Naprawdę się o to martwisz, głuptasku? Wszystko będzie dobrze. Na pewno ci się uda, to tylko kwestia czasu.

– Ale takie sytuacje się zdarzają, prawda?

– Tak, ale szansa wynosi mniej niż jedna na milion.

Zerwałam się z łóżka i nasze spojrzenia się napotkały. Z jakiegoś powodu moja matka wyglądała na trochę wstrząśniętą.

– To prawda, że osoby, które nie mogą ukończyć szkoły stają się ofiarami zmyłkotów?

– Nie bądź dziecinna, zmyłkoty nie istnieją. Niedługo staniesz się dorosłą; jeśli będziesz mówiła takie rzeczy, ludzie będą się z Ciebie śmiać.

– Ale ja widziałam zmyłkota.

Gdy spojrzałam na matkę, zobaczyłam coś, czego nie dało się z niczym pomylić. Na jej twarzy przez chwilę zagościł cień strachu.

– O czym ty mówisz? Musiało ci się wydawać.

– Widziałam go – powtórzyłam, obserwując mamę; chciałam upewnić się, czy rzeczywiście moje słowa tak ją przeraziły. Zresztą mówiłam prawdę. Naprawdę wydawało mi się, że widziałam zmyłkota; działo się to jednak tak szybko, że sama próbowałam sobie wmówić, że to tylko wyobraźnia splątała mi figla. – To było wczoraj, o zachodzie słońca, tuż przed domem. Stałam na rozdrożu, gdy nagle zobaczyłam jak coś wyglądającego jak zmyłkot przecina jedną ze ścieżek. Cokolwiek to było, natychmiast zniknęło mi z oczu.

Mama westchnęła.

– Wiesz skąd wzięło się określenie „bać się własnego cienia”? Jeżeli będziesz myśleć bez przerwy o strasznych rzeczach, wszystko co Cię otacza będzie się wydawało przerażające. Zwierzę, które widziałas to był pewnie kot albo łasica. Niełatwo jest prawidłowo rozpoznawać kształty w półmroku. – Głos mojej matki przybrał

dawny, pogodny ton. Życzyła mi dobrych snów i zgasiła światło, a ja od razu zasnęłam.

Całe poczucie spokoju i bezpieczeństwa runęło jednak, kiedy obudziłam się w środku nocy.

Szeroko otworzyłam oczy. Serce waliło mi niczym młot, ręce i nogi miałam zimne jak lód. Zaczęłam pocić się ze strachu.

Słyszałam dziwny odgłos drapania w boazerię między sufitem a dachem. Gdy dobrze się wsłuchałam, brzmiało to, jakby po panelach przesuwały się ostre pazury.

Czy przyszedł po mnie zmyłkot?

Nie mogłam się ruszyć, zupełnie jakbym była sparaliżowana.

Rozpaczliwie próbowałam odzyskać kontrolę nad ciałem; ostatecznie udało mi się przewyciężyć niemoc i wstać z łóżka. Podeszłam do drzwi i cicho je uchyliłam. Światło księżycy wpadało przez okna, oświetlając korytarz. Pomimo, że była już późna wiosna, wyczuwałam wyraźny chłód desek pod bosymi stopami. *Jeszcze kawaleczek, już prawie* – mówiłam sobie w myślach. Sypialnia rodziców była zaraz za rogiem. Odetchnęłam z ulgą, gdy zobaczyłam wąski pasek światła wydobywającego się ze szczeliny pod drzwiami. Już chciałam je otworzyć, kiedy usłyszałam dźwięki rozmowy. W głosie mojej matki rozbrzmiewało zmartwienie, jakiego nigdy wcześniej w nim nie słyszałam. Moja dłoń zamarła w powietrzu.

– Martwię się. Jeśli tak dalej pójdzie, to ona...

– Nie możesz tego okazywać. Źle to wpłynie na Saki – powiedział ojciec ściszym głosem.

– Ale jeżeli nic się nie zmieni... Czy Rada Edukacji wykonała już ruch?

– Nie wiem.

– Ciężko wywrzeć na nich wpływ będąc opiekunem biblioteki. Nakładanie ograniczeń leży w twojej gestii. Czy nie możesz więc czegoś na to poradzić?

– Rada jest niezależną strukturą. Nie mam możliwości kwestionowania ich decyzji, a jako że jestem ojcem Saki, moje sugestie znaczą dla nich jeszcze mniej.

– Nie chcę stracić kolejnego dziecka!

– Jesteś zbyt głośno.

– Ona widziała przekłętego kota!

– Pewnie tylko jej się wydawało.

– A co, jeśli nie? Co wtedy zrobimy?

Cofnęłam się spod drzwi. Nie rozumiałam treści ich rozmowy, jednak oczywiste było, że usłyszałam coś, co nigdy nie miało być przeznaczone dla moich uszu.

Powróciłam do pokoju, stąpając równie cicho jak poprzednio. Na oknie siedziała bladoniebieska ćma wielkości mojej dłoni. Była niczym zwiastun złych wydarzeń wysłany z zaświatów. Nie było zimno, a mimo to nie mogłam przestać się trząść.

Co się dzieje? – pomyślałam. Po raz pierwszy w życiu czułam się zupełnie odsłonięta i opuszczona, nie było nikogo, kto mógłby mi pomóc. *Co się, do cholery, ze mną dzieje?*

Z sufitu dochodziło nieprzyjemne zgrzytanie.

Coś się zbliżało. Coś równie wielkiego jak mój strach. I było coraz bliżej i bliżej.

Ćma zerwała się z okna i zniknęła w mroku.

W następnej chwili framuga okienna zaczęła się trząść i klekotać, pomimo, że nie było wiatru. Trzęsła się coraz mocniej i mocniej, zupełnie jakby ktoś z zewnątrz próbował wyrwać ze ściany okno razem z ramą.

Drzwi otworzyły się szeroko, po czym zatrzasnęły z hukiem.

Wydałam z siebie zduszony odgłos. Ledwo byłam w stanie oddychać. Próbowałam brać głębokie wdechy, ale płuca odmawiały mi posłuszeństwa. *Coś nadchodzi! Nadchodzi! Nadchodzi...!*

Nagle wszystkie przedmioty w pokoju zaczęły dziko łomotać. Krzesło wraz ze stołem zaczęły podskakiwać, niczym wierzgające

kopytami dzikie konie; ołówki i pióra przeleciały przez izbę i wbiły się w drzwi. Łóżko zaczęło lewitować, zmierzając w kierunku sufitu.

Wrzasnęłam.

Z korytarza dobiegły mnie odgłosy biegu. Rodzice, wykrzykując moje imię, otworzyli na oścież drzwi i wbiegli do pokoju.

– Już dobrze, Saki! – powiedziała mama, mocno mnie przytulając.

– To coś... Co to jest?! – krzyknęłam.

– W porządku, nie bój się. To Błogosławieństwo! Wreszcie się doczekałaś!

– T-to...?

Z chwilą pojawienia się moich rodziców, niewidzialny potwór, demolujący mój pokój zaczął pomału się uspokajać.

– To znaczy, że od teraz jesteś dorosła, Saki – powiedział ojciec. W jego uśmiechu wyraźnie widziałam uczucie ulgi.

– Więc teraz ja...

– Ukończyłaś Szkołę Harmonii. Od jutra zaczynasz pobieranie nauk w Akademii Mędrców.

Pływająca leniwie w powietrzu książka opadła bez życia na podłogę. Łóżko zachwiało się i upadło z hukiem, zupełnie jakby pękła niewidzialna, utrzymująca je lina.

Matka uścisnęła mnie tak mocno, że aż poczułam ból.

– Dzięki niebiosom! Nie musimy się już niczym przejmować! – wykrzyzczała.

Poczułam ciepłe łzy płynące po karku i ogarnęło mnie uczucie ogromnej ulgi. Zamknęłam oczy.

Nigdy już jednak nie zapomniałam widoku mojej matki krzyczącej z przerażeniem, że nie chce stracić kolejnego dziecka.

Rozdział 3

Całkiem niedawno, studiując starożytną literaturę, natknęłam się na opis zjawiska znanego jako poltergeist.

Jestem w posiadaniu kilku książek, które udało się ocalić z biblioteki, nad którą pieczę sprawowała moja matka. Na ich okładkach stemplem wykonano znak: 詛 – oznacza on, że zaklasyfikowano książkę jako „przeklętą, oczarowującą”. Dla uczniów Szkoły Harmonii dostępne były tylko księgi klasy pierwszej, oznaczone jako „zalecane”, „wyśmienite” lub „dobre”. Do książek klasy czwartej, takie jak ta, którą teraz trzymam, miała dostęp tylko garstka ludzi. Zrządzeniem losu to właśnie tak sklasyfikowane dzieła ocalały z pożaru, jako że trzymano je głęboko ukryte w podziemnych magazynach.

Według książki, którą trzymam teraz w dłoniach, w przeszłości, gdy nie wszyscy posiadali cantus, mówiło się czasami o duchach stukających w ściany, latających sztućcach, meblach, które same się ruszały, skrzypiących dźwiękach w opuszczonych domostwach i o innych dziwnych zjawiskach. Większość opisanych przypadków ma wspólną cechę – praktycznie zawsze wiązały się one z obecnością dzieci, które wkraczały w wiek dojrzewania. Jedna z tłumaczących tą zależność teorii mówi, że w tym okresie największego rozchwiania emocjonalnego znajdowały one podświadomie ujście dla swojego popędu płciowego, co manifestowało się jako psychokineza.

Inaczej mówiąc, poltergeist to nic innego jak epizody nawracającej spontanicznej psychokinezy (NSPK). Nietrudno się domyślić, że Błogosławieństwo, które przyszło i do mnie, nie było niczym innym jak przejawem NSPK.

Wiele wydarzyło się w ciągu trzech kolejnych dni po tamtej nocy. Przedstawiciele Rady Edukacji odwiedzili nasz dom wkrótce po tym, jak rodzice poinformowali ich, że obudził się mój cantus. Wśród nich były dwie kobiety – starsza, odziana w białe szaty i młodsza, o wyglądzie nauczycielki, a także mężczyzna w średnim wieku,

którego ubranie przypominało robocze stroje mnichów. Starsza z kobiet nie tracąc czasu od razu przeszła do zadawania mi szczegółowych pytań na temat zdrowia i stanu emocjonalnego. Myślałam, że za chwilę zostanę oddelegowana do Akademii Mędrców, jednak to był dopiero początek procedury.

Powiedzieli mi, że muszą zabrać mnie z domu na pewien czas. Ubrana na białą kobieta wytłumaczyła mi, że nie muszę się niczego obawiać, bo to normalne postępowanie przed wstąpieniem do Akademii. Rodzice pożegnali mnie z uśmiechem na ustach; nie wyczułam by ukrywali jakieś obawy.

Zostałam zaprowadzona na pozbawioną okien barkę, gdzie podano mi miskę czegoś, co miało być środkiem zapobiegającym chorobie lokomocyjnej. Lek był słodki niczym brązowy cukier, ale pozostawiał straszliwie gorzki posmak. Gdy opróżniłam zawartość naczynia, poczułam jak moje myśli odpływają.

Wyczuwałam, że łódź porusza się dosyć szybko, lecz nie miałam pojęcia w którym kierunku zmierzamy. Rzeka, po której płynęliśmy nie mogła być zbyt szeroka; domyśliłam się tego po sposobie w jaki fale uderzały o barkę oraz po dźwięku wiatru. Przypuszczałam, że płyniemy głównym nurtem rzeki Tone. Chciałam się o to zapytać, jednak pomyślałam, że lepiej się nie odzywać, jeżeli nie jest to konieczne. Młodsza kobieta, która cały czas mi towarzyszyła, bez ustanku zadawała mi pytania. Nie dotyczyły jednak one żadnej konkretnej kwestii; nie zauważyłam też, by zapisywała moje odpowiedzi.

Trzy godziny później, po przebyciu wielu zakoli i zakrętów, łódź się zatrzymała. Przystań była obudowana, nie mogłam więc dostrzec, co znajduje się na zewnątrz.

Następnie weszliśmy na schody, prowadzące do wyglądającej jak świątynia budowli, jednak, jak można się było spodziewać, z nich również nie dało się zobaczyć otoczenia.

Na powitanie wyszedł młody mnich ze świeżo ogoloną głową, ubrany w czarne szaty. Wraz z nim i trójką przedstawicieli Rady

weszłam do środka, gdzie zostałam zaprowadzona do pustego pokoju, urządzonego w tradycyjnym stylu. Na ścianie wisiał zwój z niedawno wykonaną kaligrafią. Nie umiałam przeczytać jego treści, ale przypominał wyglądem ten, który wisiał w Szkole Harmonii.

Uklękałam na macie tatami, ale idąc za przykładem mnicha szybko zmieniałam pozycję na kwiat lotosu, kładąc stopy na udach. Wydawało mi się, że chce on, abym pomedytowała i pozbierała myśli. Nie było to dla mnie niczym nowym; w Szkole Harmonii codziennie medytowaliśmy. Żałowałam jednak, że nie ubrałam jakiejś wygodniejszej pary spodni.

Wzięłam głęboki wdech i jak najszybciej spróbowałam oczyścić umysł. Jak się okazało, pośpiech nie był potrzebny bo i tak musiałam czekać jeszcze jakieś dwie lub trzy godziny. Podczas oczekiwania uświadomiłam sobie, że już zaszło słońce. Czas wydawał się tu płynąć w innym tempie. Nie potrafiłam w pełni poświęcić się medytacji; z jakiegoś powodu trudno było mi się skupić na jednej myśli.

Gdy w pokoju zaczęło robić się ciemno, poczułam się trochę nieswojo. Na początku nie wiedziałam dlaczego, jednak po chwili zrozumiałam, że pomimo zachodu słońca nie usłyszałam „Powrotu do domu”. Nawet w najodleglejszym zakątku Kamisu 66 można było usłyszeć tę melodię; jeżeli do tego miejsca dźwięki nie docierały, mogło to oznaczać tylko, że jestem poza Świętą Barierą. *Czy to w ogóle możliwe?* – pomyślałam.

W końcu natura dała o sobie znać i poczułam, że muszę wyjść za potrzebą. Poinformowałam o tym głośno, ale nikt mi nie odpowiedział; uznałam więc że nie mam innego wyjścia i muszę opuścić pomieszczenie. Korytarz był wyłożony słowiczą podłogą¹, która skrzypiała za każdym razem gdy postawiło się na niej krok. Łazienka znajdowała się na szczęście zaraz za rogiem.

¹ Wikipedia: Słowicza podłoga (jap. 鶯張り Uguisu-bari?, zw. także "śpiewająca podłoga") - specjalna konstrukcja podłóg korytarzy w siedzibach japońskich władców, chroniąca przed próbą niepostrzeżonego i niepożądanego wtargnięcia do zamkowych komnat.

Kiedy wróciłam do swojej izby, świeciło się w niej światło, a na środku podłogi siedział stary, zgarbiony mnich o białych wąsach. Miałam tylko dwanaście lat, a mimo to byłam od niego wyższa. Wyglądał na naprawdę bardzo sędziwego. Nosił proste, wielokrotnie łatane szaty; od razu dało się zauważyć że bije od niego szlachetność, nawet jeżeli nie odezwał się ani jednym słowem. Uklękłam przed nim.

– Jak się czujesz? Jesteś głodna? – zapytał z uśmiechem.

– Troszeczkę.

– Przebyłaś długą podróż, chętnie ugościłbym cię naszymi wegetariańskimi potrawami. Niestety, do jutrzejszego poranka musisz pościć. Wytrzymasz?

Jego słowa trochę mnie zawiodły, ale przytaknęłam.

– Przy okazji, jestem głównym mędrcem w tej świątyni. Mam na imię Mushin.

Wzdrygnęłam się bezwiednie. Nie było w Kamisu 66 osoby, która nie znałaby imienia tego uświęconego kapłana. Shisei Kaburagi cieszył się respektem za siłę swojego cantusu; Mushina szanowano w takim samym stopniu za jego charakter.

– Ja... Ja jestem Saki Watanabe.

– Dobrze znam twoich rodziców. – Pokiwał głową. – Byli niesamowitymi dziećmi i spodziewałem się, że wyrosną na ludzi, na których będzie mogła polegać cała wioska. Nie zawiedli moich oczekowań.

Nie wiedziałam co odpowiedzieć, ale przyjemnie było słuchać, jak chwali moich rodziców.

– Twój ojciec lubił płatać figle. Każdego dnia obrzucał szkolny posąg z brązu fałszywymi jajami sianokulek. Smród był okropny i nie mogliśmy się go pozbyć. Tak przy okazji, to był mój posąg. Byłem wtedy dyrektorem Szkoły Harmonii.

– Naprawdę? – Pierwszy raz usłyszałam że Naczelny Mnich Mushin był w przeszłości dyrektorem. Równie ciężko było mi przyjąć do wiadomości, że mój ojciec miał taką samą osobowość jak Satoru.

– Saki, niedługo wstąpisz do Akademii Mędrców i staniesz się dorosła. Jednak zanim to nastąpi musisz spędzić w samotności noc w świątyni.

– A gdzie jest ta świątynia? – Wiedziałam, że to nieuprzejmie przerywać jego wypowiedź, ale zżerała mnie ciekawość.

– Jesteśmy w niej. To jest Świątynia Czystości. Zazwyczaj można mnie spotkać w Świątyni Nieskalanej Ziemi w Zbożowym Kręgu, której przewodzę, ale zawsze przybywam tutaj na ceremonie przejścia w dorosłość, aby spalić cedrowe gałązki.

– Czy to możliwe, że znajdujemy się poza Świętą Barierą?

Naczelny Mnich Mushin spojrział z lekkim zdziwieniem.

– Tak jest w istocie. Po raz pierwszy w życiu znalazłaś się poza Barierą. Nie ma się jednak czym martwić, to miejsce jest chronione równie silną mocą.

– Rozumiem – odpowiedziałam. Łagodny głos Mushina mnie uspokoił.

– Cóż, czas się przygotować. Palenie gałązek cedru samo w sobie nie jest niczym nadzwyczajnym; to normalny rytuał. Przedtem jednak muszę wygłosić kazanie. Nie będzie ono zbyt formalne, więc nie musisz się przejmować. Możesz podczas niego stać się śpiąca, ale nie będę miał nic przeciwko temu jeżeli uśniesz.

– Ale to...

– Nie, nie. Naprawdę, to nic takiego. Dawniej przysyłano nawet do mojej świątyni ludzi cierpiących na bezsenność, żebym pomógł im w ten sposób. Zaczęło się to od pewnego razu, gdy miałem wygłosić przemówienie, ale nikt nie chciał go słuchać. Zebrałem więc grupkę ludzi mających problemy ze snem. Osobiście uważam, że spędzanie całej nocy nie śpiąc, ale nie robiąc też nic innego jest stratą czasu. W każdym razie po dziesięciu minutach wszyscy już chrapali.

Mowa Naczelnego Mnicha Mushina nie była powolna i nudna jak większości ludzi w jego wieku; w jego głosie był jakiś czar powodujący że chciało się go słuchać. Z łatwością przychodziło mi rozmawianie i śmianie się z nim.

Jeśli chodzi o kazanie, to nie okazało się na tyle nudne, żebym usnęła, ale muszę przyznać, że nie było też specjalnie porywające. Dotyczyło ono Złotej Zasady: traktuj innych tak, jak sam chciałbyś być traktowany, stawiaj się na miejscu drugiej osoby i pomyśl jak czułbyś się w jej sytuacji.

– To wydaje się proste, ale dokładne zrozumienie jest trudne – mnich ciągnął swoje przemówienie. – Dla przykładu: wraz z przyjacielem wspinasz się na górę i stajesz się coraz bardziej głodna. Twój kompan wyciąga ryżową kulkę, którą zabrał ze sobą i zaczyna ją jeść, podczas gdy ty nie masz pożywienia. Pytasz się, czy się z tobą podzieli, ale on odpowiada, że to niepotrzebne.

– Dlaczego?

– Bo on może znieść twój głód.

Odpowiedź mnie zszokowała. Nawet jeśli miała być to jakaś alegoria, było to kompletnie niewytłumaczalne.

– Nie wydaje mi się, żeby ktoś mógł zachować się w taki sposób.

– Masz rację, ale gdyby jednak tak się stało? Co byś pomyślała? Co w takim zachowaniu jest niewłaściwe?

– Co jest niewłaściwe? – Nie bardzo wiedziałam co odpowiedzieć. – Myślę... Myślę, że to pogwałcenie Kodeksu Etyki.

Mushin skinął głową uśmiechając się nieznacznie. – Czegoś tak oczywistego najprawdopodobniej próżno szukać w Kodeksie Etyki.

Jego słowa miały sens. Gdyby Kodeks regulował tak drobne szczegóły życia, musiałyby mieć tyle tomów, że dałoby się z nich ułożyć ścieżkę od biblioteki po samą Świętą Barierę.

– Odpowiedź na to pytanie nie jest racjonalna; chodzi o uczucia.
– Naczelny Mnich uderzył się w klatkę piersiową.

– Mam to poczuć w sercu?

– Dokładnie tak. Czy potrafisz poczuć swoim sercem cierpienie przyjaciela? Jeżeli tak, to na pewno chciałabyś mu jakoś pomóc, prawda? To najważniejszy aspekt człowieczeństwa.

Przytaknęłam.

– Czy potrafisz poczuć cierpienie drugiego człowieka?

– Tak.

– Nie chodzi tylko o teorię. Czy naprawdę potrafisz wczuć się w inną osobę i odczuć jej ból jako swój własny?

– Tak, potrafię – odpowiedziałam z pewnością w głosie. Myślałam, że to koniec rozmowy, ale Mushin powiedział coś, czego zupełnie się nie spodziewałam.

– Dlaczegoż by więc tego nie sprawdzić?

Podczas gdy zastanawiałam się, o co mu chodzi, mnich wyciągnął spod swych szat nóż, prezentując jego chłodne, błyszczące ostrze. Byłam zszokowana.

– Oto na czym będzie polegał eksperyment: sprawdzimy czy poczujesz moje cierpienie, jeżeli zrobię coś takiego. – Bez ostrzeżenia dźgnął się nożem w nogę.

Patrzyłam w osłupieniu.

– Po odpowiednim treningu można nauczyć się znosić ból zadawany ciału. Poza tym, w moim wieku nie krwawi się już zbyt mocno – wymamrotał niewyraźnie.

– Przestań, proszę! – krzyknęłam, gdy otrząsnęłam się z pierwszego szoku. Mój głos się łamał, a serce dziko łomotało w piersi.

– To dla ciebie. Czy naprawdę, prawdziwie czujesz mój ból? Jeżeli tak, to przestanę.

– Czuję, więc przestań, błagam!

– Nie, nie czujesz. Wciąż tylko go sobie wyobrażasz. Prawdziwe cierpienie płynie z serca.

– Więc... – Nie wiedziałam co mam robić. Nogi odmawiały mi posłuszeństwa.

– Rozumiesz? Dopóki nie poczujesz bólu, muszę to robić. Tylko w ten sposób mogę cię czegoś nauczyć.

– A-ale jak mogę...?

– Przestań używać wyobraźni. Poczuj to. To... ty... mi... to... robisz. – Głos Naczelnego Mnicha Mushina był pełen bólu. To... przez... ciebie... cierpię.

Myślałam, że moje serce zaraz się zatrzyma. Co, na niebiosa, mogłam zrobić żeby go powstrzymać?

– Pomóż mi, proszę – powiedział niskim, zachrypniętym głosem.
– Powstrzymaj to, pomóż mi.

Nie bardzo wiem jak wytłumaczyć, co się wtedy stało. Choć było to zupełnie irracjonalne, zaczęłam pomału wierzyć, że to rzeczywiście ja torturuję mnicha. Z oczu popłynął mi strumień łez.

Naczelnny Mnich Mushin zajęczał z bólu. Ręka trzymająca zagłębiony w łydce nóż drżała.

Wtedy stało się coś niesamowitego. Moje ciało zesztyniało i straciłam możliwość ruchu, pole widzenia znacznie się zwężyło a na piersiach poczułam ogromny ciężar, uniemożliwiający mi złapanie oddechu.

– Proszę... Nie... zabijaj...mnie.

Te słowa coś we mnie wyzwoliły. Po lewej stronie klatki piersiowej poczułam ostry, kłujący ból promieniujący po sam czubek głowy. Straciłam równowagę i upadłam na tatami.

Moje serce. Mój oddech. Nie mogłam złapać tchu, moje usta otwierały się i zamykały, jak u ryby wyciągniętej z wody.

Zobaczyłam nad sobą Naczelnego Mnicha, obserwującego mnie jakbym była zwierzęciem laboratoryjnym.

– Już wystarczy, pozbieraj się. – Jego głos wydawał się dochodzić z bardzo daleka. – Wszystko w porządku, Saki. Spójrz, nic mi nie jest.

Jak przez mgłę zobaczyłam, jak staje przede mną jak gdyby nic się nie stało. Nigdzie nie widziałam rany.

– Popatrz dokładnie, nie zraniłem się. Ten nóż jest fałszywy, specjalnie wykonany tak, aby niczego nie mógł przekłuć.

Kiedy popchnął ostrze, schowało się ono do rękojeści.

Przez dłuższą chwilę leżałam jeszcze na podłodze, wciąż totalnie oszołomiona. Wkrótce jednak ból ustąpił i znów mogłam się poruszać.

Wstałam, wściekła z powodu żartu, jaki sobie ze mnie zrobiono. Chciałam otworzyć usta by coś powiedzieć ale uświadomiłam sobie, że nie mogę tego zrobić.

– Wstrząsające, czyż nie? Ale oznacza to, że pomyślnie zdałaś ostatni test. – Twarz Mushina odzyskała zwyczajny, życzliwy wyraz. – Jeżeli możesz poczuć czyjeś cierpienie jako swoje własne, nie pozostaje już nic co mogłoby nas martwić. Nadszedł czas, byś została obdarowana własną mantrą.

Odzyskałam normalne czucie w ciele, lecz wciąż nie mogłam wykonać żadnego ruchu poza przytaknięciem.

– Proszę cię jednak, byś nigdy nie zapomniała tego bólu. Pamiętaj o nim zawsze i wszędzie, i spraw, by stał się częścią ciebie. – Jego słowa sięgnęły głęboko do mojego serca. – Taka jest właśnie różnica między ludźmi a potworami.

Jeden z obecnych w sali modlących się mnichów rzucił na ołtarz garść czegoś, co wyglądało jak pigułki i polał je zapachowym olejkiem a następnie rozpalił ogień.

Dźwięk sutr nuconych przez mnichów przywodził na myśl niosący się echem koncert tysiąca cykad.

Obmyłam się i ubrałam białe szaty, podobne do tych, w jakich chowa się zmarłych. Usiadłam za medytującym mnichem i złączyłam dłonie.

Rytuał ciągnął się bez końca a ja byłam coraz bardziej zmęczona. Świt musiał być już blisko. Moje myśli unosiły się swobodnie i znikwały, niczym pękające bąbelki. Za każdym razem gdy mnisi wrzucali coś do ognia, wydawało mi się, że to moje własne grzechy i zmartwienia ulegają spaleni. W pewnym momencie pomyślałam, że muszę mieć ich nadzwyczaj dużo, jako że ceremonia się przedłużała.

– Twoje ciało i dusza zostały dostatecznie oczyszczone. Nadszedł teraz czas, by spalić ostatnie z twoich doczesnych pragnień – powiedział Naczelny Mnich Mushin zza moich pleców.

Ukłoniłam się. Wreszcie byłam wolna.

– Spójrz na płomienie. – Głos dochodzący z ciemności brzmiał jakby płynął z samych niebios. – Spójrz na płomienie.

Skupiłam wzrok na ogniu tańczącym na ołtarzu.

– Spróbuj ugiąć płomień.

– Nie potrafię. – Od czasu, gdy przyszło Błogosławieństwo nie próbowałam nawet używać cantusu.

– Potrafisz to zrobić. Spraw, by płomienie się zachwiały.

Wpatrywałam się w ogień.

– W lewo i w prawo. Z jednej strony na drugą... lewo, prawo.

Ciężko było się skoncentrować, ale po chwili zdołałam się silniej skupić i płomień pojaśniał. Jego wewnętrzna część świeciła coraz silniej, ale zewnętrzne krawędzie zaczęły migotać. *Porusz się. Porusz.* – pomyślałam.

Po chwili coś sobie uświadomiłam. *Nie, to nie płomień* – przyszło mi na myśl. Ogień tworzą tysiące świecących drobinek, ale są one zbyt rozproszone, by dało się je kontrolować.

Musiałam poruszyć powietrze.

Zauważyłam, że muszę się skoncentrować na gorącej otoczce płomienia. Na jasnym, drżącym strumyku ciepłego powietrza.

Skupiłam się z całych sił.

Ruszaj się, ruszaj... Szybciej.

Strumień powietrza nieznacznie przyspieszył. Już po chwili ogień ugiął się na wszystkie strony, jakby był poruszany podmuchami silnego wiatru.

Zrobiłam to.

Poczułam niesamowitą satysfakcję. To niewiarygodne, że mogłam poruszać wszystkim tak, jak chciałam, bez użycia rąk. Wzięłam głęboki wdech i jeszcze raz dotknęłam płomieni moją świadomością.

– Wystarczy już. Przestań – przerwał mi ostry głos.

Moja koncentracja runęła niczym domek z kart, a obraz który wykształciłam w myślach został pochłonięty przez ciemność.

– Twoim ostatnim pragnieniem jest twój cantus.

Nie od razu zrozumiałam znaczenie tych słów.

– Odrzuć wszystkie pragnienia. By doznać oświecenia musisz spalić je w tym ogniu.

Nie mogłam w to uwierzyć. Dopiero co uzyskałam swoją moc. Dlaczego miałabym znów się jej pozbawić?

– Musisz zwrócić bogom siłę darowaną ci przez niebiosa. Od tej chwili twój cantus zostaje zapieczętowany w tej figurce.

Musiałam być posłuszna. Położono przede mną wykonaną z dwóch kawałków złożonego papieru kukielkę przedstawiającą człowieka. Na jej głowie i korpusie widniały znaki przypominające sanskryt.

– Przejmij nad nią kontrolę i spraw, by wstała.

To zadanie było wyraźnie trudniejsze niż poprzednie, zwłaszcza, że trudniej było mi się skoncentrować przez to, co właśnie usłyszałam. W końcu jednak papierowy człowieczek zaszeleścił i wstał.

– Przelej w tę figurkę wszystkie swoje emocje.

Papierowa głowa. Papierowe ciało. Papierowe kończyny. Kształt, którego nie można z niczym pomylić. Kształt człowieka.

Czułam jak moje ciało zlewa się w jedno z kukielką. Przełam siłę w jej nogi, chwiejąc się niczym laleczka *daruma*. Figurka posłusznie wstała. Raz jeszcze poczułam jak wypełnia mnie poczucie szczęścia i potęgi.

– Saki Watanabe, twoja moc została zapieczętowana! – Donośny głos mnicha rozbrzmiał w świątyni, przerywając moją euforię.

Sześć długich kolców zaświszczało w powietrzu, przesywając głowę, tors i kończyny ludzika.

– Wszystkie twoje pragnienia zostały spalone. Niech prochy powrócą do przepastnej, nieokiełznanej ziemi.

Mnich przerwał modlitwę i wrzucił kukielkę do ognia. Płomienie prawie eksplodowały, buchając po sam sufit i prawie go osmalając.

– Twój cantus został usunięty.

Mogłam jedynie obserwować w oszołomieniu bieg wydarzeń.

– Spójrz w płomienie – ponownie nakazał mi Naczelny Mnich Mushin. – Nie możesz już ich kontrolować. Spróbuj to zrobić. – Jego głos był pozbawiony emocji.

Utkwiłam wzrok w ogniu, lecz tym razem nie potrafiłam niczego dostrzec. Nieważne jak się starałam, nie mogłam niczego zmienić. *Czy już nigdy nie doznam tego uczucia potęgi?* Po policzkach pociekły mi łzy.

– Poświęciłaś się, odrzucając swoją moc. – Głos Mushina znowu stał się ciepły i łagodny. – Zgodnie z naukami Buddy otrzymasz więc teraz czystą mantrę, nową duszę, a twój cantus będzie ci zwrócony.

Uderzył mnie laską Zen w oba ramiona. Zwiesiłam głowę. Intonowane przez mnichów pieśni stały się głośniejsze.

Mushin nachylił się nade mną, tak, że tylko ja mogłam usłyszeć jego słowa i wyszeptał mi do ucha moją nową mantrę.

Kontynuowanie opowieści w tym miejscu stanie się trochę kłopotliwe. Nieważne, jak bardzo bym się starała, nie jestem w stanie zapisać swojej mantry.

Nawet teraz nasza społeczność przywiązuje dużą wagę do znaczenia mantr. Są one słowami skierowanymi do bogów i kluczami do naszego cantusu. Istnieje przekonanie, że nie powinno się wypowiadać mantr bez celu, bo może to doprowadzić do utraty mocy.

Z drugiej strony, to tylko wyrazy, które trzeba wymówić. Dźwięki bez żadnego znaczenia. Nie wydaje mi się, by ich ujawnienie tutaj mogło wyrządzić jakieś szkody.

Głęboko w mojej podświadomości najwyraźniej wykształcił się naturalny mechanizm obronny chroniący przed ujawnieniem słów mantry. Nie do końca rozumiem, dlaczego tak jest i chciałabym poznać przyczynę takiego stanu rzeczy. Do dzisiaj, gdy próbuję

napisać słowa mantry, coś sprawia, że nie mogę ruszyć ręką trzymającą pióro.

Mając na uwadze, że niektórzy mogą być ciekawi jak wyglądała mantra, podaję przykład:

Namo ākāśagarbhaya om ārya kamari mauli svāhā.

Jest to akurat mantra Akaśagarbhy bodhisattwy, należąca do Satoru.

Moja ceremonia przejścia w dorosłość trwała jeszcze kilka godzin, lecz nie ma potrzeby, by to opisywać. W każdym razie, gdy dobiegła końca, na wschodzie pojawiały się pierwsze promienie słońca a wszyscy byli kompletnie wyczerpani.

Cały kolejny dzień spałam jak zabita. Gdy się obudziłam, spędziłam trochę czasu na pomaganiu mnichom. Następnego dnia pozwolono mi wrócić do domu.

Naczelny Mnich Mushin i jego uczniowie ze Świątyni Czystości życzyli mi szczęścia i pożegnali mnie pod młodymi liśćmi drzew wiśni. Ponownie weszłam na barkę bez okien, która zabrała mnie z powrotem do wioski. Tym razem podróż trwała tylko dwie godziny.

Moi rodzice mocno i długo mnie wyściskali. Tej nocy urządzono dla mnie przyjęcie; stoły uginały się pod półmiskami moich ulubionych potraw. Były tam ciepłe pierożki yam, surowe filety z flądry z modyfikowanym białkiem, pikantna zupa z kraba tygrysięgo...

W ten sposób zakończyło się moje długie dzieciństwo. Następnego dnia miałam rozpocząć zupełnie nowe życie.

Akademia Mędrców znajduje się w Zbożowym Kręgu, podobnie jak Szkoła Harmonii, leży jednak znacznie dalej na północ, niedaleko granicy z Sosnowym Wiatrem. Do kamiennego budynku Akademii zostałam odprowadzona przez nauczyciela ze starej szkoły, ale do klasy musiałam wejść już sama. Ze zdenerwowania zaschło mi w ustach.

Tuż po prawej od drzwi znajdował się podest, ściana na wprost była przyozdobiona dewizą Akademii, natomiast po mojej prawej

stały ustawione w półokrąg ławki, w których w ciszy siedziało około trzydziestu uczniów.

Pan Endou zaprosił mnie gestem dłoni na podest. Czułam, że nogi mam jak z galarety. Nigdy wcześniej nie byłam obiektem uwagi tak wielu osób; czułam się naga i bezbronna.

Nie potrafiłam znaleźć w sobie nawet tyle odwagi, by spojrzeć na klasę z podestu. Rzuciłam jedynie szybko okiem na kolegów; zauważyłam, że wszyscy odwrócili wzrok. Nagle przypomniało mi się jakieś miejsce, które odwiedziłam w przeszłości. Nie chodziło o Szkołę Harmonii, to było gdzieś indziej. *Ale gdzie?* W klasie panowała taki sama atmosfera jak w tamtym miejscu. Ogarnęło mnie dziwne uczucie *déjà vu*.

– Oto wasza nowa koleżanka, Saki Watanabe. – Pan Endou napisał moje imię na tablicy. Właściwie to nie do końca można powiedzieć, że pisał; w przeciwieństwie do nauczycieli ze Szkoły Harmonii nie używał rąk. Wykorzystywał *cantus* do formowania z kredowych drobinek wyrazów na tablicy.

– Znasz już uczniów ze Szkoły Harmonii, prawda? Mam nadzieję, że szybko zaprzyjaźnisz się również z pozostałymi.

Wszyscy zaczęli klaskać. Zdałam sobie sprawę, że są równie zdenerwowani jak ja.

Trochę spokojniejsza, rozejrzałam się po sali. Zobaczyłam Marię, Shuna i Satoru machających do mnie.

Gdy dokładnie przyjrzałam się pozostałym uczniom, zauważyłam że mniej więcej jedna trzecia z nich to moi koledzy z klasy ze Szkoły Harmonii. Pomimo, że każdy zaczynał naukę w Akademii innego dnia, i tak najsensowniejszy pozostawał podział na klasy pod względem wieku. Gdy to sobie uświadomiłam, mój nastrój znacznie się poprawił i po raz pierwszy zaczęłam się zastanawiać, czego będę się uczyła w tym miejscu.

Podczas przerwy wszyscy uczniowie ze Szkoły Harmonii zebrali się wokół mnie, jakby czekali na mnie od wieków.

– Trochę to ci zajęło, co? – jako pierwszy zwrócił się do mnie Shun. Gdyby to Satoru powiedział coś takiego, pewnie bym go uderzyła, jednak tylko się uśmiechnęłam.

– Przepraszam, że musieliście czekać.

– Czekanie było już naprawdę męczące – powiedziała Maria, przytulając mnie i dotykając swoim czołem mojego.

– Jestem późnym kwiatem. To nie tak, że Błogosławieństwo które przyszło wcześniej jest lepsze.

– Masz rację, ale jesteś ostatnia ze Szkoły Harmonii. Nie wiem czemu, ale twoje Błogosławieństwo było strasznie apatyczne – odparł Satoru, kompletnie zapominając o tym, że sam nie należał do najszybszych.

– Widzę, że zupełnie się nie zmieniłeś... Czekaj. – Nagle uświadomiłam sobie, że coś się nie zgadza. – Jak to ostatnia? To nieprawda, zostali jeszcze inni.

Wszyscy zamilkli. Ich twarze były równie pozbawione emocji jak maski *shinshi*.

– Nie uczymy się tu tylko teorii, ćwiczymy też umiejętności praktyczne... – przerwała ciszę Maria. – Jestem najlepsza w klasie, jeśli chodzi o manipulację powierzchnią wody, wiesz?

– Za to zupełnie ci nie idzie w wymianie energii.

– Nauczyciel mówi, że na razie najważniejsza jest zdolność stworzenia obrazu w umyśle.

Wszyscy zaczęli mówić jednocześnie. Brzmiało to dla mnie jak niezrozumiały bełkot; rozmawiali o rzeczach, których się już nauczyli i przechwalali się wiedzą. Nie podobało mi się to. Nie przerwałam im jednak i zachowałam się zgodnie z zasadą, którą nam wpajano: udawania, że pewne rzeczy, o których mówienie jest zabronione w ogóle nie istnieją.

Jako że nie mogłam włączyć się do rozmowy, tylko przysłuchiwałam się kolegom. Pierwsze wrażenie, jakie wywarła na mnie klasa było dziwne, ale wciąż byłam przekonana że już gdzieś, kiedyś czułam coś podobnego.

Gdy zadzwonił dzwonek i wszyscy udali się do ławek, nagle mnie olśniło.

– To było na Farmach Lotosu...

– Co tam było? – spytał Satoru, który jako jedyny usłyszał co powiedziałam pod nosem.

– Ta klasa przypomina mi farmę – odparłam po chwili zadumy.

– Pamiętasz? Tę, którą odwiedziliśmy podczas wycieczki, jeszcze w Szkole Harmonii.

Twarz Satoru zmarszczyła się, gdy usłyszał nazwę szkoły. – Akademia Mędrców przypomina ci farmę? O czym ty mówisz?

– Po prostu panuje tu taka sama atmosfera. – Naszło mnie jakieś nieprzyjemne uczucie, którego nie potrafiłam sprecyzować.

– Nie mam pojęcia o co ci chodzi. – Nastrój Satoru jakby nagle się pogorszył, ale nie zdążyłam nic mu odpowiedzieć, bo rozpoczęła się lekcja.

Farmy Lotosu, które odwiedziliśmy na wycieczce szkolnej w ramach lekcji o społeczeństwie znajdują się w Żłocistej Wiosce. Im bardziej zbliżał się okres ukończenia szkoły tym częściej zabierano nas na podobne wyprawy. Najwyraźniej chciano skłonić nas w ten sposób do zastanowienia się, jaką pracę chcielibyśmy wykonywać w przyszłości. Widok linii produkcyjnych był naprawdę zachwycający; sprawiał, że aż chciało się szybciej dorosnąć. Przedmioty wykonywane z gliny i szkła, tworzone przez członków gildii rzeźbiarskiej były niesamowite. Sposób w jaki używali cantusu do produkcji nieprawdopodobnie wytrzymałej ceramiki i przejrzystego jak powietrze szkła sprawił, że wszyscy nagle zapragnęliśmy zostać rzeźbiarzami.

Najsilniej jednak odcisnęła się nam w pamięci wycieczka na Farmy Lotosu.

Był to zespół farm badawczych, rozrzuconych po wszystkich wioskach. Pierwszą odwiedziliśmy placówkę w Białym Piasku. Znajdowały się tam pola ryżowe nawadniane słoną wodą. Ryż, który spożywamy pochodzi normalnie z pól Żłocistej Wioski; ta plantacja

była jednak inna. Pola były zanurzone w oceanie, a dzięki zastosowaniu metody, którą nazywano odwróconą osmozą, możliwe było odfiltrowywanie soli. Spróbowaliśmy tutejszego ryżu; ku naszemu zdziwieniu okazał się zupełnie jadalny a soli prawie nie dało się wyczuć.

Następnie udaliśmy się do jednostki trudniącej się jedwabnictwem, gdzie ogromna liczba jedwabników tkala swe różnobarwne kokony. Wytwarzanego z ich nici materiału nie tylko nie trzeba było barwić; jego kolor nigdy nie blaknął po praniu.

W sąsiednim budynku znajdowała się hodowla zagranicznych gatunków, wykorzystywanych w procesie wybiórczego rozrodu. Jedwabniki z Indonezji były znane ze złocistego koloru swoich nici, indyjskie robaki Tasar przędły nić dziesięciokrotnie grubszą niż normalna, setki jedwabników z Ugandy budowały kokony wielkości piłki do rugby...

Najbardziej niesamowite były jednak jedwabniki Hitachi, trzymane w osobnym, hermetycznym pomieszczeniu. Dwumetrowe owady o trzech głowach mogły jednocześnie pożerać ogromne ilości liści morwy i wypluwać jedwabne nici. Wyglądało to tak, jakby w ogóle nie miały zamiaru robić kokonów, a jedynie pluć jedwabiem we wszystkie strony. Szybę, służącą do obserwacji trzeba było często czyścić od wewnątrz, aby jedwab zupełnie nie zasłonił widoku. Przewodnik wyjaśnił nam, że z powodu ogromnych rozmiarów owady mają trudność z oddychaniem, więc do ich pomieszczenia pompuje się czysty tlen. Stężenie gazu było tak wysokie, że najmniejsza iskra mogła spowodować wybuch, dlatego też trzymano jedwabniki w odizolowanym, hermetycznie zamkniętym pokoju.

W dalszej kolejności odwiedziliśmy farmę warzywną. Uprawiano tam zwykłe i słodkie ziemniaki, cebulę, rzodkiewki, truskawki i wiele innych roślin. Nasza wyprawa przypadła na środek zimy, dlatego część pól była pokryta przypominającymi kupki śniegu bąblami. Ziemniaki są bardzo wrażliwe na zimno, więc gdy temperatura zbyt mocno spadała, chroniono je wykorzystując

pęcherze wytwarzane przez insekty zwane piewikami grządkowymi. Kiedyś pieвики były szkodniczymi owadami, jednak dzięki cantusowi udało się je zmutować w nieszkodliwy, pożyteczny gatunek.

Pola było dodatkowo chronione przez olbrzymie osy w lśniących, czerwonych pancerzykach. Karmazynowe osy były hybrydą szerszenia azjatyckiego i brunatnego. Polowały wyłącznie na szkodniki, nie robiąc krzywdy ludziom i żadnym zwierzętom hodowlanym.

Naprzeciwko pól znajdowały się obory. Myślałam, że znam powód dla którego odwiedzamy je na samym końcu. W przeciwieństwie do roślin i owadów, ssaki zmienione przez cantus w celu zwiększenia produkcji mięsa, mleka czy wełny nie mogły wyglądać zbyt pięknie. Wszystkim ulżyło, kiedy okazało się że stojące w swoich zagrodach krowy wyglądają całkiem zwyczajnie.

– Co, do diabła? Tu są tylko zwykłe krowy. – Brak taktu Satoru nigdy nie przestał mnie zadziwiać.

– Nieprawda – rzekł Shun, wskazując na kąt zagrody. – Czy to nie są krowy workowe?

Wszyscy spojrzeliśmy w tamtym kierunku.

– Rzeczywiście, mają worki! – wykrzyknęła Maria z podnieceniem.

Pomiędzy tylnymi nogami brązowej krowy znajdował się niewielki, biały balon.

– Och, wszystkie z nich to krowy workowe – powiedział przewodnik. Był dobrze zbudowanym mężczyzną, którego imienia nie pamiętam. Wyglądał na lekko niespokojnego, zupełnie jakby nie chciał poruszać tematu tych zwierząt.

– Dlaczego nie usuwa się tych worków? – spytał Satoru, zupełnie nieświadomy zakłopotania przewodnika.

– Cóż... Dawno temu wszyscy hodowcy krów mlecznych mówili, że krowy workowe mają lepszą odporność i nie zapadają na większość chorób. Próbujemy dowiedzieć się, czy to rzeczywiście prawda.

Krowy workowe nas zaintrygowały; nie było w tym nic dziwnego, bo były to pierwsze zmutowane zwierzęta jakie zobaczyliśmy podczas wycieczek.

Posiadam książkę, zatytułowaną „Historia naturalna Nowych Wysp Japońskich”, która lepiej tłumaczy kwestię tych zwierząt. Należy ona do trzeciej klasy książek, która obejmuje tomy, przy czytaniu których należy zachować ostrożność, bo są potencjalnie szkodliwe dla psychiki czytelnika. Pozwolę sobie przytoczyć fragment tej księgi:

Bydło workowe, wcześniej znane jako krowy pęcherzowe bierze swoją nazwę od worka, który posiada. Interesującym zbiegiem okoliczności jest podobieństwo jego nazwy do worecznic.¹

Worecznice są skorupiakami, należącymi do wąsonogów. Przypominają woreczek, skąd wzięła się ich nazwa; na pierwszy rzut oka nie wykazują podobieństwa do powszechnie znanych gatunków skorupiaków, takich jak kraby czy krewetki. Taki wygląd jest adaptacją do pasożytniczego trybu życia, jaki prowadzą żerując na innych skorupiakach, na przykład na japońskich krabach wełnistoszczypcyh.

Jako cyprisy, żeńskie worecznice przyczepiają się do ciała ofiary i rozpoczynają proces wnikania do żywiciela. Do ciała kraba wstrzykiwany jest zbitek komórek somatycznych, które przytwierdzają się od wewnątrz, a następnie przebijają się przez brzuch kraba i wytwarzają worek. W istocie jest on jajnikiem, nie posiada kończyn ani układu pokarmowego. Komórki w jego wnętrzu tworzą podobne do korzeni struktury, wnikające w ciało żywiciela i pobierające z niego substancje odżywcze.

Zaatakowany krab staje się bezpłodny; zjawisko to nazywane jest kastracją pasożytniczą.

(fragment pominięty)

Z drugiej strony, istniała teoria, mówiąca, że worki u krów są rodzajem guza jąder lub jajników. Nie wpływały one jednak na stan zdrowia bydła, więc uznawano je za łagodne i ignorowano. W ostatnich latach obalono jednak tę teorię, odkrywając, że worki są w istocie

¹ Worecznice – rodzaj skorupiak, należącego do rzędu rozgłowców (łac. Rhizocephala); w oryginale podobieństwo nazw dotyczy właśnie rzędu, słowo „Rhizocephala” zawiera w sobie słowo „worek”

niezależnymi organizmami, podobnie jak worecznice. Można nawet stwierdzić, że zdołały one wyewoluować do takiego stopnia, że powstał nowy gatunek bydła.

Nie wiadomo co dało początek bydłu workowemu; jednak powszechnie uznawana jest teoria, mówiąca o przypadkowej ewolucji. W podobny sposób zdarza się, że jeden z bliźniaczych zarodków wchłonie drugi, który staje się guzem.

Larwy krowich worków w dużych ilościach można znaleźć w jądrach normalnych byków. Podczas kopulacji dochodzi do wydostania się ich wraz z nasieniem. Mają około czterech centymetrów grubości, dwie długie kończyny, ciało przypominające gąsienice. Nie posiadają oczu ani uszu, ale są wyposażone w przypominające kolec pokładełko.

Larwy przytwierdzają się za pomocą kończyn do ciała krowy, po czym zaczynają wspinać się w poszukiwaniu miejsca, w którym skóra jest ścieńczała. Tam wstrzykują zwierzęciu kilka komórek somatycznych, które zaczynają dzielić się i rosnać, wytwarzając worek. Krowa-gospodarz staje się krową workową. Po spełnieniu swojego zadania larwy wysychają, odczepiają się i umierają po około dwóch godzinach.

Na pierwszy rzut oka wydaje się, że larwy nie mają nic wspólnego z normalnym bydłem; mimo tego zostały one zaklasyfikowane do rzędu parzystokopytnych i rodziny krętorogich. Pazury, którymi zakończone są ich kończyny są podzielone tak samo jak krowie kopyta. To jedyna zachowana cecha, sugerująca wspólnego przodka obu gatunków.

Aktualnie istnieje spór na temat tego, czy larwa krowiego worka w istocie zapładnia samice bydła, czy jedynie okrada je z substancji odżywczych, normalnie przeznaczonych dla zarodka.

Istnieje przypowieść, lub raczej miejska legenda, dotycząca bydła workowego. Mówi ona, że pewnego razu przyłapano larwę wspinającą się po krowie. Kiedy oderwano ją od zwierzęcia, wydała z siebie dźwięk identyczny do ryczenia bydła. Gdy pozostałe krowy to usłyszały, wszystkie zaczęły jednocześnie ryczeć. Autor tego podręcznika wielokrotnie obserwował zachowanie larw krowich worków; niestety, nigdy nie udało się wywołać opisywanego zjawiska.

To dziwne, w jaki sposób tajemnicza energia, którą nazywamy cantusem powiązana jest z tymi niecodziennymi zwierzętami, jakimi są krowy workowe.

Nie chodzi prawdopodobnie o to, że byliśmy w szkołach takim samym obiektem badań jak one; istotą tego podobieństwa jest fakt, że zarówno my, jak i krowy byliśmy obarczeni obecnym wewnątrz nas bytem, którego istnienia jeszcze nie zauważaliśmy.

Rozdział 4

Domek z kart urósł w mgnieniu oka.

Kątem oka zerknęłam na siedzącego obok mnie Satoru. Wyglądało na to, że idzie mu całkiem nieźle; kończył właśnie układanie czwartego piętra. Kiedy dostrzegł, że mu się przyglądam, z szelmowskim uśmieszkiem zakręcił w powietrzu młynek czwórką kier, którą właśnie kontrolował.

W przyływie determinacji by z nim nie przegrać, skupiłam całą uwagę na własnej karcianej piramidzie. Zadanie pozornie było proste – mieliśmy ułożyć jak najwyższe domki z kart. Wymagało to jednak niezwykle uważnego używania cantusu.

Pierwszą i najważniejszą rzeczą była koncentracja. Najlżejszy dotyk lub podmuch wiatru mógł zniszczyć całą budowlę. Ważna była też wyobraźnia przestrzenna i zdolność do skupienia się na kilku czynnościach jednocześnie. Musieliśmy w tym samym czasie budować i uważnie wypatrywać oznak słabości konstrukcji, w porę korygując wady.

Popularna była wtedy plotka, że gdy Shisei Kaburagi spróbował podjąć się podobnego zadania, był w stanie wykonać je natychmiast, wyłącznie poprzez wyobrażenie sobie zbudowanego z osiemdziesięciu czterech kart domku. Nie było jednak nikogo, kto widziałby ten wyczyn na własne oczy, więc prawdopodobnie była to nieco wyolbrzymiona opowieść.

W Szkole Harmonii często kazano nam budować piramidy z kart. Nigdy bym nie przypuszczała, że jest to forma przygotowania do nauki w Akademii.

- Pośpiesz się, Saki – ponaglił mnie zniecierpliwiony Satoru.
- To nie jest uczciwa konkurencja. Ale nie martw się, nie pozwolę ci wygrać.
- Głupia, konkurowanie wewnątrz zespołu jest bezcelowe. Popatrz na grupę piątą, współpraca idzie im znakomicie.

Podniosłam wzrok i spojrzałam na nich; wszyscy pracowali w tym samym tempie, a ich budowla powoli pięła się w górę.

– Przynajmniej nasz mistrz jest jak zwykle w szczytowej formie.

Satoru miał rację. Shun bez wątpienia był najlepszy z całej klasy. Zdążył już ułożyć siedem warstw i właśnie pracował nad ósmą. Nikomu innemu nie udawało się kontrolować kart z taką gracją jak jemu. Patrzenie na jego pracę było fascynujące; karty którymi manipulował przypominały trzepoczące skrzydła motyla.

– Ale ktoś inny rzuca nam kłody pod nogi... – kontynuował Satoru wzdychając i rozglądając się po grupie.

Z boku Maria układała karty równie szybko, jak Shun; jej ruchy były jednak niedbale, przez co już trzeci raz musiała zaczynać od początku. Szybko jednak nadrabiała straty, więc ostatecznie jej tempo dorównywało naszemu. Zupełnym przeciwieństwem jej pracy była technika siedzącego obok niej Mamoru. Pracował z przesadną wręcz ostrożnością, wskutek czego jego domek był niezwykle stabilny. Bardzo wolne tempo pracy powodowało jednak, że w rezultacie wysokość jego konstrukcji plasowała się co najwyżej w połowie stawki.

Prawdziwym problemem była siedząca na końcu Reiko. Nie udało jej się ułożyć jeszcze ani jednego piętra.

Patrzenie na jej pracę było naprawdę przygnębiające. Jej karty drżały; w podobny sposób trzęsłyby się ręce małego dziecka, któremu powierzono podobne zadanie. Reiko pochodziła ze Złocistej Wioski, więc nie uczęszczałyśmy do tej samej szkoły, jednak nie mam wątpliwości że również w Szkole Moralności którą ukończyła budowanie domków z kart sprawiało jej trudność.

Nawet biorąc to pod uwagę, jej niezdarność była zdumiewająca. Za każdym razem gdy jakoś udawało jej się zmusić karty do stania, cała konstrukcja upadała i trzeba było zaczynać od zera.

– Jest w tym tak kiepska, że to prawie zabawne. – Satoru zwiesił głowę i wrócił do kontrolowania własnych kart. – Mając ją w grupie nigdy nie wygramy.

– No i co? Reiko jest dobrą osobą, po prostu musi jeszcze trochę poćwiczyć. – odparłam, sama nie wierząc w swoje słowa. Reiko Amano nie była w stanie poprawnie używać swojej mocy. Nieważne jakiego zadania się podejmowała, nigdy nie udawało jej się osiągnąć oczekiwanego rezultatu.

Na poprzedniej lekcji bawiliśmy się w coś podobnego do głuchego telefonu. Było to ćwiczenie, które miało pomóc nam szlifować zdolność kopiowania obrazu. Każda z grup tworzyła rząd; pierwsza osoba otrzymywała do obejrzenia olejny malunek. Następnie, przy użyciu kontrolowanych poprzez cantus ziaren piasku, kopiowała go i przekazywała duplikat siedzącemu za sobą koledze. Ten miał kilka sekund na zapamiętanie, co na nim było, a następnie odtwarzał go najwierniej jak umiał. Wygrywała grupa, której ostateczny rezultat był najbardziej zbliżony do oryginału.

Jeśli chodzi o nas, grupę pierwszą, to myślę, że nasza technika tworzenia i przekazywania była wyjątkowa. Oczywiście najlepszy ze wszystkich był Shun. Jego obrazy były tak wyraźne jak fotografie. Niewiele gorzej szło Marii. Ja niestety nie dorównywałam im w zdolnościach tworzenia ładnych i jednocześnie wiernych kopii.

Satoru nie sprawdziłby się na początku rzędu, ale świetnie szło mu kopiowanie. Ze mną było inaczej – dobrze wychodziło mi stworzenie piaskowego odpowiednika oryginału. Mamoru zaś miał zmysł artystyczny; jego obrazy były piękne, ale nie zawsze dokładnie odwzorowane.

Spośród naszej szóstki to Reiko zawsze psuła efekt końcowy. Jeśli mam być szczerą, to jej rysunki wyglądały jak ślady zostawione na piasku przez wijącego się w agonii kraba. Nieważne jak dokładnie przypatrywałam się jej obrazom; nie byłam w stanie odgadnąć co mają przedstawiać. Niezależnie od pozycji jaką zajmowała w rzędzie, jej praca przypominała jedynie przypadkowe bazgroły.

W zawodach w budowaniu karcianych domków, jej niezdarność również zaważyła na naszej przegranej. Zwyciężał zespół, który łącznie zbudował najwięcej pięter; dodatkowym warunkiem było

jednak ułożenie przynajmniej siedmiu warstw przez każdego członka drużyny.

Błąd, jaki tym razem popełniła Reiko miał katastrofalne skutki.

Byłam skupiona na własnej piramidzie, więc nie widziałam dobrze całego zajścia. Jej karty nagle przecięły powietrze, uderzając w domek Marii.

Niestabilna, jednak druga co do wysokości w naszej grupie konstrukcja runęła w jednej chwili.

– Och, p-p-przepraszam!

Nietrudno się domyślić, że Reiko była przerażona. Maria przez chwilę siedziała w osłupieniu, po czym zaczęła odbudowywać piramidę, pracując ze zdwojoną szybkością. Czasu zostało jednak tak niewiele, że nawet gdyby ona i Shun zdołali ukończyć budowlę, nie wystarczyłoby to do wygranej. Sygnalizujący koniec czasu gwizdek zabrzmiał, zanim zdołała ukończyć naprawę trzeciego piętra.

– Tak bardzo przepraszam. Nie mogę uwierzyć, że zrobiłam coś takiego... – nie przestawała tłumaczyć się Reiko.

– Nie przejmuj się. I tak sama psułam go kilka razy – odpowiedziała Maria siląc się na uśmiech. W jej oczach widać było pustkę.

Przedstawię teraz pokrótce grupę pierwszą. Sześciu jej członków to Shun Aonuma, Maria Akizuki, Satoru Asahina, Reiko Amano, Mamoru Itou i ja, Saki Watanabe. Jak można zauważyć, nazwiska są ułożone w kolejności alfabetycznej¹, więc teoretycznie powinnam zostać dopisana do grupy piątej. Przypuszczam, że ostatecznie wylądowałam w pierwszej, ponieważ było tam już troje moich dobrych przyjaciół ze Szkoły Harmonii i miało mi to pomóc w zaaklimatyzowaniu się w Akademii.

Tego dnia po skończeniu zajęć, Maria, Satoru, Shun, Mamoru i ja wracaliśmy niewielką ścieżką biegnącą wzdłuż leżącego w pobliżu szkoły kanału. To nie tak, że nie chcieliśmy zadawać się z Reiko.

¹ Kolejność znaków w japońskich sylabariuszach to „a”, „i”, „u”, „e”, „o”, „ka”, „ki” itd. Sylaba „wa” występuje znacznie bliżej końca.

Często spędzaliśmy z nią czas wolny, jednak tym razem pomyśleliśmy, że głupio by się czuła wracając z nami po tym jak zniweczyła nasze wysiłki.

– Chciałbym już móc w pełni wykorzystywać moje zdolności – powiedział Satoru, przeciągając się.

Wszyscy skrycie tego pragnęliśmy. Jako uczniom, nie wolno nam było używać cantusu w miejscach publicznych. W przeciwieństwie do lekcji w Szkole Harmonii, zajęcia teoretyczne w Akademii Mędrców były długie i nudne, ale musieliśmy je przecierpieć, by pozwolono nam ćwiczyć używanie mocy na zajęciach praktycznych, które zajmowały resztę dnia.

– Gdybyś mógł korzystać z cantusu wedle woli, z pewnością uciekłabym najdalej jak potrafię – dogryzłam mu.

– Niby czemu? – spytał posepnie.

– Bez szczególnej przyczyny.

– I tak już perfekcyjnie nim władam. Ty za to jesteś niezgrabna, jakbyś była pijana.

– Myślę, że obydwoje jesteście bardzo dobrzy – wtrącił się Shun, próbując nas pogodzić.

– Niezbyt cieszę mnie takie słowa z twoich ust – odparł Satoru, kopiąc kamyk w kierunku wody.

– Dlaczego? – spytał Shun, wyraźnie zdezorientowany. – Nie kłamię, naprawdę myślę, że obydwoje jesteście niezli. Wasze karty nie latały we wszystkich kierunkach, ani nic podobnego.

– Och, skończcie już – westchnęła Maria, zakrywając uszy.

– Pff – prychnął Satoru. – Shun uważa się za lepszego od nas, choć najwyraźniej nie zdaje sobie z tego sprawy. Nie wydaje ci się, Saki?

Mówiąc szczerze, zgadzałam się z nim, jednak nie powiedziałam tego na głos.

– Nie wrzucaj nas do jednego worka, on tylko na ciebie patrzy z góry – odpowiedziałam.

– Że co? Nie, mylisz się – wymruczał Satoru z niezadowoleniem, po czym nagle zamilkł.

– Co się stało? – spytała Maria.

Satoru wskazywał na nabrzeże kanału sześć albo siedem metrów przed nami.

– Spójrzcie na to.

Kręciły się tam dwie istoty o sylwetkach podobnych do ludzkich, odziane w bure łachy.

– Dziwoszczury...? – wyszeptała Maria, okręcając na palcach kosmyk swych rudych włosów.

– Taa. Co one robią?

Shun był zafascynowany, podobnie jak ja. Po raz pierwszy widzieliśmy dziwoszczura z tak bliska.

– Nie powinniśmy na nie patrzeć – ostrzegł nas Mamoru. Jego falowane włosy sprawiały, że jego głowa wyglądała jakby miała za chwilę wybuchnąć. – W Szkole Przyjaźni uczono nas, by w razie spotkania dziwoszczurów nie patrzeć na nie ani nie zbliżać się do nich. Nigdy wam tego nie mówiono w Szkole Harmonii?

Oczywiście i nam to powtarzano; pokusa robienia rzeczy zakazanych jest jednak nieodłączną częścią ludzkiej natury. Powoli szliśmy do przodu, bacznie obserwując ruchy stworzeń.

Pamiętałam, co mówił mi ojciec gdy byłam młodsza. Gdy dostatecznie zbliżyliśmy się do dziwoszczurów, zauważyliśmy, że zajmują się sprzątaniami śmieci, które utkwiły w okolicy zakrętów kanału, gdzie przepływ wody był wolniejszy. Skrupulatnie zgarniały liście i gałązki używając sieci i bambusowych tyczek.

Pracę tego typu można było wykonać w mgnieniu oka, wykorzystując cantus; nie ma jednak wątpliwości, że ludzie uważali takie zadanie za zbyt nudne, by poświęcać na nie czas.

– Pracują naprawdę ciężko.

– Ale trzymanie sieci takimi dłońmi wygląda na naprawdę trudne – powiedziała Maria. Ja pomyślałam o tym samym.

– Z pewnością tak jest. Ich szkielety różnią się budową od naszych; samo stanie na dwóch nogach jest dla nich dużym wyzwaniem.

Było dokładnie tak, jak mówił Shun. Nawet jeśli nie mogliśmy zobaczyć ich ciał, ukrytych pod szatami, to trzymające sieci dłonie przypominały łapki gryzoni a nogi niepewnie się chwiały w próbie utrzymania równowagi.

– Nie powinniśmy ich obserwować... – Mamoru oddalił się od nas na parę kroków i stanął tyłem do dziwoszczurów.

– Daj spokój, co może się sta... Hej, uważaj! – Satoru rzucił się z krzykiem do przodu.

Jeden z dziwoszczurów próbował podnieść wypchaną liśćmi siatkę, która okazała się cięższa niż przypuszczał. Zachwiał się mocno, po czym runął w dół.

Drugi dziwoszczur próbował go chwycić, jednak było o sekundę za późno. Stworzenie z potężnym pluśnięciem wpadło głową w dół do kanału. Wszyscy pognaliśmy w jego kierunku.

Dziwoszczur szamotał się pod wodą niecały metr od nas. Nie potrafił zbyt dobrze pływać, a do tego oplątały go liście i gałązki, krępując jego ruchy.

Jego kompan miotał się w panice we wszystkich kierunkach – najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, że mógłby pomóc tonącemu, rzucając mu sieć do chwycenia

Wzięłam głęboki wdech i skoncentrowałam się.

– Co ty chcesz zrobić, Saki? – spytała zaskoczona Maria.

– Pomóc mu.

– He? Jak?

– Lepiej nie angażować się w nic, co ich dotyczy – krzyknął tchórzliwie zza naszych pleców Mamoru.

– W porządku, muszę tylko unieść ten fragment aby wyciągnąć go z powrotem na brzeg. To będzie łatwe.

– Chyba nie mówisz poważnie?

– Nie możesz tak po prostu używać cantusu gdzie ci się podoba!

– Również uważam, że powinnaś przestać.

– Ale jeżeli nic nie zrobię, to on zginie!

Uspokoiliam się, wyrzucając z umysłu dźwięki ich głosów i wyszeptałam swoją mantrę.

– To co robisz jest naprawdę złe!

– Uczono nas przecież by mieć współczucie dla wszystkich żywych istot, prawda?

Skupiłam uwagę na szarpiącym się w wodzie dziwoszczurze. Kłopotem było to, że cały czas się poruszał a wszystkie liście i odpady dodatkowo utrudniały prawidłowy chwyt.

– Łatwiej będzie, jak podniesiesz go razem z liśćmi – odpowiedział mi Shun, rozumiejąc nad czym się zastanawiam.

Spojrzałam na niego z wdzięcznością, po czym, ignorując pozostałych, skoncentrowałam się na próbie podniesienia kępy liści, wyobrażając sobie jak wznosi się w powietrze. W końcu przewyciężyła ona napięcie powierzchni i zawisła nad wodą. Uwięziona w wyciągniętej stercie ciecz spłynęła kaskadą do kanału, a kilka liści, które zdołały uciec mojej uwadze, opadło w dół. Nie widziałam dziwoszczura, ale musiał być gdzieś w środku. Pomału przeniosłam go na brzeg. Wszyscy odsunęli się, by zrobić miejsce.

Delikatnie opuściłam kontrolowaną kępę liści na ścieżkę. Dziwoszczur żył. Młóćąc rękami i nogami zdołał się wydostać, po czym, kaszłąc, wypluł z siebie morze wody i bąbelków. Z bliska okazało się, że jest całkiem duży. W pozycji stojącej miał prawdopodobnie około metra wysokości.

– Łał, to wyglądało jakbyś wyciągnęła go niewidzialną siecią. To była perfekcyjna lewitacja!

– Tak, to dzięki twojej dobrej radzie.

– Co teraz zrobimy? Jeśli szkoła się o tym dowie... – wtrącił się Satoru, nie pozwalając mi nacieszyć się pochwałą od Shuna.

– Tak długo jak o nie będą o tym wiedzieć, wszystko będzie dobrze.

– O to właśnie pytam. Co, jeśli się dowiedzą?

– Wszyscy musimy bezwzględnie zachować to w tajemnicy, zgoda? Dla dobra Saki – przybyła mi z pomocą Maria.

– Zgoda – odparł Shun bez wahania.

– Ty też, Satoru, łapiesz?

– Mi tego nie musisz mówić. Ale co, jeżeli jednak jakoś to wyjdzie na jaw?

– Nie wygląda na to by ktokolwiek nas widział. Tak długo jak nikt nie puści pary z ust, będzie w porządku – powtórzyła Maria. – Mamoru?

– Tak?

– Co „tak”? O co...

– Nic dzisiaj się nie wydarzyło. Niczego nie widziałem. Nie mam nic wspólnego z żadnymi dziwoszczurami i w ogóle.

– Dobry chłopiec.

– A co zrobimy z nimi? – Satoru zmarszczył nos, wskazując na dziwoszczury.

– Nikomu się nie wygadają.

– One potrafią mówić? – Shun wyglądał na zaintrygowanego.

Podeszłam do wciąż leżącego na ziemi dziwoszczura. Zastanawiałam się czy czasem nie jest ranny. Gdy jego kompan mnie ujrzał, również padł twarzą do ziemi. Nie ulegało wątpliwości, że boją się ludzi.

– Hej, ocaliłam ci życie, rozumiesz? – próbowałam grzecznie zagadać.

– Nie powinnaś z nimi rozmawiać! – krzyknął łamiącym się głosem Mamoru gdzieś zza moich pleców.

– Hej, słyszysz mnie?

Przemoczony dziwoszczur bez słowa pokiwał głową. Wyglądało na to, że poczuł się znacznie pewniej, bo przyjął pozycję na czworakach. Przyczołgał się do mnie i wykonał ruch jakby całował mnie po stopach.

Obydwa dziwoszczury pokłoniły się. Ten prosty gest był w jakiś sposób pełen symboliki. Nagle zapragnęłam dowiedzieć się, jak wyglądają ich twarze.

– Hej, spójrzcie tu – lekko klasnęłam w dłonie.

– Saki, przestań już. – W głosie Marii dało się usłyszeć lekkie oszołomienie.

– Naprawdę nie wolno ci... – usłyszałam Mamoru z jeszcze większej odległości.

– Rozumiecie, co do was mówię? Podnieście głowy.

Dziwoszczury nerwowo wykonały polecenie.

Nie wiedzieć czemu, spodziewałam się ujrzeć słodkie pyszczki, przypominające mordki polnych myszy, byłam więc zszokowana tym, co zobaczyłam. Pod kapturami kryły się twarze paskudniejsze od jakiegokolwiek żywej istoty, którą dotychczas widziałam. Dziwoszczury miały płaskie pyski, bardziej przypominające świnie niż szczura, zwisającą fałdami luźną, bladą skórę, pokrytą brunatnym meszkiem oraz błyszczące, perliste ślepie.

– Zie-zie Ziekujemy..., bbaababababa. Bbbobobobo...ggowie – odezwał się nagle dziwoszczur wysokim, skrzeczącym głosem. Zamarłam z zaskoczenia.

– On mówi... – wyszeptała Maria. Pozostała trójka tylko stała w osłupieniu.

– Jak masz na imię? – zapytałam.

– §@★#©&€∂Å♪ – wyszczebiotał śpiewnym głosem. Ślina spieniła się w kącikach jego ust.

Wiedziałam, że właśnie mi się przedstawił; nie było jednak mowy o tym, żeby jego imię dało się zapisać po japońsku, nie wspominając już o jego zapamiętaniu.

– Cóż, wygląda na to, że nie musimy się martwić, że nas podkablują – powiedział Satoru z wyraźną ulgą. – I tak nikt nie zrozumie, co mówią.

Obawy nas opuściły i roześmialiśmy się. Z jakiegoś powodu jednak po plecach przeszły mi ciarki, gdy spojrzałam na

dziwoszczury. Zupełnie jakbym poruszyła jakieś tabu, ukryte głęboko na dnie mojego serca.

– Nie możemy mówić do nich po imieniu, ale musi istnieć inny sposób by ich od siebie odróżnić – rozmyślał na głos Shun.

– Można to zrobić po ich tatuażach. – Osobą, która się odezwała okazał się niespodziewanie nie kto inny jak Mamoru.

– Tatuaże? Gdzie?

– Gdzieś na ich czołach. Powinna tam być nazwa kolonii i numer identyfikacyjny – odparł Mamoru, wciąż odwrócony tyłem.

Nieśmiało położyłam dłoń na czole dziwoszczura i odchyliłam jego kaptur. Nawet nie drgnął, niczym wytresowany pies.

– Tu jest.

Przez całą długość jego czoła wytatuowano niebieskim atramentem napis „Trocina 619”¹

– Co to znaczy?

– To musi być oznaczenie kolonii – odpowiedział Shun.

Dziwoszczury mają trzy charakterystyczne cechy, z reguły niespotykane u innych zwierząt.

Po pierwsze, ich nazwa wzięła się od tego, jak wyglądają. Dziwoszczury przypominają bezwłose szczury. Ich ciało ma długość od sześćdziesięciu centymetrów do metra, jednak gdy stoją na nogach, mierzą od stu dwudziestu do stu czterdziestu centymetrów; niektóre osobniki są równie wysokie co przeciętny człowiek.

Po drugie, chociaż ewidentnie są ssakami, to są eusocjalne, podobnie jak mrówki czy pszczoły i żyją w koloniach zarządzanych przez królowe. Odziedziczyły tę cechę po swoim przodku, wschodnioafrykańskim golcu. Małe kolonie liczą około dwie lub trzy setki robotników, ale populacja większych liczona jest w tysiącach, a nawet w dziesiątkach tysięcy.

Po trzecie, dziwoszczury są znacznie bardziej inteligentne od delfinów czy szympanów. Niektórzy mówią nawet, że inteligencją dorównują człowiekowi. Te, które przysięgły posłuszeństwo ludziom

¹ Ang. „Goat” (koza) – odwołanie do „goat fly” – trociniarka czerwica

i utworzyły tak zwane cywilizowane kolonie, podlegają naszej ochronie w zamian za daniny i wykonywanie prac. Takie kolonie otrzymują nazwy różnych owadów.

Na przykład, najsilniejsza z kolonii, której członkowie najczęściej są rekrutowani do prac porządkowych nosi nazwę Olbrzymich Szerszeni. Inne ze skupionych wokół Kamisu 66 kolonii to między innymi: Mrówki Rudnice, Chrysopsy, Ważki, Nasteczniki, Łowiki, Jelonki Rogacze, Śpieszki, Klecanki, Biegacze, Tryszcze, Trociniarki Czerwice, Pływaki Żółtochrzeżki, Świerszcze, Błękitne Stonogi, Piewiki, Omacnice, Niedźwiedziówki Nożówki, Ręczyce, Krocionogi i Pająki Krzyżaki.

– Ta „trocina” prawdopodobnie oznacza kolonię Trociniarek Czerwic – powiedział Shun.

– Pewnie wszyscy są wytatuowani bo jest ich zbyt wielu by dało się ich rozróżnić gołym okiem.

– Więc ten koleżka jest robotnikiem z Trociniarek Czerwic...

Trociniarki Czerwice były małą kolonią, liczącą tylko dwustu osobników.

– T-troćniarka cz-czrwica. Troćniarka czrwica. Gigigigigi. Kolnia... Brrrrr. – odpowiedział dziwoszczur, trzęsąc się.

– Chyba jest mu zimno.

– Jest całkowicie przemoczony. A skoro dziwoszczury żyją w norach, to ich temperatura ciała musi być naturalnie niższa – powiedział Shun.

Zostawiliśmy dziwoszczury w spokoju. Obydwa skłoniły nam się, gdy odchodziliśmy. Nieważne ile razy oglądałam się za siebie, za każdym razem pozostawały w takiej pozycji.

– Tak jak myślałam, pozostaje tylko metoda na żuka gnojarka, zgadza się? – spytała Maria.

Działo się to około miesiąca po incydencie z dziwoszczurem.

– To będzie zbyt oczywiste – sprzeciwił się Satoru. – Każda grupa wpadnie na taki pomysł. Poza tym nie da się kontrolować kuli w taki sposób.

Sprzeczailiśmy się nad wielką bryłą gliny leżącą na stole.

– A może by tak zrobić duży pierścień i umieścić kulę wewnątrz niego? W ten sposób przemieścimy ją w toczącym się pierścieniu tam, gdzie będziemy chcieli – powiedziałam, wymachując nogami pod ławką. Pomysł wpadł mi do głowy zupełnie znenacka i wydawał się całkiem niezły.

– Ale może stracić impet w połowie drogi. Poza tym, co, jeśli kula wypadnie z pierścienia? – ponownie zaoponował Satoru.

Już miałam coś mu odwarknąć w odpowiedzi, gdy odezwał się Shun, zwracając uwagę na znacznie ważniejszy problem.

– Ciężko będzie utrzymać pierścień cały czas na ziemi – powiedział. – Zostaniemy ukarani, jeśli choć kawałeczek oderwie się od podłoża.

– Racja... – przyznałam.

– Nie dojdziemy do niczego tylko rozmyślając – zauważyła Maria. – Dlaczego nie wypróbujemy tego w praktyce? W ten sposób dowiemy się, ile gliny możemy wykorzystać do zbudowania popychacza.

Zgodnie z jej sugestią na popychacza przeznaczaliśmy połowę gliny; z pozostałej części stworzyliśmy napastników.

– I to wszystko? – Satoru wyglądał na zawiedzionego.

– Ciekawe, jak ciężka jest kula – rozmyślała Maria.

Shun skrzyżował ramiona i zastanowił się.

– Jest marmurowa, więc zgaduję, że waży ponad dziesięć kilo – odpowiedział.

– Cała glina, którą dysponujemy jest mniej więcej równie ciężka. To znaczy, że popychacz waży najwyżej połowę tego, co kula – westchnął Satoru.

– Ale glina wysycha po wypaleniu, więc znaczy to, że staje się też lżejsza, racja?

– No tak! Więc w takim razie popychacz waży maksymalnie jedną trzecią tego, co kula.

Wszyscy pozostali wciąż wyglądali na zdezorientowanych, ale ja nie umiałam przestać się uśmiechać na myśl, że Shun się ze mną zgodził.

– No to jednak będziemy musieli popychać ją od tyłu – powiedział Mamoru.

– Więc wróciliśmy do punktu wyjścia.

Zawody w toczeniu kuli miały odbyć się za pięć dni. Oznaczało to, że właśnie tyle czasu mieliśmy na przygotowanie generalnej strategii, ulepienie z gliny dobrze spełniających swą rolę popychacza, napastników i obrońców oraz na nauczenie się perfekcyjnego ich kontrolowania.

Objaśnię pokrótce reguły turnieju. W grze biorą udział dwie drużyny – broniący i atakujący. Atakujący toczą wielką, marmurową kulę przez podłużne pole do celu, a broniący starają się ich blokować. Maksymalny czas przewidziany na jedną rundę to dziesięć minut. Zwycięża drużyna, której uda się dopchać kulę do celu w krótszym czasie. Jeśli żadna z drużyn nie zmieści się w dziesięciu minutach, przeprowadza się dogrywkę, w której oba zespoły pełnią jednocześnie rolę broniących i atakujących, a gra toczy się do chwili, aż któraś ze stron zdobędzie punkt.

Podczas meczu można korzystać tylko i wyłącznie z cantusu. Istnieje jeszcze jedna ważna zasada – nie wolno wykorzystywać mocy do zmieniania samej kuli bądź pola gry. Oznacza to, że trzeba mieć pełną kontrolę nad figurami – popychaczem i napastnikami podczas gry w roli atakujących lub nad obrońcami gdy gra się jako broniący. Ponadto figury nie mogą oderwać się od podłoża (gdyby mogły lewitować, to można by było użyć kuli do przejmowania wszystkich uderzeń które mógłby wytrzymać popychacz).

Pole gry, zbudowane na wewnętrznym dziedzińcu szkoły, jest szerokie na dwa metry i długie na dziesięć metrów. Znajdują się na nim miniaturowe piaskowe wydmy i trawiaste łąki, co powoduje, że

samo utrzymanie prostego toru ruchu kuli wymaga solidnego skupienia. Broniący mogą umieścić cel w dowolnym miejscu, jednak nie mogą z nim robić niczego innego – zabronione jest na przykład chronienie go poprzez spiętrzanie gór i kopanie dołów.

Figury muszą mieścić się w limicie wagowym. Dowolny jest za to ich kształt i ilość, jednak im więcej figur pozostaje w użytku, tym trudniej je kontrolować.

Inną ważną regułą jest zakaz dotykania wrogiego popychacza. Gdyby nie ta zasada, to skupiałyby się na nim wszystkie ataki i szybko zostałby on zniszczony, uniemożliwiając przeciwnikom jakiegokolwiek działanie. Immunitet dotyczy jednak tylko jednego popychacza, więc posiadanie większej ich liczby jest niekorzystne, aczkolwiek dozwolone. Większość drużyn pozostaje przy jednym popychaczu.

– To jak? Taki popychacz się nada? – spytał Shun, ocierając błyszczące od potu czoło.

Wszyscy próbowaliśmy zmagistrować coś z gliny, jednak tylko Shun posiadał zdolność formowania jej wedle swojej woli. Dla reszty z nas okazało się to niewykonalne. Ostateczny kształt popychacza przypominał krótki pacholek z płytko uwypuklonym dołem, przypominającym dno łódki – miało to ułatwić mu ślizganie się po polu. Mógł kontrolować kulę za pomocą dwóch rąk odchodzących z przedniej części tułowia pod kątem stu dwudziestu stopni. Wyglądał jak człowiek z rozpostartymi ramionami.

– Jest całkiem niezły. Prosty, ale wygląda fajnie – wyraziła swoje zdanie Maria.

– Więc teraz potrzebujemy już tylko napastników. Skoro Shun skupia się na lepieniu popychacza, powinniśmy podzielić resztę pracy między siebie – powiedział Satoru, korzystając z okazji do rozdzielenia nam zadań.

– Jak sobie radzi grupa pierwsza? – Pan Endou z uśmiechem wściubił między nas głowę. Swojej okrągłej twarzy, otoczonej

wieńcem z włosów i brody zawdzięczał dziwaczne przezwisko Słonecznego Księciunia.

– Właśnie skończyliśmy projektować popychacza – powiedział Satoru, dumnie prezentując figurę.

– Och, wykonaliście kawał dobrej roboty, jak na tak krótki czas.

– Tak, teraz zamierzamy go utwardzić.

– Kto będzie kontrolował popychacza?

– Shun.

– Tak, jak się spodziewałem – pokiwał głową pan Endou. – No cóż, niech pozostali pracują ciężko nad napastnikami.

– Tak jest, proszę pana! – odpowiedzieliśmy wszyscy energicznie.

Później, po burzliwej dyskusji, zdecydowaliśmy się na pięciu napastników. Shun miał kontrolować jednocześnie popychacza i napastnika, a pozostałym przypadło sterowanie jedną figurą.

Tego dnia nikt z nas nie pamiętał już, że grupa pierwsza liczyła kiedyś więcej niż pięciu członków.

W pierwszej rundzie walczyliśmy z grupą piątą. To był łut szczęścia. Krążące plotki głosiły, że najlepsze figury ma grupa trzecia i że to oni są faworytami do wygrania całych zawodów. Ponadto mówiło się, że członkowie drugiej grupy zachowują się podejrzanie.

Runda w papier-kamień-nożyce zadecydowała, że to my zaczniemy jako atakujący. To był nasz pierwszy mecz, więc byliśmy niespokojni o to, jak będą wyglądać obrońcy przeciwników. Okazali się oni być szóstką figur w kształcie muru, przesuwających się nieustannie na boki i blokujących nam całą szerokość drogi.

Skupiliśmy się w krąg, recytując cicho swoje mantry.

– Używają najprostszej taktyki, tak jak myśleliśmy – wyszeptała zachwycona Maria.

– To nie zajmie nawet minuty – zachichotał Satoru zupełnie, jakbyśmy już zwyciężyli.

– Przebijmy się przez środek – powiedział cicho Shun. – Przez obronę tego typu możemy przedostać się w dowolnym miejscu, ale centrum wygląda na najsłabszy punkt.

Gdy nasz popychacz i napastnicy pojawili się na polu gry, na twarzach przeciwników zagościł niepokój.

Popychacz powoli przesunął się na pozycję, ustawiając ramiona za kulą. Napastników ustawiliśmy w uporządkowanym szyku. Trzech tworzyło trójkąt przed kulą a pozostała dwójka chroniła jej boki.

Figury tworzące straż przednią miały kształt piramid o trójkątnej, wydłużonej podstawie, z nosami skierowanymi do przodu. Przypominały papierowe samoloty, ponieważ ziemi dotykała tylko najdłuższa krawędź piramidy; jej podstawa zaś skierowana była w górę. Straż boczną natomiast stanowiły ciężkie figury uformowane w kształt spłaszczonych walców z licznymi wypukłościami na powierzchni. Te ostatnie nie spełniały właściwie żadnej funkcji, ale nadawały napastnikom solidniejszego wyglądu.

– Grajcie uczciwie i współpracujcie ze sobą w drużynach. Wszystko jasne? Życzę wam powodzenia – ogłosił Słoneczny Księciunio, po czym zadał w gwizdek, rozpoczynając mecz.

Straż przednia posuwała się pomału. Popychacz wciąż gromadził energię, więc ciężka kula jeszcze nawet nie drgnęła. Dopóki stała w miejscu, była narażona na ataki; z drugiej strony zbytnie jej rozpędzenie groziło uszkodzeniem popychacza. Taki błąd nie mógł jednak się zdarzyć, zważając na to, że to Shun go kontrolował.

Obrońcy nie mogli zebrać się na odwagę by posunąć się naprzód i w dalszym ciągu przesuwali się tylko bez celu na boki. Kula zaczęła wreszcie powoli się toczyć. Wciąż nabierała prędkości i gnała przez pole, podążając za otwierającymi szarzę napastnikami.

Grupa piąta przejrzała wreszcie nasz plan i w pośpiechu spróbowała zgromadzić w centrum pola wszystkich obrońców, lecz było już na to za późno. Planowaliśmy zmiażdżyć ich jednym ciosem. Napastnicy przebili się przez ciężkie ściany z obrońców, zupełnie jakby były one papierowe. Sekundę później przedarła się przez nie

także marmurowa kula. Wszystko to stało się dosłownie w mgnieniu oka.

W chwili, w której zniszczyliśmy obronę, grupa piąta została pokonana. Kula wleciała wprost na cel, wpadając do dziury z donośnym łomotem. Czas gry wyniósł dwadzieścia sześć sekund, czyli nawet mniej od przewidywań Satoru.

– Szkoda, że bardziej się nie postarali. To nawet trudno nazwać walką – powiedział Satoru.

– Powaga, to było tak, jakby zupełnie nie mieli obrony – zgodził się z nim nawet zazwyczaj małomówny Mamoru.

Gdybyśmy popadli w samozachwyt, sprawy mogłyby przybrać jednak zły obrót.

– Przeciwnicy jeszcze nie mieli szansy ataku – powiedziałam, próbując zmusić drużynę do skupienia. – Jeszcze nie wygraliśmy.

– Właściwie to już pozamiatane, co nie? Jakby na to nie patrzeć, nie ma opcji, by zdołali osiągnąć cel w mniej niż dwadzieścia sześć sekund – powiedział Satoru, wciąż uśmiechając się z wyższością.

– Ale nigdy nie wiadomo co może się zdarzyć. Nie dajmy się im zaskoczyć – powiedział Shun, gdy ustawialiśmy swoich obrońców na pozycjach.

Kiedy ujrzelśmy figury, jakich używała grupa piąta, zamurowało nas. Skoro ich obrońcy byli tak słabi, tego samego spodziewaliśmy się po napastnikach. Na nasze nieszczęście bardzo ich nie doceniliśmy. Jak na dłoni było teraz widać, że przeciwnik stosuje taktykę „wszystko albo nic”.

– Hę? Co to ma być? – spytała Maria niskim głosem. – Cała szóstka wygląda identycznie.

Wszystkie figury były prostokątne i miały wystające ramię, przypominające młot bojowy.

– Wszystkie są popychaczami – wyszeptał Satoru.

Słoneczny Księciunio wziął w ręce jednego z popychaczy i oznaczył go czerwonym kółkiem, wskazując w ten sposób, że właśnie tej figury nie wolno nam atakować.

– Możemy uderzyć w pozostałe, prawda? Więc ten jeden i tak pozostanie bez żadnej ochrony – powiedziałam

– Będzie dobrze, jeśli uda nam się uszkodzić jednego lub dwóch popychaczy. Gdy pchać będzie cała szóstka, nasi obrońcy zostaną zmiażdżeni przez sam impet kuli.

Tak właśnie przedstawiała się sytuacja. Zabrzmiał gwizdek, a kula zaczęła się toczyć, szybko się rozpędzając.

Czwórka naszych obrońców miała kształt klina, ich funkcją było wbicie się od przodu pod kulę, wyhamowanie jej i zepchnięcie z toru. Dwa z nich wyleciały jednak w powietrze zanim zdołały cokolwiek zrobić, uderzone przez rozpędzoną masę.

Pozostała dwójka rozpoczęła pościg za rozstawionymi po bokach popychaczami. Jeden z obrońców zdołał przewrócić popychacza, jednak wciąż pozostała ich piątka, a kula ani trochę nie straciła na prędkości. Poruszała się znacznie szybciej od naszej, więc gdyby osiągnęła cel, oznaczałoby to naszą przegraną.

Naszym asem w rękawie był jednak piąty obrońca, kontrolowany przez Shuna, ustawiony na środku pola. Znajdował się dokładnie na torze ruchu kuli.

– Teraz wszystko w twoich rękach, Shun – krzyknął Satoru.

Obrońca miał kształt cienkiego dysku z wypukłością na spodzie, dzięki której utrzymywał kontakt z podłożem. Gdy tylko kula wtoczy się na niego, natychmiast miał obrócić się o sto osiemdziesiąt stopni, posyłając ją w kierunku, z którego przybyła. To był genialny pomysł Shuna.

Kula poruszała się naprzód z olbrzymią prędkością. Nie miałam jednak wątpliwości, że Shunowi uda się dobrze wymierzyć czas.

Stało się jednak coś niespodziewanego. Kula napotkała na swojej ścieżce nierówność, przez co wybiła się nieznacznie w powietrze. Shun natychmiast skorygował ustawienie obrońcy, tak, by kula nie przeleciała nad nim. Zamiast tego wylądowała na glinianym dysku, czemu towarzyszył nieprzyjemny odgłos pęknięcia.

Pomimo, że Shun przekreślił obrońcę, nic to nie dało. Kula bowiem odbiła się od niego i kontynuowała ruch po swoim torze.

– Już wszystko stracone... – powiedział Satoru z przygnębieniem.

Przy takiej prędkości kula musiała dotrzeć do celu w czasie bardziej zbliżonym do szesnastu, aniżeli do dwudziestu sześciu sekund. Odwróciłam wzrok, by na to nie patrzeć, lecz właśnie wtedy usłyszałam okrzyk Marii.

– Och! Co się dzieje?

Podniosłam wzrok i moim oczom ukazała się zupełnie bezprecedensowa sytuacja. Kula rozpędziła się tak bardzo, że grupa piąta całkowicie straciła nad nią kontrolę. Jeden z popychaczy przeleciał na przód kuli i został przez nią zmiażdżony, co spowodowało, że siła pchająca kulę została nierównomiernie rozłożona, sprawiając, że zoczyła ona z toru. Rozpędzonej masy nie dało się już zatrzymać. Kula minęła cel w dużej odległości, po czym wyleciała z pola gry.

– Grupa piąta jest niezdolna do dalszej walki. Zwyciężyła grupa pierwsza! – Głos Słonecznego Księciunia brzmiał niczym wołanie z niebios.

– Tak!

– Wygraliśmy pierwszą rundę!

– Grupa piąta sama sobie zaszkodziła. Ich strategia była najprawdopodobniej zbyt ryzykowna.

Zebraliśmy się w krąg, świętując zwycięstwo. Szybko uświadomiłam sobie jednak, że Shun stoi z boku.

– Co się stało? – spytałam.

Shun odwrócił się w moim kierunku, trzymając obrońcę. Wyglądał na przybitego.

– Źle z nim – powiedział. – Jest cały popękany.

– Co?

Wszyscy zebraliśmy się wokół Shuna. Glina była wypalana w wysokich temperaturach, więc powinna być w stanie znieść ciężar

marmurowej kuli. Nikt nie brał jednak pod uwagę, że kula podskoczy i z impetem opadnie na gliniany dysk.

– No cóż. Nie wiemy czy rozegramy jeszcze jeden, czy też dwa mecze. Czy to znaczy, że nie będziemy mogli już użyć tego obrońcy?
– spytała Maria.

– Tak, prawdopodobnie rozpadnie się gdy tylko kula się na niego wtoczy. Nie da się nim zakreślić, zmieniając tor ruchu kuli.

– Więc nie mamy innego wyboru jak użycie tylko czterech obrońców...

Próbowaliśmy znaleźć metodę by temu zaradzić, jednak z braku dobrych pomysłów zdecydowaliśmy się na zrobienie małej przerwy i sprawdzenie, kto będzie naszym kolejnym przeciwnikiem.

Ponieważ było tylko pięć drużyn, nie dało się równomiernie rozmieścić ich w drzewku turniejowym. W Akademii Mędrców radzono sobie z tym problemem w następujący sposób: najpierw losowano dwie pary drużyn, które toczyły ze sobą pojedynki, po czym dwa zwycięskie zespoły ciągnęły słomki. Ta grupa, która miała szczęście, awansowała bezpośrednio do finału, natomiast druga walczyła z zespołem który na początku pozostał nierozstawiony. Wygrany w tym meczu zostawał drugim finalistą. W zależności od szczęścia, w ciągu całego turnieju można było więc stoczyć tylko dwie lub wszystkie trzy walki.

W każdym razie, poszliśmy obserwować pojedynek między grupami trzecią i czwartą. Zgodnie z pogłoskami, trzecia grupa była silna i musieliśmy sprawdzić jak wygląda zarówno ich ofensywa, jak i defensywa. Ich popychacz miał skomplikowany, powyginany kształt, przypominający podkowę. Mógł doskonale kontrolować ruch kuli. Napastnicy przypominali naszych, jednak wyglądali na bardziej dopracowanych. Tym, co nas zadziwiło był sposób, w jaki używali dwóch swoich obrońców, wyglądających jak laleczki *kokeshi*. Między nimi rozpościerała się lina z wilgotnej gliny. Gdy kula wpadła na sznur, owinał się on wokół niej, nie pozwalając jej dalej toczyć się do

przodu. Pomimo, że grupie czwartej udało się ostatecznie dotoczyć kulę do celu, zajęło im to bardzo dużo czasu.

– Są całkiem sprytni, skoro wymyślili coś takiego – przyznał niechętnie Satoru.

– Zrobiliśmy błąd, zakładając, że musimy używać jedynie utwardzonej gliny.

– Wyglądało to, jakby byli całkiem pewni, że są w stanie zapewnić sobie zwycięstwo poprzez sprawienie, że przeciwnik straci wystarczająco dużo czasu.

– Grupa trzecia z pewnością wygra – powiedziała Maria z podziwem, który nieczęsto słyszało się w jej głosie.

Rzeczywiście, pokonali grupę czwartą z dużą przewagą – dwudziestu dwóch sekund do siedmiu minut i pięćdziesięciu dziewięciu sekund. Ciągnęliśmy z nimi słomki – los się do nas uśmiechnął i awansowaliśmy bezpośrednio do finału.

– Wygląda na to, że mieliśmy dużo szczęścia.

– Skoro mamy trochę czasu, pomyślmy nad jakąś dobrą taktyką.

– Potrafisz naprawić dysk, Shun?

– Mój cantus nie jest wystarczająco silny, by wypalić łąty z gliny tak, by całkowicie naprawić dysk. Wszystko, co mogę zrobić to tymczasowo go podreperować.

Podczas gdy Shun, Satoru i ja próbowaliśmy znaleźć jakieś rozwiązanie, Maria i Mamoru poszli obserwować półfinał między grupą drugą i trzecią.

– Tak czy siak, postarajmy się najpierw wypełnić pęknięcia w dysku.

– Możemy dostać glinę na łąty?

Satoru poszedł zadać to pytanie Słonecznemu Księciuniowi. Dowiedział się, że możemy wymienić część swoich figur na ważącą tyle samo glinę. Ponieważ jednak wypalona glina była lżejsza niż wilgotna, ilość materiału jaki mogliśmy otrzymać w wymianie była znacznie mniejsza.

– Nic na to nie można poradzić. Jeden z obrońców i tak został wcześniej uszkodzony, więc wymieńmy go.

Wypełniliśmy ubytki, a Shun utwardził glinę za pomocą swojego cantusu. *Do czego powinniśmy wykorzystać resztę gliny?* – zastanawiałam się. Uformowałam z niej kulkę, a potem spłaszczyłam ją tak, że była cienka niczym kartka papieru. *Zaraz. A gdyby tak...*

– Przestań się tym bawić, Saki – powiedział Satoru.

– Hej, może dzięki temu uda nam się pokonać grupę trzecią.

– Co masz na myśli?

– Przyszło ci coś do głowy? – spytał Shun znad naprawianego dysku.

Przytaknęłam nieśmiało, tłumacząc im swój pomysł.

– To niesamowite! Jesteś genialna!

Komplement Shuna sprawił, że poczerwieniały mi uszy.

– Racja, to strasznie tania sztuczka, ale na pewno nie będą się tego spodziewali – powiedział Satoru. Jak zwykle próbował mi dociąć, ale nie mógł zaprzeczyć, że pomysł jest dobry.

– Powinniśmy tak właśnie zrobić, Satoru. Nie widzę innego sposobu.

– Ta, też tak myślę.

– Nie mamy czasu na przygotowanie niczego innego.

Wszyscy zabraliśmy się za spłaszczanie kolejnego kawałka gliny, po czym połączyliśmy go z tym, który zrobiłam wcześniej. Ponieważ wszyscy zajmowaliśmy się tą samą rzeczą, nie mogliśmy korzystać z mocy i nie pozostało nam nic innego jak wykonanie całej pracy przy pomocy rąk. W chwili, w której skończyliśmy, do sali wpadli Maria i Mamoru.

– Półfinały właśnie dobiegły końca. I stało się coś naprawdę złego.

– Niech zgadnę: walczymy z grupą trzecią? Mamy na nich plan – odparł Satoru, zupełnie jakby to był jego pomysł.

– Nie – odpowiedziała Maria. – Grupa trzecia odpadła. W finale zmierzmy się z grupą drugą.

Rozdział 5

Gdy zmierzaliśmy na dziedziniec, natknęliśmy się na grupę trzecią, która właśnie z niego wracała.

– Byłam święcie przekonana, że to z wami spotkamy się w finale – powiedziałam do Hiroshiego.

– My też. Myśleliśmy, że wygramy – odpowiedział z ubolewaniem. – Gdyby tylko to się nie zdarzyło... – Pokazał przypominającego podkowę popychacza. Brakowało mu dużego fragmentu dolnej połowy.

– Jak do tego doszło?

– Jeden z ich obrońców wpadł na niego przez przypadek – powiedział Hiroshi, gładząc palcem popękane krawędzie figury. – Kula zaczęła się toczyć w złym kierunku i minęła ponad minuta, zanim udało się nam skierować ją ponownie na właściwy tor.

– Ostatecznie zwyciężyła grupa druga wynikiem minuta i trzydzieści sześć sekund do naszej minuty i czterdziestu jeden sekund. To było okrutne, nie uważacie? – Najbardziej zuchwała dziewczyna w klasie, Misuzu, położyła dłoń na ramieniu Hiroshiego i westchnęła.

– To ich wina, że uderzyli waszego popychacza.

– Cóż, to był nieszczęśliwy wypadek, więc nic nie da się z tym zrobić – powiedział Hiroshi niezbyt przekonująco. – Uważajcie – dodał, odchodząc. – Kto wie, co może się zdarzyć w finale.

Usłyszenie czegoś takiego tuż przed meczem było jak pewnego rodzaju wróżba. Wszyscy zaczęliśmy zwracać większą uwagę na to, co się wokół nas dzieje. Gdy natomiast zobaczyliśmy napastnika grupy drugiej, byliśmy bardzo zaskoczeni.

– Porusza się na kole? – wyszeptał z niedowierzaniem Satoru.

– Też myśleliśmy nad czymś takim, ale odrzuciliśmy ten pomysł bo uznaliśmy, że oś ograniczy zwrotność. To naprawdę dziwne. Czy robienie czegoś takiego z gliny nie jest głupim pomysłem?

Shun przyjrzał się napastnikowi, wyrażając wzrok.

– Spójrzcie uważniej. To nie koło, a sfera.

Do dolnej części ciała popychacza przytwierdzona była kula; dało się jednak zobaczyć tylko jej dolną połowę, przez co można było pomylić ją z kołem.

– Wygląda na to, że po prostu przemieszcza się na kuli. Czy on się nie przewróci, gdy zostanie uderzony? – zastanawiał się Satoru. – Powinni chyba całkowicie ukryć kulę.

– Nie, schowali ją na tyle, na ile było to możliwe. W przeciwnym razie do wewnątrz łatwo dostałyby się ziarna piasku, powodując prawdziwą katastrofę. I tak jednak uważam, że dość szybko się zepsuje – powiedział Shun z powątpiewaniem.

– Jeśli piasek unieruchomi to koło-sferę, to po prostu będą musieli go popychać w zwykły sposób, prawda? Prawdopodobnie chcą po prostu ułatwić sobie start, by szybciej przebić się przez naszą obronę – odparła spokojnie Maria.

Nasze wątpliwości zostały rozwiane wraz z początkiem meczu.

– Dwoje z nich...! – wykrzyknęłam zdumiona.

Dwójka asów grupy drugiej, Ryou i Akira, razem sterowała popychaczem. Ryou przypuszczalnie odpowiadał za kontrolowanie ciała, kierując marmurową kulą, podczas gdy zadaniem Akiry było utrzymywanie razem obu części figury oraz usuwanie z drogi wszystkiego, co mogłoby zablokować sferę. Działanie cantusów dwóch różnych osób w tak bliskiej odległości było niebezpieczne, więc większość drużyn unikała sytuacji, w której dwie osoby kontrolują tę samą figurę. W tym przypadku jednak potencjalne korzyści znacznie przeważały nad ryzykiem.

Pomimo, że próbowaliśmy bronić się z całych sił, popychacz precyzyjnie przeliczył się zygakiem przez luki między obrońcami. Obrońca Satoru zawrócił w miejscu, rzucając się w pościg za popychaczem, lecz wpadł na powolną figurę Mamoru, wyrzucając ją poza pole gry.

– Uszkodził się – powiedziałam do Shuna z westchnięciem

– Na to wygląda. Ten popychacz to naprawdę coś! Teraz możemy już tylko liczyć na to, że twój pomysł wypali.

Przestaliśmy kontrolować obrońców i stanęliśmy z boku, obserwując dalszy przebieg gry. Widząc to, członkowie grupy drugiej pomyśleli, że się poddaliśmy i triumfalnie pognali naprzód. Nagle jednak zatrzymali się w połowie drogi i zaczęli w osłupieniu rozglądać się we wszystkie strony.

– Co jest? Tu nie ma celu! – krzyknął na nas Manabu.

– Jest – odparł Shun.

– Gdzie?

– Nie musimy wam tego mówić – rzekł zadowolony z siebie Satoru.

– Hej, zatrzymać czas! Coś tu jest nie tak! – użalał się Manabu.

– Nawet się nie waż – ostrzegła Maria mierzącego czas ucznia z grupy czwartej. – Nie zatrzymuj czasu, dopóki któraś ze stron nie wygra.

– Nie żartuję! Jak niby mamy kontynuować grę, skoro nie ma żadnego celu?

– Jak już mówiłem, cel istnieje – powiedział Shun do wściekłego Manabu.

– Poszukajcie go. Mimo, że trochę wam to zajmie – zadrwił Satoru.

Nawet dla mnie, członka tej samej drużyny, Satoru był wkurzający. Przeciwników musiał z pewnością doprowadzać do szału.

– Tylko marnujemy swój czas, skoro nie ma celu.

– Cel jest. Gdyby go nie było, naruszylibyśmy zasady i przegralibyśmy mecz – odpowiedział cicho Shun.

Manabu podejrzliwie rozejrzał się wkoło. Gdyby udało nam się przeciągnąć tą sytuację jeszcze trochę, straciliby już prawie dwie pełne minuty.

– Ukryliście go, mam rację...? – uświadomił sobie nagle któryś z zawodników.

Pomimo, że rozpaczliwie przeczesywali pole, celu nadal nie było nigdzie widać.

– To oszustwo! – warknął Manabu przez zaciśnięte zęby.

- Nie ma reguły mówiącej, że nie wolno ukrywać celu.
- Owszem, jest! Zmianianie pola gry to poważne przewinienie.
- Cóż, nie zmieniliśmy go w żaden sposób. Potrzebujecie wskazówki? – spytał Satoru.

Szybko się wtrąciłam, obawiając się że coś mu się wymyśli przez nieuwagę.

- Później wam to wytłumaczymy, ale teraz chyba lepiej dla was będzie, jak powrócicie do poszukiwań. Wiecie, czas leci.

Manabu wyglądał na skonsternowanego, jednak ponownie zabrał się za szukanie celu. Nawet, jeśli znalazłby go w tej chwili, stracili już ponad minutę. Istniała też możliwość, że w ogóle go nie znajdą. Cel był idealnie ukryty pod cienkim, glinianym dyskiem wykonanym tak, żeby wyglądał jak piaszczyste podłoże. Krawędź dysku była pokryta piaskiem, podobnie jak płaszczka zakopująca się częściowo w dnie oceanu, by wtopić się w otoczenie. Wbrew temu, co mówił Satoru o braku ingerencji w pole gry, to co zrobiliśmy prawdopodobnie graniczyło już ze złamaniem zasad.

Przez chwilę grupa druga popychała kulę we wszystkich kierunkach, bezowocnie szukając celu. Nagle, szczęśliwym trafem udało im się wtoczyć ją prosto na dysk. Wykonaliśmy go tuż przed meczem, więc nie był dostatecznie wzmocniony i nie mógł utrzymać ciężaru dziesięciokilowej kuli. Przełamał się w połowie, a kula wpadła do dziury.

- Ech, złamał się zbyt łatwo, tak jak się obawialiśmy.
- Ale spełnił swoją rolę. Stracili ponad trzy minuty, więc wygramy bez większych trudności – rzekł z optymizmem Satoru.

Wszyscy daliśmy się porwać jego entuzjazmowi. Nie było możliwości, by obrońcy grupy drugiej byli na tyle silni, by powstrzymać nas przez trzy minuty.

Pewność siebie nie opuściła nas nawet, gdy zmieniliśmy strony i wystawiliśmy swojego popychacza. Byliśmy przekonani, że wszystko jest w porządku, dopóki nie zobaczyliśmy, że grupa druga posyła na nas falę, złożoną z ponad dziesięciu obrońców. Każda osoba

kontrolowała co najmniej dwóch. Atakowali na oślepa, uderzając nieustępliwie w naszych napastników. Jako, że było ich tak wielu, nie byliśmy w stanie powstrzymać wszystkich. Części figur udało się prześliznąć i zmierzały teraz w stronę kuli.

Nawet w obliczu nacierających obrońców, Shun nie przestał spokojnie popychać kuli do przodu. Skoro mieliśmy trzy minuty zapasu, nie było powodów do pośpiechu.

Pomimo, że minęła tylko minuta, przebyliśmy już ponad połowę pola i dobrze widzieliśmy znajdujący się tuż na wprost cel. Grupa druga miała wielu obrońców, ale byli mali i lescy, a ich siła nie była wystarczająca, by uniemożliwić ruch naszemu popychaczowi. Zwycięstwo było na wyciągnięcie ręki.

W jednej chwili kula zatrzymała się z szarpnięciem, zupełnie jakby była na uwięzi. Shun wyglądał na zaskoczonego. Gdy spróbował silniej pchnąć kulę, stało się coś jeszcze.

Jeden z obrońców nadleciał z boku, prześliznął się obok kuli i wpadł wprost na popychacza. Z donośnym, czystym niczym bicie dzwonu dźwiękiem, kawałki ceramiki wzleciały w powietrze.

Wszyscy wydali zduszony okrzyk. Obrońca wypadł z pola gry i zobaczyliśmy, że lewe ramię naszego popychacza zostało odłamane.

Pomimo, że mecz nie został przerwany, wszyscy z nas, wliczając w to członków grupy drugiej, byli tak zszokowani, że zastygli bez ruchu. Wszyscy, z wyjątkiem jednej osoby.

Inny obrońca nadleciał z tego samego kierunku co poprzedni i zaczął pchać kulę, która pomału stoczyła się z pola gry.

Kto mógł to zrobić? Spojrzałam na osłupiałe twarze naszych przeciwników i zauważyłam uśmiechniętego od ucha do ucha Manabu. Instynktownie odwróciłam wzrok, czując, że ujrzałam coś, czego nie powinnam była widzieć.

– Ej! Coś ty zrobił, do cholery?! – wrzasnął rozjuszony Satoru. – Ty... Ty właśnie... – próbował kontynuować, jednak nie był w stanie znaleźć odpowiednich słów.

– To był wypadek. Przykro mi – powiedział Manabu.

– Wypadek? Nie wymówisz się w taki sposób! – wykrzyczała Maria.

– W porządku, zatrzymać czas – oznajmił Słoneczny Księżniunio, stając między nami.

Pojawił się w idealnym momencie; prawdopodobnie cały czas skądś nas obserwował.

– To niefortunna sytuacja, ale z powodu nieszczęśliwego wypadku finałowy mecz kończy się remisem – ogłosił.

– Co? Przecież przeciwnicy złamali reguły, prawda? – zaprotestował zaciekle Shun, co jak na niego było rzadkim zachowaniem.

– Nie, to był wypadek. Powiedzmy, że uznamy obydwie drużyny za zwycięzców, w porządku?

Po usłyszeniu tych słów, nikt nie odważył się kwestionować decyzji nauczyciela. Turniej, który dostarczył całej klasie ogromnych emocji, zakończył się w tak niespodziewany sposób.

– Nie wierzę w to! Jestem pewna, że zrobił to celowo! – kipiała z wściekłości Maria. – Nawet grupa trzecia ostrzegała nas, zanim zaczął się mecz.

– Tak, niemożliwe, żeby to był wypadek – zgodził się Mamoru.

– Zaplanował to wszystko – poparł ich Satoru. – Prześlizgnięcie się obok kuli, zniszczenie ręki popychacza – to wszystko było częścią planu. Nie wydaje ci się, Shun?

Shun milczał, stojąc ze skrzyżowanymi ramionami.

– Że co? Nie mów mi, że mu uwierzyłeś!

Shun potrząsnął głową.

– Nie... Ale myślę o tym, co wydarzyło się wcześniej – odpowiedział.

– Wcześniej?

– Popychacz nagle się zatrzymał, zupełnie jakby uderzył w mur.

– Hę?

– Jesteś pewien?

– Tak. To było coś bardzo dziwnego. I jestem pewien, że na polu gry nie było niczego, co mogłoby go zatrzymać.

Zaniemówiliśmy. Shun miał spośród nas najostrzejsze zmysły i z pewnością nie należał do osób, które zmyśliłyby coś takiego.

W takiej sytuacji, pozostawało tylko jedno wytłumaczenie tego, co się stało. Ktoś wykorzystał swój cantus, by zatrzymać kulę. Pomijając nawet regułę gry, zabraniającą działania mocą bezpośrednio na kulę, ingerencja w działanie cantusu innej osoby była – jak już wspominałam – rażącym pogwałceniem Kodeksu Etyki. Gdy działanie dwóch różnych cantusów nakłada się na siebie, ukazuje się tęczy wzór, a przestrzeń wkoło zostaje zniekształcona, tworząc ekstremalnie niebezpieczne środowisko.

Innymi słowy, ktoś z grupy drugiej nie widział nic złego w naruszeniu najbardziej fundamentalnej z zasad.

Wyobrażanie sobie osoby robiącej coś takiego było tak niepokojące, że wydawało mi się, że ziemia pod moimi nogami zaraz się rozstąpi. Tego dnia wracaliśmy do domów pogrążeni w ciszy. Przypuszczam, że wszyscy byli nadal w stanie szoku. Nawet wtedy nie znaleźmy jednak prawdziwej natury tego ukrytego głęboko w naszych wnętrzach strachu.

Podczas wieku dojrzewania nawet najbardziej błahe problemy często wydają się końcem świata. Zmartwienia trapiące nasze młode, naiwne umysły nigdy jednak nie trwają długo; szybko zapominamy o pierwotnej przyczynie niepokoju. Ponadto, dzięki temu podświadomemu mechanizmowi obronnemu, zwanemu niepamięcią, z naszego umysłu, niczym strużka dymu, mogą ulatywać także znacznie istotniejsze kwestie, które mogłyby w nas wzbudzić wątpliwości co do otaczającego nas świata.

Gdy turniej toczenia kuli dobiegł końca, nasza uwaga skupiła się na najważniejszym spośród dorocznych wydarzeń jakie odbywały się w Akademii Mędrców, czyli na letnim obozie. Nazwa ta może się kojarzyć z szczęściem i beztrąską, jednak prawda jest taka, że była to pełna wrażeń, tygodniowa wyprawa, podczas której wraz z drużyną

płynęło się w górę rzeki Tone i spędzało noce pod namiotami – a wszystko to bez żadnego nadzoru dorosłych. Nauczyciel musiał zaakceptować zaplanowaną przez nas trasę podróży by upewnić się, że nie będzie ona kolidowała z planami innych grup, lecz poza tą jedną kwestią nie angażował się w sprawę obozu. Miało to być nasze pierwsze wyjście poza Święta Barierę od czasu wizyty w Świątyni Czystości, więc wszyscy byli tak podekscytowani i poddenerwowani, jakby powiedziano nam, że idziemy odkrywać niezbadaną planetę.

Z każdym dniem byliśmy coraz bardziej nerwowi i zniecierpliwieni; za każdym razem gdy się spotykaliśmy, ktoś miał w zanadru kolejną zasłyszaną plotkę lub historyjkę dotyczącą letnich obozów. Pomimo, że żadna z tych opowieści nie była prawdziwa, ani w żadnym stopniu pomocna w przygotowaniach, kompletnie zaprzątnęły one nasze myśli, odwracając uwagę od trapiących nas zmartwień.

Dlatego też gorzki posmak jaki pozostawiło po sobie niefortunne zakończenie turnieju nie przetrwał długo na naszych językach. Nie pamiętaliśmy o nieobecnej od długiego czasu Reiko Amano i tak samo nie zaprzątał nam głów fakt, że zabrakło nagle wśród nas kolejnego ucznia – Manabu Katayamy.

Fakt, że zignorowaliśmy ich zaginięcie jest oczywiście sam w sobie niezaprzeczalnym dowodem na to, że zręcznie i skrupulatnie manipulowano naszymi wspomnieniami.

– Saki, zacznij wiosłować, jak należy – burknął Satoru już chyba po raz trzydziesty.

– Robię to poprawnie, to ty nie współpracujesz – odparłam, również po raz trzydziesty.

Kanadyjkami sterują pary wiosłarzy, siedzących w rzędzie; jeśli jednak ich ruchy nie są odpowiednio zsynchronizowane, to nawet, jeśli będą wiosłować do końca świata, nie przemieszczą się ani o kawałek. Oznacza to, że Satoru i ja, umieszczeni w jednej łodzi w wyniku losowania, byliśmy najgorszą parą, jaką można sobie wyobrazić.

– Rany, czym tamta dwójka różni się od nas?

Z naszej perspektywy, Maria i Mamoru pracowali w idealnej harmonii. Nawet pomimo tego, że poprzedniego dnia odbyliśmy tylko krótki, dwugodzinny kurs sterowania kajakiem, wyglądali, jakby pływali nim razem już od wielu lat. Jakby tego było mało, Mamoru był w stanie zagospodarować wystarczająco dużo czasu, by móc jednocześnie zabawić Marię, tworząc tęcze z rozpryskującej się piany, którą pozostawiała za sobą łódka.

– Przyjrzyj im się uważnie. Mamoru dopasowuje swoje tempo do Marii. Ten, kto siedzi z przodu nie jest w stanie zobaczyć, co jest za nim, więc to do drugiego wiosłarza należy dostosowanie się do partnera.

– To nie zmienia faktu, że Maria po prostu prawidłowo wiosłuje. Ty za to tylko podziwiasz widoki i zapominasz zupełnie o machaniu wiosłami – Satoru nie przestawał zrędnąć, rzucając pod moim adresem fałszywe oskarżenia.

Wczesnoletni wiaterek, dmuchający znad szerokiej rzeki był cudownie orzeźwiający. Na krótką chwilę puściłam wiosła i zdjęłam kapelusz, pozwalając bryzie, by potargała mi włosy. Ręcznik, owinięty na moich ramionach trzepotał niczym peleryna, odsłaniając przepoconą koszulkę, która mogła w ten sposób suszyć się na wietrze. Gumowa kamizelka ratunkowa, którą na sobie miałam była prawdziwą torturą, jednak było to niezbędne zabezpieczenie.

Brzegi rzeki na całej długości porośnięte były trzciną; można było usłyszeć dochodzący spomiędzy niej szczebiot trzciniaaków zwyczajnych.

Nagle poczułam, jak kajak nabiera prędkości i zaczyna gładko sunąć naprzód. Przez chwilę pomyślałam, że Satoru uświadomił sobie swój błąd i zaczął machać wiosłami wykorzystując pełnię swojej siły. Oczywiście jednak nie była to prawda.

Obejrzałam się za siebie i zobaczyłam go opartego niedbale o burtę; jedną dłonią podpierał policzek, a drugą, zanurzoną w wodzie, kreślił w niej szlaczek.

– Co ty wyprawiasz? – spytałam poważnie.

– Rzeka jest taka przyjemna – powiedział, spoglądając w górę. – Zupełnie jak ocean, tylko bez całej tej soli – kontynuował, kompletnie nie łapiąc, o co mi chodzi.

– Czy to czasem nie ty mówiłeś, że powinniśmy dostać się tak daleko jak się da bez korzystania z mocy? Już się poddałeś?

– Bądźmy poważni. Moglibyśmy tak zrobić, gdybyśmy płynęli w dół rzeki, ale zbyt ciężko jest wiosłować przeciw nurtowi – stwierdził Satoru, ziewając.

– Właśnie dlatego kompensujemy jego siłę dzięki cantusowi, więc...

– Skoro zamierzasz się z tym fatygować, to czemu od razu nie użyjesz swojej mocy do wprawienia łodzi w ruch? Zresztą, zawsze możemy wiosłować w drodze powrotnej.

Satoru przeszedł już w tryb leniucha, więc dyskusja z nim była bezcelowa. Zamiast tego skierowałam swoją uwagę na okoliczną scenerię. Gdy przyjrzałam się bliżej wspólnej pracy Marii i Mamoru, a także wiosłującemu samotnie Shunowi, mogłam przysiąc, że również ich cantus robił coś więcej ponad samo niwelowanie siły napierającej wody. Wygląda na to, że chodzenie na łatwiznę jest nieodłączną cechą ludzkiej natury.

Shun pomachał nam z brzegu, wskazując swoim wiosłem na trzciny. Dwa pozostałe kajaki zmieniły kurs i podążyły w jego stronę.

– Spójrzcie, to gniazdo trzciniaka zwyczajnego.

Małe gniazdo zostało zbudowane na wysokości piersi, więc gdy wstałam, mogłam do niego zajrzeć prosto z kajaku. Łódka kołysała się na boki; Satoru chwycił za burty, żeby utrzymać równowagę i zerknął na gniazdo.

– Łał, rzeczywiście. Ale czy to na pewno...

Gniazdo miało siedem lub osiem centymetrów średnicy i było podparte trzema grubymi łodygami trzciny. W środku leżało pięć małych jaj w brązowe cętki.

– Czy to na pewno gniazdo trzciniaka...? Równie dobrze może należeć do sianokułki, prawda?

Mówiąc szczerze, nie potrafiłam, i wciąż nie potrafię, rozróżnić ich od siebie. Nazwa sianokułek wzięła się od tego, że budują one swoje gniazda wśród pól srebrzystej trawy, jednak tak naprawdę częściej można je spotkać między trzciniami na brzegach rzek.

– Jest prawdziwe – powiedział Satoru ze swojego miejsca. – Sianokułki muszą budować ich wiele, a poza tym nie opiekują się swoimi młodymi, więc tworzone przez nie gniazda wyglądają na niedopracowane. Widzisz, jak dobrze ukryte jest to gniazdo w miejscu ciężkim do wypatrzenia z góry? Większość z gniazd sianokułek znajduje się w naprawdę odsłoniętych lokalizacjach.

– Poza tym łatwo można to stwierdzić po wyglądzie jego boków – dodał Shun. – Trzciniaki zwyczajnie stają na krawędziach, chroniąc pisklęta, więc brzegi stają się spłaszczone; sianokułki natomiast po ukończeniu gniazda po prostu je porzucają, więc brzegi pozostają ostre. Ponadto trzciniaki czasami używają do budowy własnych piór; nie trzeba tłumaczyć, że próżno ich szukać w gniazdach sianokułek.

Chłopcy często używają imitacji jaj produkowanych przez sianokułki do płatania ludziom rozmaitych figli; nic dziwnego więc, że mieli na ich temat rozległą wiedzę, nawet pomimo tego, że żadne z nas nigdy nie interesowało się szczególnie tymi śmierdzącymi fałszywkami.

Sporządziliśmy krótką, ilustrowaną notatkę na temat miejsca, w którym znaleźliśmy gniazdo, po czym popłynęliśmy dalej, wypatrując kolejnych.

Letni obóz nie składał się tylko z zabawy i gier. Był też częścią praktyki, którą musieliśmy odbyć w ramach nauki o przyrodzie, więc każda z grup musiała prowadzić obserwacje podczas wyprawy i przedstawić ich wynik po powrocie. Nasz temat, „Gatunki okolic rzeki Tone” był dość ogólny. Zanim wyruszyliśmy, odbyliśmy gorącą dyskusję na temat tego, co dokładnie powinniśmy napisać. Gdy jakoś doszliśmy do porozumienia na temat wstępu, co i tak było według

mnie dużym sukcesem, Satoru zaczął, w ramach propozycji dalszego ciągu, opowiadać jedną ze swoich podkoloryzowanych historyjek.

– Bombopsy? – wybuchłam śmiechem. – Coś tak dziwnego nie może istnieć.

– Mówię ci, są prawdziwe – powiedział Satoru z całkowicie kamienną twarzą.

Satoru zawsze reagował w taki sposób gdy ktoś poddawał jego słowa w wątpliwość, więc często śmialiśmy się z jego opowieści, chcąc go wkurzyć. I tak zazwyczaj wierzyliśmy mu tylko po części; tym razem jednak nie był dość wiarygodny nawet na to.

– Pewni ludzie widzieli je ostatnio.

– Na przykład kto? – spytała Maria.

– Nie wiem jak się nazywają.

– Widzicie? Jest tak, jak zwykle. Zawsze zapiera się, że są jacyś świadkowie, ale gdy spyta się go o nazwiska, nagle zaczyna kręcić – powiedziałam triumfalnym tonem, ale Satoru zignorował mnie i kontynuował opowieść. Zastanawia mnie, dlaczego taką frajdę sprawiało mu zwodzenie ludzi.

– Gdybyś usłyszała jego imię, prawdopodobnie wiedziałabyś kto to taki. Powiedział, że spotkał bombopsa u podnóża góry Tsukuba.

– Po co szedł aż pod Tsukubę? – Maria bezkrytycznie uwierzyła w historię Satoru, całkowicie zapominając o tym, że nadal nie znamy tożsamości świadka.

– Robota dla Rady Edukacji, jakiś pomiar albo coś podobnego. To jasne, że nie zdradzają szczegółów dzieciom. W każdym razie, gdy zbliżył się do góry, z jednej z jaskiń ociężale wyszedł bombopies.

Zaczęłam już szukać nieścisłości w opowieści Satoru, gdy nagle odezwał się Mamoru.

– Jak wyglądał?

– Był zbliżony wielkością do zwykłego psa, całkowicie czarny, z pękatym tułowiem. Jego głowa była wielkości ledwie połowy łba normalnych psów a jego brzuch tak bardzo zwisał, że prawie szorował nim po ziemi.

– Czy to naprawdę był pies?

– Kto wie? To możliwe.

– Nie wygląda na to, by były szczególnie groźne – powiedziała Maria.

– To fakt. Lecz kiedy się zezłoszcą, ich ciało potrafi nadać się niczym balon, ostrzegając w ten sposób wrogów, żeby się nie zbliżali. Jeśli jednak są prowokowane w dalszym ciągu, to...

– Nadymają się coraz bardziej i bardziej, aż w końcu eksplodują, tak? Czy naprawdę według ciebie to nie brzmi głupio? – wtrąciłam się, lecz Satoru natychmiast zmienił taktykę.

– I to właśnie jest problem.

– He?

– Czy to nie zaprzecza kompletnie zdrowemu rozsądkowi? Jeśli chciałbym wkręcić parę osób, wymyśliłbym coś bardziej wiarygodnego, nie sądzisz?

Przyszło mi do głowy parę zastrzeżeń, ale siedziałam cicho. Gdybym coś powiedziała, oznaczałoby to, że zaakceptowałam jego nedorzeczną historię. Mimo tego Satoru i tak najwyraźniej uważał, że ze mną wygrał.

– Słyszałem, że bombopsy są boskimi posłańcami, ale jak dla mnie to tylko zwykłe zwierzęta. Wiele stworzeń próbuje stwarzać pozory większych rozmiarów, gdy zostaną sprowokowane. Bombopsy to tylko skrajny przykład takiego zachowania. Gdy wybuchają, bardzo prawdopodobne jest, że przeciwnik zostanie zabity, albo przynajmniej poważnie zraniony – powiedział.

– I tak to nadal brzmi nedorzeczenie – odezwał się dotychczas słuchający w ciszy Shun.

– Dlaczego? – spytał ponuro Satoru.

– Ponieważ gdyby tak się działo, to czy bombopsy nie ginęłyby wraz ze swoim przeciwnikiem? Wszystkie wymarłyby w mgnieniu oka.

To był prosty, lecz niepodważalny wniosek. Satoru skrzyżował ramiona, udając, że się zastanawia nad problemem, ale byłam pewna,

że nie będzie w stanie niczego wymyślić. Kiedy już zdążyłam utwierdzić się w tym przekonaniu, zaczął nagle mówić, tak jakby konwersacja w ogóle nie została przerwana.

– Hmm... Oprócz bombopsa, ten człowiek spotkał też złego minoshiro.

– Co ma znaczyć to „hmm”? – spytałam, prawie spadając ze swojego krzesła. Halo, a co dalej z bombopsem?

– Ten, o kim mówię wycofał się, gdy zobaczył, że bombopies się nadyma, więc ostatecznie nie doszło do eksplozji. Kto wie, może i tak całe to wybuchanie jest zmyślane – powiedział Satoru, zręcznie, niczym odrzucająca swój ogon jaszczurka, wycofując się z dalszego drażenia tematu. – A później, podczas wspinaczki na górę Tsukuba, napotkał złego minoshiro.

– Czy to to samo co fałszywy minoshiro? – zapytał się Mamoru.

– Tak. Na pierwszy rzut oka wyglądają jak prawdziwe minoshiro, ale gdy się przyjrzeć z bliska, okazują się zupełnie różne.

– Ale dlaczego one są złe? – spytała Maria, marszcząc brwi.

– Ludzie, którzy je spotkali, wkrótce potem umierają.

To było absurdalne.

– Więc jak umarł ten ktoś? Czekaj, on wciąż żyje, mam rację?

– Ale prawdopodobnie już niedługo – odparł Satoru bez mrugnięcia okiem.

Gdybyśmy na tym poprzestali, byłoby tak jak zawsze, gdy Satoru opowiadał swoje bezsensowne historie, jednak Shun wysunął nieoczekiwaną propozycję.

– Czemu nie zbadamy tego w ramach obozowej obserwacji?

– Złych minoshiro? – Byłam kompletnie zaskoczona.

– Ich, bombopsów i innych stworzeń. Rzadko się trafia okazja taka jak ta, więc chcę dowiedzieć się, czy one istnieją, czy nie.

– To brzmi interesująco – zgodziła się natychmiast Maria.

– Czekajcie, czy wy w ogóle wiecie, o czym mówicie? Jeśli spotkacie złego minoshiro, to umrzecie.

Tak, jak się spodziewałam, Satoru z całych sił próbował odwieść nas od tego pomysłu, obawiając się, że jego kłamstwa zostaną obnażone.

– Nikt nie umrze – zachichotała Maria.

– Ale jak chcecie go złapać? Zapomniałem wspomnieć, ale nie działa na nie cantus.

– Co masz na myśli?

Wszyscy odwróciliśmy na niego wzrok. Kto wie, co jeszcze mógł wymyślić w akcie desperacji.

– Uch, nie wiem dokładnie.

– Po prostu to wyjaśnij.

Odpowiedziało nam milczenie.

Satoru w końcu ugiął się, zbombardowany naszymi pytaniami. Temat raportu został tym samym ustalony.

Myśląc racjonalnie, nie było jednak mowy o tym, by dało się spotkać tyle rzadkich gatunków. Zdecydowaliśmy więc, że zachowamy pierwotny, mglisty tytuł: „Gatunki okolic rzeki Tone”, tak, byśmy w razie niepowodzenia poszukiwań mogli napisać o normalnych minoshiro, sianokułkach i innych tego typu rzeczach.

Powróćmy do wydarzeń z obozu.

Nie minęło dziesięć minut od odnalezienia gniazda trzciniaka, gdy znów natknęliśmy się na coś ciekawego.

– Spójrzcie, tam jest jakieś olbrzymie gniazdo – krzyknęłam krótko.

Z jakiejś przyczyny Shun podniósł brwi z powątpiewaniem.

– Wygląda na należące do bączka żółtawego.

– Ta, prawdopodobnie tak jest, sądząc po wielkości – zgodził się Satoru.

Bardzo rzadko zdarzało się, że mieli takie same zdanie na jakiś temat, więc w pewien sposób sprawiło to, że ich opinia wydała się bardziej wiarygodna.

– Ale jest zbudowane dość niedbale.

Trzy łodzie zebrały się wokół gniazda. Znajdowało się ono niżej od tego należącego do trzciniaka, ale niektóre jego części były raczej odsłonięte. Każde zwierzę z wystarczająco byстрым wzrokiem byłoby w stanie dostrzec je z przeciwległego brzegu rzeki.

Shun wychylił się częściowo ze swojego siedzenia i zajrzał do środka.

– Tu jest pięć jajek.

Nasze łodzie zatrzymały się burta w burtę; gdy moje nagie ramię musnęło Shuna, momentalnie poczułam jak serce zaczyna mi szybciej bić. Udałam, że baczenie przyglądam się jajom i gniazdu. Bączki żółtawe są najmniejszymi przedstawicielami rodziny czaplówatych, jednak nadal znacznie przewyższają rozmiarem trzciniaka, który wielkością zbliżony jest do wróbla. Gniazdo było prawie dwa razy większe od poprzedniego, a jaja przypominały kurze, choć były nieco mniejsze i miały niebieskawy odcień.

Shun wyciągnął z gniazda jedno z jaj i dokładnie się mu przyjrzał. Po chwili ze zdziwienia opadła mu szczęka.

– O rety, to zdumiewające. Nawet jeśli się tego częściowo spodziewałem.

– Czego?

– Potrzyj je, Saki.

Chwycił jajo dwoma smukłymi palcami, po czym położył je na mej otwartej dłoni. Było przyjemnie chłodne w dotyku, przypominało ceramikę.

– Co jest z nim nie tak?

– Nie rozumiesz? – Złapał kolejne jajo i rzucił nim w Satoru.

Zdziwiło mnie, że tak brutalnie się z nimi obchodzi.

– Hej, co ty wyprawiasz? A co z tymi biednymi pisklętami? – spytałam.

– Ach – uśmiechnął się nieznacznie Shun. – Są fałszywe. Przyjrzyj się uważniej.

Wybrał jeszcze jedno jajo i położył je na pobliskim kamieniu. Zanim zdążyłam mrugnąć, roztrzaskał je uderzeniem wiosła.

Skorupka popękała, uwidaczniając wnętrze, które nie składało się z białka ani z żółtka, a jedynie z cuchnącej, czarnej brei. Jeszcze dziwniejsze było to, że zaczęła z niej wyrastać i rozgałęziać się we wszystkich kierunkach przypominająca poroże struktura.

– Czarcia dłoń. Słyszałaś o niej, prawda?

Właściwie to nie słyszałam. Uszczypnęłam jeden z kolców czubkami palców; wydawał się cienki jak papier.

– Ostrożnie, krawędzie są naprawdę ostre.

We wnętrzu czarnej dłoni znajdują się odchodzące od rdzenia żyłki, nadające jej elastyczność. Tak jak powiedział Shun, była ostra, a brzegi na całej długości miała pokryte kolcami.

– Zazwyczaj pozostaje zwinięta wewnątrz jaja, ale po rozbiciu skorupki zaczyna rozrastać się na zewnątrz.

– Dlaczego?

– Jeżeli jakiś połów albo wąż różańcowy je zje, eksploduje mu w żołądku – odpowiedział zza moich pleców Satoru. – A gdy będzie próbował je wypluć, sprawi tylko, że kolce wbiją się głębiej w ścianę żołądka, rozrywając go od środka. Następnie zawarta w tej czarnej, śmierdzącej mazi trucizna rozleje się po całym ciele węża.

Okropieństwo. Węże różańcowe wyewoluowały w taki sposób, by przystosować się wyłącznie do jedzenia jaj; atakują one gniazda i połykają naraz wszystkie jajka, ale trawią je znacznie później. Nawet ich nazwa wzięła się od tego, jak wyglądają po objedzeniu się jajami. Mogę sobie jedynie wyobrazić, jak okropny musiały być dla węża rezultat połknięcia kilku takich fałszywek. Te jaja nie zawierały w sobie życia, a pewną śmierć. Wyjęłam notatnik i szybko naszkicowałam fałszywe jajo.

– W Sosnowym Wietrze można znaleźć wiele fałszywych jaj trzciniaków, ale po raz pierwszy widzę sfabrykowane jajko bączka – powiedział Satoru ze zdziwieniem, oglądając jajo w promieniach słońca.

– Ptak, znoszący jaja takiej wielkości musi być w miarę duży, racja?

- Nie. Jest wielkości sianokułki – odparł Shun.
- Skąd wiesz? – Satoru spojrział pytająco na kolegę.

Shun wskazał ruchem policzka na coś znajdującego się przed nami. To, co zobaczyliśmy, zdziwiło nas. Na wprost naszych oczu, z gęstwiny trzciny, spoglądał na nas mały pyszczek. Stworzonko przypominało czaplę, w dziobie trzymało pęczek ususzonej trawy. Jego twarz pokrywały jednak łuski, oczy były czerwone i pozbawione powiek, a z ich kącików biegły czarne linie, przez co oczywiste było, że nie jest to ptak.

Sianokułka powoli się rozwinęła, wpełzając na grubą łodygę. Większość z tych zwierząt ma ciemnobrązową lub zielono-brunatną barwę, ale ten osobnik był jasnozielony, niczym młody kielek. Pomimo, że jej dziób wyglądał prawie identycznie jak ptasi, łatwo dało się stwierdzić, że reszta ciała nie odbiegała znacznie od jej przodka, kurojada. Właśnie budowała nowe gniazdo zwinnie zbierając do pyszczka okoliczne gałązki. Gniazdo bączka było splecione z trzciny łodyg, natomiast budowane przez sianokułkę bardziej przypominało robotę trzciniaka. Było na tyle podobne, że można było dać się nabrać.

- Te fałszywe jaja mogły nawet należeć do tej sianokułki, ponieważ często budują one kilka gniazd w jednej okolicy.

Spojrzałam na Satoru i ujrzałam, że chowa fałszywki do plecaka. W gnieździe pozostało tylko jedno jajo.

- Co masz zamiar z nimi zrobić? – spytała Maria.
- To na wszelki wypadek. Gdyby nie udało nam się spotkać bombopsa ani złego minoshiro, będą mogły nam posłużyć jako temat do raportu. Imitacje jaj bączka żółtawego są dość rzadko spotykane.
- Ale czy nie zaszkodzimy sianokułce, jeśli je zabierzemy?
- I tak są fałszywe, więc nic nie powinno się stać, jeśli zostawimy tylko jedno. Dopóki gniazdo nie będzie puste, wszystko jest w porządku.

Teoria Satoru brzmiała w porządku, ale gdyby tak było w rzeczywistości, to czy sianokułkom nie wystarczałoby stworzenie

na początek tylko jednego jaja? W każdym razie, pomyślałam, że nie doceniliśmy w pełni przebiegłości tego węża o osobliwym pysku. Strategią przetrwania sianokulek był pasożytyzm lęgowy. Termin ten oznacza, że pasożytniczy rodzic składa jaja w gniazdach innych gatunków. Młode szybko się wykluwają i wypychają z gniazda potomstwo jego gospodarza. Jest to według mnie najokrutniejsza rzecz jaką robią zwierzęta, aby przeżyć. W Afryce żyje gatunek ptaka, zwany miodowodem; jego potomstwo wykluwa się z haczykami na dziobach, które służą im do zabijania piskląt ptaka-gospodarza.

Zgodnie z „Historią naturalną Nowych Wysp Japońskich”, przed tysiącem lat pasożytami lęgowymi były tylko niektóre gatunki kukulek. W dzisiejszych czasach jednak, w samej okolicy naszego miejsca zamieszkania, choć żyją też zwierzęta wychowujące swoje młode, to jednak dominuje strategia poszukiwania gniazd do podrzucenia jaj. Świat ptaków jest jedną, nieskończoną walką o przetrwanie.

Sianokulki budują swoje przekonywujące fałszywe gniazda i jaja, czekając aż jakiś ptak wpadnie w pułapkę. Co jakiś czas zagląдают do nich, sprawdzając, czy czeka tam na nie nowa ofiara.

Przypomniałam sobie model anatomiczny szkieletu sianokulki, który stał w naszej sali biologicznej. Ich przedogonowe kręgi są grubsze niż u innych węży i przypominają rząd trzonowców – dzięki temu sianokulki mogą miażdżyć jaja. Pozostałe po zgniecionym jaju fragmenty skorupki węże te wykorzystują jako materiał do tworzenia swoich fałszywek. Jaja, które same składają się za to, z powodu zawartości dużej ilości wapnia, bardzo twarde, podobnie jak ptasie. Stąd też młodym sianokulkom potrzebne są dzioby aby mogły się z nich wydostać.

Do tamtego dnia nie zdawałam sobie jednak sprawy, że wykorzystują one też czarcia dłoń jako broń przeciwko położom i węzom różańcowym. Możliwe, że usnęłam na lekcji, gdy nauczyciel o tym opowiadał.

Być może stwierdziłam to już po fakcie, ale zdaje mi się, że w tamtym momencie czułam się nieco niekomfortowo. To był rzeczywisty dowód istnienia opisywanej w książkach adaptacji i selekcji naturalnej. Poprzez ewolucję mogą powstać nawet takie rzeczy jak czarcia dłoń – a to wszystko w celu przetrwania.

Wszystkie te wątpliwości i obawy zostały jednak zdmuchnięte przez relaksujący wiaterek, gdy tylko ponownie wyruszyliśmy w górę rzeki Tone.

Gdy dzień zaczął zbliżać się ku końcowi, skierowaliśmy kajaki w kierunku brzegu i zeszliśmy na ląd. Na piasku wciąż można było dostrzec ślady, jakie pozostawiła po sobie grupka, która była tu przed nami.

Pierwszym zadaniem do wykonania było rozbicie namiotów. Wykopaliśmy dziury na tworzące szkielet konstrukcji tyczki i rozpięliśmy na nich płótno, przywiązując je za pomocą skórzanych rzemyków. To była zdumiewająco męcząca praca. Najłatwiejszym sposobem na wykonanie zadania okazała się metoda, która polegała na tym, że jedna osoba utrzymywała lewitujące w powietrzu tyczki i płachty materiału, podczas gdy ktoś inny ustawiał je w prawidłowej pozycji.

Następnie trzeba było przygotować coś do jedzenia. W łodziach mieliśmy ponad trzysta kilogramów zapasów, więc nie narzekaliśmy na brak prowiantu. Zebraliśmy trochę leżących w okolicy suchych gałązek i chrustu a następnie przy pomocy cantusu rozpaliliśmy ognisko. Później umieściliśmy w garnku oczyszczoną wodę, ryż, warzywa, mięso, tofu i inne składniki na ryżowy kleik. Jedynymi przyprawami, jakie mieliśmy były sól i miso, ale mimo tego wszyscy tak zgłodnieli, że cała zawartość naczynia została pochłonięta w mgnieniu oka. Podczas gdy jedliśmy, zaszło słońce.

Siedzieliśmy wokół ogniska, rozmawiając. Ta scena jest wciąż silnie wypalona w moich wspomnieniach. Po całym dniu pracy byłam zmęczona, a unoszący się z ogniska dym sprawił, że zaczęły mi łzawić oczy. Była to nasza pierwsza duża przygoda poza Świętą Barierą,

więc byliśmy bardziej pobudzeni niż zwykle. Gdy barwa nieba przeszła z jasnoblękitnej do granatowej, na naszych twarzach pojawiła się czerwona poświata, rzucona przez płomień ogniska.

Mówiąc szczerze, nie pamiętam pierwszej części naszej konwersacji. Jestem w stanie dokładnie sobie przypomnieć nasze codzienne rozmowy, jednak bardziej interesujące tematy, które omawialiśmy nocami wciąż mi umykają. Jest zupełnie tak, jakby i te wspomnienia zostały wymazane.

Tamtego dnia tym, co całkowicie pochłaniało moją uwagę, był siedzący po przeciwnej stronie ogniska chłopiec.

– Nigdy wcześniej tego nie widziałaś, prawda, Saki? – powiedział niespodziewanie Satoru.

Nie wiem właściwie o czym mówił i czego miałam niby wcześniej nie widzieć. W każdym razie, odpowiedziałam niezobowiązująco.

– Och, kto wie.

– Hę? Czyli jednak widziałaś?

Nie miałam innego wyboru, jak potrząsnąć głową.

– Widzisz, to niemożliwe – zapewnił Satoru.

Chciałam mu zaprzeczyć, ale skoro nie wiedziałam o czym w ogóle mówi, nie mogłam tego zrobić.

– Otóż tak! – Z jakiegoś powodu Satoru nagle strasznie się podekscytował. – Całkiem niedawno również ja i Shun zobaczyliśmy to po raz pierwszy, prawda?

Zobaczyłam przez płomień jak Shun przytakuje. Nie pamiętam kiedy ta dwójka tak bardzo zbliżyła się do siebie.

– To musi być coś ważnego, skoro jest tak dobrze chronione.

– Na to wygląda. W każdym razie, nie wydaje mi się by ktokolwiek z nas mógł to zobaczyć podczas nauki w Szkole Harmonii – powiedział Shun swoim spokojnym głosem, nieznacznie się uśmiechając. – Zaraz za drzwiami jest mur, więc nawet po ich otwarciu nie można zobaczyć wewnętrznego dziedzińca. Poza tym,

nauczyciele zawsze są bardzo uważni podczas otwierania i zamykania wrót.

Czy to miało znaczyć, że udało im się dostać na dziedziniec? Byłam zaskoczona ich odwagą. Wewnętrzny dziedziniec był kwadratem, otoczonym ze wszystkich stron budynkiem Akademii, podobnie jak ten w Szkole Harmonii. Uczniom nie zakazywano wprost wchodzenia tam, ale nie wychodziły na niego żadne okna i z reguły nikt i tak nie miał szczególnych chęci by wyjść na dziedziniec.

– Ale dwa razy zdarzyło mi się zobaczyć, jak Słoneczny Księciunio otwiera drzwi. Obraz tych wszystkich zamków wrył mi się w pamięć.

Jak mogą wyglądać zamki do drzwi za tysiąc lat? Trudno mi sobie to wyobrazić. Kiedyś były to po prostu kawałki metalu z nacięciami, ale w miarę upływu czasu stawały się coraz bardziej wyrafinowane, jak mechanizmy w zegarkach. W naszej epoce jednak bardzo niewiele miejsc trzeba zamykać na klucz, więc budowa zamków ponownie stała się bardzo prosta.

Po wewnętrznej stronie drzwi znajdował się tuzin niewielkich, promieniście ułożonych zamków. Nie dało się ich zobaczyć z zewnątrz, więc aby otworzyć drzwi trzeba było mieć obraz ich ułożenia, albo po prostu pamiętać ich rozmieszczenie a następnie odblokować je używając cantusu.

– A później stałem na czatach, podczas gdy Shun odblokowywał drzwi. Wślizgnęliśmy się do środka i zamknęliśmy wrota za sobą. Wstrzymując oddech, ruszyliśmy w kierunku drugiego muru. – Satoru przerwał w celu zwiększenia dramaturgii, rozglądając się po nas.

– I co tam było? – spytała Maria.

– Zgadnij – uśmiechnął się Satoru.

– Chyba nie powiesz, że znowu groby, podobnie jak w Szkole Harmonii? – zapytałam.

– Co? To tam były groby? – Mamoru, który nie znał tamtej historii, szeroko otworzył oczy ze zdumienia.

– Nie było. To tylko historia którą słyszałam.

– Przestań już próbować być taki tajemniczy. Co było na tym dziedzińcu?

– Właściwie to samo co widziałem w Szkole Harmonii – odpowiedział Shun. – Parę roślin, nie licząc których dziedziniec był zupełnie pusty. A na przeciwległym końcu stał rząd pięciu ceglanych magazynów z ciężkimi, drewnianymi drzwiami.

– Zajrzeliście do nich? – spytała Maria.

– Mieliśmy taki zamiar, ale zawróciliśmy – odparł Satoru.

– Czemu?

– Cokolwiek było w środku, straszliwie cuchnęło, więc nie mieliśmy ochoty ich otwierać.

Satoru zazwyczaj opowiadał kompletnie przerysowane historie, okraszone toną zbytecznych szczegółów, więc tak mglista opowieść z jego ust sprawiła tylko, że bardziej się zainteresowaliśmy.

– Co to był za smród?

– Naprawdę ostry zapach. Trochę jak amoniak.

– Więc masz na myśli, że to były tylko toalety?

Satoru nie odpowiedział na mój dowcip.

– Nie, nie wydaje mi się. Nie jestem pewien, ale myślę, że słyszałem też dochodzące z wnętrza głosy – powiedział Shun.

– Co to były za głosy? – spytałam, pomimo, że zaczynałam się coraz bardziej bać.

– Nie wiem, ale brzmiały mi na odgłosy zwierząt.

To musiała być opowieść, która miała nas przestraszyć. Pomimo, że to wiedziałam, i tak poczułam jak po plecach przechodzą mi ciarki. Przez resztę nocy nie poruszyliśmy już tego tematu.

Skoro następnego dnia musieliśmy wstać o świcie, powinniśmy już iść spać, lecz wszyscy mieli ochotę na jeszcze trochę przygód. Znienacka Mamoru zasugerował nocny spływ kajakami. Maria natychmiast przyklasnęła tej propozycji.

Na początku obawiałam się nieco wiosłowania po rzece jedynie w świetle gwiazd. To instynktowna obawa przed niemożnością zobaczenia najbliższego otoczenia.

Jeszcze gorzej byłoby jednak, gdybym została samotnie w obozie, więc zdecydowałam się dołączyć. Ciągnęliśmy słomki, by wybrać osobę która nie popłynie i będzie pilnować ogniska. Gdyby bowiem ogień zgasł, zagubilibyśmy się w ciemnościach.

Zapomniałam wspomnieć, że nazwaliśmy swoje kajaki. Mój i Satoru nosił imię Sakuramasu 2, Marii i Mamoru – Hakuren 4, a Shuna – Kamuruchi 7.¹ Oznaczyliśmy patyczki do losowania ostrym końcem żółędzia i wybraliśmy po jednym. Shunowi i mi przypadł Hakuren 4, a Maria z Mamoru mieli płynąć Sakuramasu 2. Pechowo dla Satoru, pozostała mu rola strażnika obozu.

– To jakiś kant – narzekał Satoru. Nigdy nie wiedział kiedy przestać. Zawsze twierdził, że ostatni los jest najszcześniejszy i tak to właśnie się skończyło. – Można było zobaczyć, który jest inny, gdy zajrzało się do puszki!

– Pewnie, ale nikt tam nie zaglądał – odparła ze spokojem Maria.

Tak naprawdę nie trzeba było nawet tego robić. Jeśli się skoncentrowało, dało się wyczuć, że nieoznaczony patyczek układa się trochę inaczej niż te oznaczone.

Gdy opuszczaliśmy obóz, Satoru siedział naburmuszony obok ogniska.

– Nie patrz na płomienie – powiedział Shun.

– Dlaczego?

– Nikt ci tego nie mówił? To pierwsza zasada spływów kajakowych. Musisz jak najszybciej przyzwyczać oczy do ciemności, bo inaczej nie będziesz w stanie niczego dostrzec.

Shun wsiadł pierwszy do łodzi i obrócił się, pomagając mi do niej wejść. Poczułam, jak moje serce dostaje skrzydeł i zapomniałam zupełnie o obawie przed zagubieniem się na ciemnej rzece.

¹ Nazwy pochodzą od ryb. Sakuramasu – gatunek łososia, hakuren – tołpyga, kamuruchi – Channa argus, słodkowodna ryba okoniokształtna z rodziny żmijogłowych.

Kajak w ciszy sunął przez mroki nocy.

To, że nie mogliśmy niczego dostrzec sprawiło, że obawialiśmy się używać mocy, więc pozostało nam chwilowo ręczne wiosłowanie.

Ciężko było cokolwiek zobaczyć, nawet gdy już mój wzrok przyzwyczał się do ciemności. W wodzie rzeki odbijały się jedynie migocące światła gwiazd, a wszystko wokół było zupełnie czarne. Jedynym słyszalnym dźwiękiem był cichy chłopot wody pod naszymi wiosłami

– Jest zupełnie, jakbym śniła – westchnęłam. – Płynąc w takich warunkach, ciężko ocenić prędkość.

– Łatwo to zrobisz, jeśli włożysz dłoń do wody – powiedział Shun zza moich pleców.

Odłożyłam wiosło i wsunęłam palce do wody, wyczuwając między nimi wartki prąd rzeki.

Z dużej odległości przed nami, usłyszałam niesiony echem śmiech Marii. Z powodu ciszy nocy albo dzięki stojącej w bezruchu wodzie, dźwięk niósł się znacznie dalej niż za dnia.

Shun przestał wiosłować i odłożył wiosło na dno łodzi.

– Co się stało? – spytałam.

– Gdy wiosłujesz, zawsze wzburzasz wodę, prawda...? – Wyglądało na to, że przygląda się powierzchni wody.

Odwróciłam się i ujrzałam światło ogniska. Przebyliśmy już duży dystans w dół rzeki.

– Racja, ale na rzece i tak zawsze będzie trochę fal.

Shun wyszeptał swoją mantrę.

– Gotowa? Zaraz wygładzę powierzchnię – powiedział.

Puls rozszedł się od naszej łodzi, usuwając wszystkie fale.

– Och, to jest niesamowite!

Wyglądało to zupełnie, jakby woda zamarzła. Każda niedoskonałość powierzchni została wygładzona, nadając jej wygląd wypolerowanego szkła, ogromnego lustra odbijającego wszystkie gwiazdy nocnego nieba.

– Przepiękne. To jakbym była w kosmosie.

Aż do śmierci będę pamiętać tamtą noc. Hakuren 4 nie płynął już po rzece. Sunął po Drodze Mlecznej.

Wiatr przyniósł ze sobą płynący z oddali głos. To był Satoru. Gdy się obejrzałam, ledwo byłam w stanie dostrzec ogień.

– Powinniśmy wracać? – spytał Shun.

Potrząsnęłam w ciszy głową. Chciałam pozostać tu jeszcze przez chwilę. Tu, wraz z Shunem, w tym idealnym świecie.

Nasz kajak dryfował przez rozgwieżdżone niebo. Odchyliłam się, podpierając się prawą dłońią i rozkoszując widokiem.

Po chwili poczułam dotyk dłoni Shuna, jego smukłe palce zetknęły się z moimi. Pragnęłam, by czas się zatrzymał. Tylko Shun i ja, połączeni w taki sposób na zawsze.

Nie wiem jak długo tak siedzieliśmy. Tym, co przywróciło mnie do rzeczywistości był dobiegający z bardzo daleka głos Satoru. Najwyraźniej zaczął panikować, ponieważ nikt z nas nie wracał.

– Wracajmy – powiedział Shun.

Tym razem przytaknęłam. Zostawienie Satoru samego na dłużej byłoby podłe. Obróciliśmy łódkę. Shun, wykorzystując cantus, pchał nas z powrotem w górę rzeki, a gwiazdy rozproszyły się w falach.

Gdy osiągnęliśmy zadowalającą prędkość, ogarnęło mnie uczucie niepokoju.

Jak szybko właściwie się poruszamy?

Rzeka i jej brzegi stopiły się w mrok, sprawiając, że stałam się zupełnie niezdolna do rozpoznania jakichkolwiek elementów otoczenia. W sytuacjach, gdy zawodzą zmysły, nawet posiadanie boskiej mocy pod postacią cantusu nie może rozwiązać niepokoju.

Wtedy właśnie przyszła mi do głowy pewna wątpliwość.

Czy gdybyśmy utracili któryś ze zmysłów, to moglibyśmy nadal korzystać z mocy?

I, dalej idąc tym tropem, rodzi się kolejne pytanie.

Dlaczego w całym dystrykcie nie ma nawet jednej osoby, która utraciłaby wzrok lub słuch?

Rozdział 6

Z „Historii naturalnej Nowych Wysp Japońskich” można dowiedzieć się, że wielu historyków, biologów i lingwistów przez lata głowiło się nad pochodzeniem nazwy „minoshiro”. Udało im się opracować kilka interesujących teorii.

Stara, powszechnie uznawana koncepcja mówi, że określenie to wzięło się od tego, że istoty te zdają się nosić płaszcze przeciwdeszczowe.¹ Książka nie tłumaczy jednak o jaki rodzaj płaszcza chodzi. Osobiście również nigdy się z nimi nie zetknęłam, więc nie mam pojęcia na ile trafne jest to wyjaśnienie.

Kolejna teoria również częściowo opiera się na wyglądzie sylwetki minoshiro, mającej sprawiać wrażenie przyodzianej w pelerynę, a częściowo na białym kolorze tych stworzeń, związanym z wierzeniami, że ich ciała są domem dla dusz zmarłych.² Innym prawdopodobnym źródłem ich nazwy jest fakt, że choć są zazwyczaj istotami lądowymi, to w celu złożenia jaj powracają do mórz.³ Później rozwinięto tę teorię, zauważając podobieństwo skupisk czerwonych i żółtych jaj minoshiro, składanych między wodorostami i koralowcami, do ornamentów zdobiących podwodny pałac Boskiego Smoka.⁴

Inne, nieoficjalne wyjaśnienie mówi, że nazwa minoshiro wzięła się od tego, że w obliczu zagrożenia ich ogony unoszą się i stają na sztorc, co przypomina shachihoko⁵, umieszczane w zamierzchłej przeszłości na zamkowych dachach. Określenie wzięło się od zamku w Mino, jednak późniejsze badania wykazały, że ornamenty te

¹ 蓑代衣 (minoshirogoromo) – „zamiennik słomianego płaszcza przeciwdeszczowego”.

² 蓑白 (minoshiro) – „słomiana peleryna/płaszcz przeciwdeszczowy” + „biał”; inny zapis: 霊の代 (minoshiro) – „zamiennik dusz”.

³ 海神社 (minoshiro) – prawdopodobnie oznacza „sanktuarium oceanu”.

⁴ Ryūjin (jap. 龍神 Boski smok) – władca mórz i oceanów w mitologii japońskiej. Mieszkał w znajdującym się na dnie morza Ryūgū-jō (jap. 龍宮城 Smoczy Pałac).

⁵ Shachihoko (鯨鯨 lub 鯨) – mityczne zwierzę z tygrysią głową i ciałem karpia. Według wierzeń, miały zdolność przywoływania deszczu, więc często przyozdabiano dachy zamków i świątyń ornamentami w ich kształcie, co miało chronić budynki przed pożarami.

znajdowały się w zamku Nagoya, leżącym w sąsiedniej prowincji Owari. Po tym odkryciu teoria ta straciła na znaczeniu.

Istnieje też wiele historii, sugerujących, że człon „-shiro” to skrócone imię Shirou. Ponieważ Shirou był wzrostu zaledwie nieco ponad metra, nazwano go Minoshirou („mino” oznacza trzy szerokości sukna standardowych rozmiarów, co daje około 108 centymetrów). Inna legenda mówi, że pewnego razu spotkał on przypominającego węża stwora z licznymi mackami, co również zaowocowało nadaniem mu przyzwiska Minoshirou¹. Wszystkie te opowieści są bardzo różnorodne i ciężko traktować je jako wiarygodny punkt odniesienia.

Pozostając przy kwestii Shirou, kolejna ze starych ludowych przypowieści mówi, że został on przeklęty przez białego węża i zamieniony w minoshiro. Reszta szczegółów tej historii zaginęła w mrokach dziejów, więc nie da się udowodnić jej autentyczności.

Osobiście twierdzę, że każda z wersji jest prawdopodobna. Etymologia określenia „minoshiro” jest przynajmniej znacznie prostsza do zrozumienia od pochodzenia nazwy ropuch, które w olbrzymich ilościach zamieszkują okolice góry Tsukuba. W książce jest napisane na ich temat, że „używają mocy do chwytania i pożerania insektów”. Któż mógłby dać wiarę stwierdzeniu, że ropuchy posiadają cantus?

Kolejną ze spowijających minoshiro tajemnic jest brak jakichkolwiek wzmianek o nich w większości starożytnych tekstów. Co prawda duża część dzieł sprzed ponad tysiąca lat jest zakazana, lecz w dostępnych tekstach i tak nie da się odszukać słowa „minoshiro”. To oznacza, że ich odkrycie nastąpiło w ciągu ostatnich kilku setek lat; nie do pomyślenia jednak jest, by w tak krótkim czasie mógł wyewoluować zupełnie nowy gatunek.

¹ Słowo „wąż” można zapisać jako 𪛗 (mi), więc Minoshirou oznaczać może „wężowy Shirou”. Prawdopodobnie wspomnianą wężową istotą jest Orochi – legendarny potwór z japońskiej mitologii o ośmiu głowach i ośmiu ogonach.

Tak właściwie, nie dotyczy to tylko minoshiro. W okresie dzielącym cywilizację sprzed tysiąca lat i dzień dzisiejszy, nastąpiło masowe wymieranie zwierząt. Wyginięcie wszystkich dawnych gatunków było czymś nietypowym, ale nie zupełnie niespodziewanym; tym, co zdumiewało, było nagłe pojawienie się minoshiro i setek innych stworzeń, zupełnie jakby zmaterializowały się one z powietrza.

Jedna z hipotez próbująca wyjaśnić to zjawisko zaczęła ostatnio zyskiwać na popularności. Mówi ona, że napędem dla ich ewolucji była zbiorowa podświadomość ludzkości.

Ta teoria wydaje się jednak zbyt daleko posunięta. Niedawno udało się ustalić, że minoshiro wywodzą się bezpośrednio od gatunku ślimaka morskiego, zwanego *indica nudibranch*, żyjącego w okolicach regionu Boso. Pomimo, że trudno sobie wyobrazić, jak trzydziestocentymetrowy ślimak morski może wyewoluować w coś tak dużego jak minoshiro, to spoglądając na ich przypominające przeciwdeszczową pelerynę, odstające skrzela, nie sposób nie przyznać, że istnieje definitywne podobieństwo. Ponieważ ślimak morski rzeczywiście jest przodkiem minoshiro i dzieli z nim nazwę¹, dostajemy dowody podpierające pierwsze dwie z wcześniej wspomnianych teorii. Myślę jednak, że wciąż potrzebne są dalsze badania tej kwestii.

Opisuję to wszystko po to, by dało się zrozumieć następną część mojej opowieści o letnim obozie. Kiedy dojdę do momentu spotkania fałszywego minoshiro, niezbędne będzie, by wiedzieć, jak wyglądały prawdziwe stworzenia tego gatunku.

Ponieważ minoshiro nie istniały przed tysiącem lat, możliwe jest, że nie będą istnieć również gdy minie kolejne tysiąclecie. Dlatego też, mimo mnogości literatury o tematyce minoshiro, chcę je opisać również tutaj.

Ich długość waha się od kilkudziesięciu centymetrów do jednego metra, najmniejsze są rozmiarów gąsienicy, podczas gdy duże

¹ W obu nazwach występuje kanji „mino”, oznaczające słomianą pelerynę przeciwdeszczową.

osobniki są długie jak stonoga. Na głowach posiadają duże macki w kształcie litery „Y”, zakończone dwiema mniejszymi parami czułków. Ich oczy są niewielkie i pokryte skórą, więc przypuszcza się, że są w stanie wykrywać jedynie zmiany natężenia światła. Minoshiro mają krótkie odnóża, przypominające te spotykane u stonóg czy gąsienic (ta cecha odróżnia je od ślimaków) i potrafią poruszać się z dosyć dużą szybkością. Ruch ich licznych kończyn przypomina maszerującą armię. Na ich grzbietach znajdują się kolorowe, półprzezroczyste, przypominające kolce wypustki o świecących zakończeniach.

Minoshiro są wszystkożerne i odżywiają się głównie mchem, porostami, grzybami, różnorodnymi owadami i nasionami. Są odporne na toksyny i potrafią oddzielać je od pokarmu oraz magazynować w ciele. Z tego powodu minoshiro pośrednio przyczyniają się do uzdatniania gleby. Ich ciała przyjmują także określone kolory, w zależności od ostatnio spożytego pokarmu. Najłatwiej jest zaobserwować to zjawisko, gdy zjedzą mech, który sprawia że przybierają żywozieloną barwę. Podobne zjawisko cechuje też ślimaki morskie, po tym jak najedzą się ukwiałów.

Kiedy minoshiro znajdzie się w zagrożeniu, stroszy kolce i grzechoce nimi, aby odstraszyć drapieżcę. Jeśli napastnik nie zaprzestanie ataku, zostaje ugodzony kolcami wypełnionymi zabójczą trucizną. Rzeczą wartą wzmianki jest, że minoshiro nigdy nie zachowują się w taki sposób w stosunku do ludzi.

W obrębie gatunku wyróżnia się olbrzymie minoshiro – rzadki rodzaj, charakteryzujący się dwumetrowym, pokrytym srebrzystą szczeciną ciałem, czerwone minoshiro o półprzezroczystych, czerwonych ciałach, błękitne minoshiro, których końcówki czułków są zabarwione na niebiesko, tęczowe minoshiro, odbijające światło niczym chrząszcze bogatki, o ciałach pokrytych miniaturowymi włoskami, podobnymi do łusek tworzących pył, znajdujący się na skrzydłach motyli oraz wiele innych podgatunków.

Wielkość i wyjątkowo nieprzyjemny smak minoshiro, powodowany przez nagromadzoną w ich organizmach truciznę sprawia, że praktycznie nie mają one naturalnych wrogów. Jedynymi polującymi na nie drapieżcami są kraby tygrysie, czające się na piaszczystych plażach. Większość z przypadków ataku krabów tygrysiich na minoshiro wydaje się mieć miejsce podczas ich corocznej wędrówki do morza w celu złożenia jaj.

Żeby wszystko było w pełni jasne, pozwolę sobie omówić pokrótce również kraby tygrysie. Są to brutalne, mięsożerne zwierzęta, wywodzące się od krabów portunikowatych, posiadające ostre pancerze o kształcie diamentu i szerokości od czterdziestu pięciu centymetrów do nawet metra i dwudziestu centymetrów. Mają piaskową barwę, dzięki której zlewają się z otoczeniem. Ich uzbrojenie stanowią duże szczypce, trzy kolce wystające z głowy oraz ząbkowane przednie krawędzie pancerzyka. Tylne odnóża tych zwierząt są przystosowane zarówno do pływania, jak i do zagrzebywania się w dnie. Tygrysie kraby są w stanie wyskoczyć z piasku nawet na dwa metry w górę, by pochwycić ofiarę. Są dość często spotykane w okolicy plaży Hasaki, ale można je znaleźć również na łąkach, w lasach i w górach. Jedzą praktycznie wszystko – od żab, jaszczurek, węży i małych ssaków, po morskie ptaki i wyrzucone na brzeg oceaniczne zwierzęta, jak delfiny czy walenie. Ich ciężkie skorupy są w zasadzie niemożliwe do przebicia, jednak podczas starcia dwóch krabów walka trwa aż do śmierci którejś ze stron, a zwycięzca często pożera rywala. Pomimo swojej brutalnej natury, nie są uznawane za zagrożenie dla człowieka.

Mówi się, że minoshiro mogą odrzucać części swojego ciała, by móc uciec krabom tygrysim. Potrafią też robić inne interesujące rzeczy, których nie miałam jeszcze okazji zobaczyć.

Jeśli chodzi o pierwszą z wspomnianych umiejętności, całkiem niespodziewanie miałam okazję ujrzeć jej wykorzystanie na własne oczy. Działo się to wczesnym latem, rok przed tym, jak ukończyliśmy Szkołę Harmonii.

– Saki, spójrz, tam! – zawołała cicho Maria.

– Co to jest?

Siedziałyśmy na niewielkiej, otoczonej przez zarośla polanie, z której rozpościerał się widok na plażę. Często chodziłyśmy tam w dwójkę po lekcjach, jeżeli dopisywała pogoda.

– Krab tygrysi schwytał minoshiro...

Wychyliłam głowę z krzaków i zaciągnęłam się słonym nadmorskim powietrzem. Plaża była zupełnie pusta. Gdy spojrzałam w kierunku, który wskazywała Maria, zobaczyłam samotnego minoshiro, leżącego na piasku około dwudziestu lub trzydziestu metrów od oceanu. Wydawało się, że chce iść w kierunku wody, ale nie może tego zrobić, ponieważ wił się w miejscu, jakby był przygwożdżony do podłoża.

Gdy przyjrzałam się dokładniej, zauważyłam ciemnozielone szczypce, trzymające w uścisku jego nogi.

– Musimy mu pomóc! – Wyrwałam się, ale Maria przytrzymała mnie w miejscu.

– Co ty wyprawiasz, głuptasie?! Co, jak ktoś cię zobaczy?

– Nikogo tu nie ma.

– Nigdy nie wiadomo, kiedy ktoś może się zjawić. W tym miejscu chłopcy zawsze łowią ryby.

Rzeczywiście, bieganie nago po plaży definitywnie nie było czymś normalnym; szybko więc wrzuciłyśmy na siebie ubrania i popędziłyśmy w dół zbocza. Gdy dotarłyśmy do celu, wyraźnie dało się ujrzyć ciało tygrysięgo kraba o kamuflujących barwach. W jednej parze szczypiec trzymał on odnóża minoshiro, a w drugiej – jego kolczaste wypustki. Wyglądał, jakby zastanawiał się, od czego powinien rozpocząć konsumpcję swojej ofiary.

Zawahałam się. Pomimo, że to był tylko krab, słyszałam, że zdarzało się, że kraby tygrysie atakowały i zabijały nawet dorosłe niedźwiedzie. Mówiono, że nie atakują ludzi, lecz byłyśmy tylko dwójką dzieci, nieposiadających jeszcze dostępu do cantusu, więc i tak nie mogłybyśmy nic zrobić.

W tamtym momencie zapragnęłam, by zjawił się ktoś do pomocy. *Na niebiosa, jeśli nie Shun, to chociaż niech to będzie Satoru...*

– I co teraz? Może powinniśmy spróbować obrzucić go piaskiem?

Byłam na skraju załamania nerwowego, ale Maria chłodno oceniła sytuację.

– Poczekaj. Jest w porządku, zaczął stawiać opór.

Minoshiro zaczął gładzić szczypcę kraba swoimi czułkami, tak, jakby chciał go uspokoić. Tygrysi krab powoli przestał się ruszać, a z jego ust wydobyła się piana i bąbelki.

Nagle z pleców minoshiro wystrzeliły trzy kolejne macki, które zaczęły falować, jakby gestykulując coś do kraba. Czułki oddzieliły się od ciała minoshiro i upadły na piasek, nie przestając się wić.

Krab pozostał w bezruchu, cały czas uczepony minoshiro i plujący pianą.

Wciąż zwijając się z bólu, minoshiro uniósł dwa kolejne czułki, pomachał nimi dziko przed oczami kraba i pozwolił im opaść na ziemię

Teraz w piasku leżało już pięć macek. Tygrysi krab nadal nie reagował, a minoshiro zamarł w bezruchu.

Po około połowie minuty ponownie zaczął się ruszać, lecz tym razem znacznie agresywniej. Tymi ze swoich kolców, które nie pozostawały w ucisku kraba, zaczął okładać pancierz napastnika. Jeden cios, drugi, trzeci. Za czwartym razem uniósł tylko jeden, nasączony toksyną kolec, naprężył go, wkładając w to całą swoją siłę, a następnie odrzucił go. Odpadając, wbił się on w szczypcę tygrysięgo kraba.

Skorupiak rozluźnił chwyt. Minoshiro zdołał się oswobodzić i najkrótszą drogą pognał w kierunku wody. Ignorując niedoszlą ofiarę, krab tygrysi podniósł dwie z leżących na piasku macek i zaczął je jeść.

– Cóż, wygląda na to, że mu się udało – powiedziała Maria.

Uśmiechała się, ale wyglądało to bardziej na wymuszony grymas. Maria niezbyt przepadała za zwierzętami i najprawdopodobniej los minoshiro był jej zupełnie obojętny; ze względu na mnie udawała jednak, że jest inaczej.

– Ale stracił sześć czułków, biedactwo.

– To jednak niezbyt wygórowana cena za życie, prawda? W przeciwnym wypadku zostałyby zjedzone.

Kiedy minoshiro nie jest w stanie uciec krabowi tygrysiemu, odrzuca swoje czułki jako przynętę, w nadziei, że zostanie wypuszczony przez chcącego je zjeść napastnika. To interesujące zjawisko karty przetargowej, które tu występuje, nie jest spotykane u innych zwierząt. Ilość czułków, którą minoshiro będzie skłonny odrzucić jest funkcją jego sprawności fizycznej i poziomu głodu kraba.

Jeżeli te specyficzne negocjacje się nie powiodą, minoshiro zaczyna atakować swoimi kolcami. Krab swoją siłą może pokonać minoshiro; jeżeli jednak kolec odnajdzie lukę w pancerzu i wśliznie się w nią, istnieje duża szansa, że napastnik zginie.

Tak racjonalne zachowanie jest zaskakujące, gdy mówimy o dwóch niezbyt inteligentnych gatunkach. Prawdopodobnie jednak wypuszczanie minoshiro po tym, jak odrzucą macki jest dla krabów tygrysiach po prostu zdrowym rozsądkiem.

Powróćmy do letniego obozu.

Następnego poranka przystąpiliśmy do przyrządzania śniadania; zrobiliśmy też trochę przeznaczonych na obiad ryżowych kulek, które włożyliśmy do menażek. Następnie zwinęliśmy namioty, zasypaliśmy dziury po tyczkach, zatarliśmy ślady po ognisku, wrzuciliśmy wszystko z powrotem na łódzie i wyruszyliśmy.

Płynęliśmy rzeką wśród oparów porannej mgły, używając zarówno wiosł, jak i cantusu. Z lewej strony często mogliśmy usłyszeć śpiew ptaków – wysoki, przeciągany trel trznadli łąkowych.

Od chwili gdy tylko wstaliśmy, niebo zasnuwały chmury, co było dość przygnębiające, jednak kilka wdechów porannego, rześkiego powietrza szybko przegoniło resztki mojego zmęczenia.

Ten odcinek rzeki był znacznie szerszy od tego, którym płynęliśmy wczoraj. Prawy brzeg był zaledwie konturem w oddali, często zupełnie zakrytym przez mgłę.

Sięgnęłam pamięcią do lekcji geografii w Szkole Harmonii, podczas których uczyliśmy się o przejściu rzeki Tone w wąską zatokę – Jezioro Kasumigaura.

Dwa tysiące lat temu, Jezioro Kasumigaura było ogromnym śródlądowym zbiornikiem, zwanym Morzem Katori, łączącym to, co dziś jest rzeką Tone z oceanem. W tamtych czasach ujście Tone znajdowało się znacznie dalej na zachód, w Zatoce Tokijskiej¹.

Żeby zapobiec częstemu wylewaniu Tone, a także by zwiększyć obszar dostępnej pod uprawy ziemi, Ieyasu Tokugawa zdecydował zmienić bieg rzeki. Po setkach lat ujście rzeki zostało przemieszczone aż do Inunousaki. Wybrany piasek wykorzystano do częściowego zasypania Morza Katori, by zmniejszyć jego powierzchnię, tworząc tym samym Jezioro Kasumigaura. Gdy przeczytałam o tym wielkim projekcie, jaki Ieyasu Tokugawa był w stanie wcielić w życie, zainteresowałam się jego postacią. Niestety, w książkach do historii i geografii, oprócz tej krótkiej wzmianki, nie znalazłam na jego temat nic więcej.

W przeciągu ostatniego tysiąclecia, Rzeka Tone i Jezioro Kasumigaura przybrały obecną postać. Po pierwsze, większość z płynących w stronę Tokio odnóg ponownie połączono z głównym nurtem Tone. Rozumie się samo przez się, że ziemie jałowe, takie jak Tokio nie potrzebują dostępu do wody. Z tego powodu poziom wody w Tone podwyższony się, a w celu zapobiegnięcia powodzi wykopano kanał łączący rzekę z Jeziorem Kasumigaura. Z tego powodu jego obszar powiększył się, osiągając rozmiary zbliżone do pierwotnych.

¹ Pierwotny układ rzek: http://en.wikipedia.org/wiki/File:Tone_riverine_system_16century.png
Zmieniony układ rzek: http://en.wikipedia.org/wiki/File:Tone_riverine_system_20century.png

Pod względem powierzchni zbiornik prześcignął Jezioro Biwa i jest obecnie największym jeziorem Japonii.

Jako że w dzisiejszych czasach dolny bieg Tone przecina środkiem Kamisu 66, zbudowaliśmy liczne kanały służące jako wodne ciągi komunikacyjne. Dlatego też pierwsza wyprawa w górę właściwej rzeki była dla nas dość ekscytująca.

– Hej, płynmy trochę szybciej – powiedział Satoru.

– Czemu? Nie chcesz się tu trochę porozglądać? – spytałam.

– Podaruję sobie. I tak w tej okolicy nie ma żadnych zwierząt.

– Ale jesteśmy już prawie w miejscu, w którym powinniśmy rozbić obóz na dzisiejszą noc, prawda? – przypomniał nieśmiało Mamoru.

– O czym ty mówisz? Zapomniałeś już o prawdziwym celu tej wyprawy? Mamy szukać złych minoshiro i bombopsów, nie? Dalej, pokonajmy tą zatokę i schodźmy na ląd.

– Umm... Słoneczny Księciunio mówił, że nie wolno nam płynąć na najdalszy koniec jeziora. Jeśli tam wysiądziemy...

Tym razem wyglądało na to, że nawet Maria się waha.

– Będzie w porządku. Tylko rozejrzemy się szybko po okolicy i wracamy – odparł Satoru z nonszalancją, wiosłując naprzód.

– Co powinniśmy zrobić? – spytałam Shuna, wyglądającego na głęboko pogrążonego w myślach. Nie spodziewałam się odpowiedzi, którą usłyszałam.

– Byłoby nieciekawie, gdyby się o tym dowiedziano. Myślę jednak, że w przyszłości możemy nie mieć kolejnej okazji by odwiedzić to miejsce, więc chcę pójść się rozejrzeć.

Te słowa przesądziły o naszej decyzji. Satoru wyszedł z przebiegłą propozycją, byśmy udali się do miejsca planowanego postoju i podłożyli fałszywe ślady, żeby wyglądało to tak, jakbyśmy rzeczywiście spędzili tam noc.

– W ten sposób, gdy pojawi się tu następna grupa, pomyślą, że rzeczywiście tu byliśmy, racja? – Satoru brzmiał na zadowolonego

z siebie. Nigdy nie widziałam, by był choć w połowie tak szczęśliwy po zrobieniu czegoś rzeczywiście godnego pochwały.

Ponownie przecięliśmy jezioro, przekraczając bezpieczną prędkość. Niewielka rybitwa przeleciała nad naszymi głowami, wyzywając nas do wyścigu, lecz Sakuramasu 2 dogonił ją w kilka sekund. Ptak zakreślił krąg i odleciał, znikając nam z pola widzenia.

Przeciągnęłam się, pozwalając by owiewał mnie wietrzyk. Już wcześniej zdjęłam kapelusz, nie chcąc by został zdmuchnięty, i pozwoliłam swobodnie powiewać włosom. Moje ponczo trzepotało i szeleściło na wietrze. Sceneria nie była męcząca, pomimo, że nie widziałam wokół nic prócz wody. Wyglądające zza chmur słońce odbijało się olśniewającym blaskiem w krystalicznie czystej wodzie, a rozpryskujące się pod łódką krople tworzyły w powietrzu miniaturowe tęcze. Tak bardzo zapatrzyłam się w ten widok, że dopiero po dłuższej chwili uświadomiłam sobie, że coś dzieje się z moim wzrokiem. Obraz zaczął mienić się wieloma kolorami, a w kącikach oczu pojawił się świetlny powidok.

Gdy się odwróciłam, zobaczyłam Satoru, intensywnie wpatrującego się w taflę jeziora. Próbując coś poruszyć, jak na przykład kajak czy wodę, najpierw trzeba skoncentrować się nad obszarem przed łodzią i spróbować zredukować odległość. Żeby móc płynąć po osiągnięciu dużej prędkości konieczne jest wyobrażenie sobie, że odpycha się wodę i ślizga po jej powierzchni.

Obydwa sposoby wymagają dużej koncentracji i stają się męczące po pewnym czasie. Doliczając do tego fakt, że kajak cały czas się porusza, a wzrok utkwiony jest cały czas w jednym miejscu, łatwo jest nabawić się choroby morskiej.

Satoru dostrzegł, że się na niego patrzę i odetchnął z ulgą.

– Przeplłynęliśmy już kawał drogi, może chciałabyś się ze mną zamienić? – spytał.

– Chyba nie dam rady – odparłam, kiwając powoli głową.

– Co to ma niby znaczyć? – w odpowiedzi Satoru dało się wyczuć lekką złość.

– Coś dziwnego stało mi się z oczami, chyba zbyt długo patrzyłam na odbijające się słońce – wyjaśniłam.

Satoru spojrział na mnie z niedowierzaniem.

– Cóż, nic chyba na to się nie poradzi. Będę musiał wiosłować przez resztę drogi – powiedział.

Przeprosiłam go i wtedy nagle przypomniało mi się, że w plecaku mam parę okularów przeciwsłonecznych. Wyjęłam je i założyłam na nos. To był prezent od ojca, wykonany na jego specjalne zamówienie przez rzemieślnika. Były zrobione z wysokiej klasy szkła z dodatkiem specjalnej mieszanki barwników z marzany barwierskiej i persymony, które skutecznie blokowało promienie słońca. Powinnam była założyć je już na samym początku wyprawy.

Gdy tylko wsunęłam je na nos, wszystko stało się o odcień ciemniejsze, ale przynajmniej oczy przestały mnie boleć.

W przypadku wystąpienia jakichkolwiek kłopotów ze wzrokiem, używanie cantusu było nam zabronione. Ktoś tak wprawny jak Shisei Kaburagi mógł korzystać z mocy w kompletnych ciemnościach; początkujący, tacy jak my, musieli widzieć to, co robią aby wykreować w umyśle prawidłowy obraz.

Przepełnęliśmy Jezioro Kasumigaura w godzinę. Gdy przemierzaliśmy jego najgłębszą część, wśród gęstwiny trzciny coś donośnie zapluskało, a w wodzie przemknął ogromny cień, od razu znikając. Cokolwiek to było, wydawało się mieć kształt diamentu, więc najprawdopodobniej widzieliśmy kraba tygrysięgo. Skoro w pobliżu nie było morskiego wybrzeża, to, jak sobie uświadomiłam, tygrysie kraby musiały być znacznie lepszymi pływakami niż przypuszczałam.

Spoza trzciny wyłaniał się głęboki las i płynąca przez niego rzeka o zielonkawym kolorze wody. Przed wypłynięciem poszukaliśmy paru informacji i dowiedzieliśmy się, że nosi ona nazwę Sakura. Góra Tsukuba powinna być tuż na wprost nas, lecz skrywały ją wysokie drzewa.

Kawałek dalej, rzeka dzieliła się na dwa odgałęzienia. Nie byliśmy pewni, która drogę wybrać, więc zdecydowaliśmy się na lewą odnogę, ponieważ jej nurt był zwawszy. Po przebyciu około kilometra dojrzeliliśmy znajdującą się na wprost Górę Tsukuba. Rzeka Sakura kierowała się ku północy z zachodniej strony góry. Gdybyśmy się jej trzymali, zbyt mocno oddalilibyśmy się od szczytu; przybiliśmy więc w tym miejscu do brzegu.

– Tak! Udało się nam! – wykrzyczał Shun, wychodząc jako pierwszy na ląd.

Podążałam w jego ślady, a za mną poszli Maria, Mamoru i wreszcie ostatni Satoru, wyglądający na wyczerpanego samotnym wiosłowaniem przez całą drogę. Szybko pobiegł w krzaki, a po chwili usłyszeliśmy, że wymiotuje. Poczulałam w piersi ukłucie winy.

Ukryliśmy kajaki wśród trzciny. Oddaliliśmy się na taką odległość, że było mało prawdopodobne, że ktoś nas zauważy, jednak zrobiliśmy to dmuchając na zimne. Aby nie pozwolić, by łódki same odpłynęły, zakotwiczyliśmy je głęboko w mule.

– I co teraz? Niedługo pora obiadu – zauważył Mamoru, rozglądając się po nas z nadzieją.

– Wejdźmy najpierw na szczyt i rozejrzyjmy się stamtąd. Weźcie ze sobą tylko lekkie rzeczy, obiad możemy zjeść, gdy dotrzemy na miejsce.

Ponieważ Satoru wciąż był oszołomiony, Shun zaproponował siebie na przewodnika. Zazwyczaj narzekaliśmy, gdy dowodził Satoru, natomiast za Shunem wszyscy podążaliśmy z chęcią. Zarzuciliśmy plecaki na ramiona i rozpoczęliśmy wędrówkę na górę.

Wspinaczka po bezdrożach okazała się trudniejsza niż się spodziewaliśmy. Ten, kto szedł z przodu musiał bez ustanku wykorzystywać cantus do usuwania z drogi bluszczu i zarośli. Zajęcie to było jednak tak męczące, że co pięć minut musieliśmy się zmieniać.

Na domiar złego, w okolicy roilo się od oszałamiającej wręcz liczby leśnych komarów, meszek i innych owadów-krwiopijców. Te insekty nie mogły przekraczać Świętej Bariery, co było powodem, dla

którego było ich tutaj aż tyle. Mimo tego, że nie przestawaliśmy ich zabijać, wciąż nadlatywały kolejne. Musieliśmy nieprzerwanie używać mocy, co zużywało dużo energii, a ponieważ moje okulary utrudniały zobaczenie najmniejszych owadów, byłam zmęczona jeszcze bardziej.

Dlatego też, gdy nagle naszym oczom ukazał się dziwny, opuszczony budynek, wszyscy oniemieliśmy.

– Co to takiego? – spytała Maria.

Jej głos brzmiał nieswojo i był ku temu powód. Budowla dorównywała rozmiarami sali zgromadzeń z Kamisu i była pokryta tak gęstą warstwą bluszczu i porostów, że wyglądała niczym uśpione monstrum wyrosłe z samego lasu.

– To prawdopodobnie świątynia Góry Tsukuba... – powiedział Satoru, zerkając na starą mapę, którą ze sobą zabrał.

Zdawało się, że po powrocie na stały ląd Satoru w mniejszym lub większym stopniu odzyskał energię, chociaż było widać, że jeszcze nie doszedł w pełni do siebie.

– Świątynia? – zapytałam, hamując z trudem pisk, ponieważ wdepnęłam właśnie na ropuchę. To były paskudne stworzenia, kręcące się po całej górze.

– Ma przynajmniej dwa lub trzy tysiące lat. Ten budynek prawdopodobnie już tysiąc lat temu był uważany za potwornie stary – dodał Shun.

– Zjemy tutaj? – spytał Mamoru.

Wszyscy bez wątpienia byli głodni, ale perspektywa obiadu w tym miejscu nie była zachwycająca.

Miałam właśnie zaprotestować, gdy z lewej strony dobiegł mrozący krew w żyłach wrzask. Pomyślałam, że najpewniej ktoś jeszcze rozdeptał ropuchę, lecz gdy się obejrzałam, zobaczyłam nieruchomego niczym głaz Satoru. Shun także zerwał się z miejsca, lecz po chwili i on zastygł w bezruchu.

– Co się dzieje? – spytałam. Wtedy uświadomiłam sobie, że wszyscy czworo znieruchomieli jak posągi. Gdy obejrzałam się

w kierunku, w którym patrzyli i zobaczyłam to co oni, nie mogłam powstrzymać krzyku.

Patrzyłam wprost na dziwaczną kreaturę, jakiej nigdy wcześniej nie widziałam.

Szybko przyszedł mi namysł dwie nazwy – zły minoshiro i fałszywy minoshiro. To coś na pierwszy rzut oka definitywnie wykazywało podobieństwo do minoshiro, ale gdy się dobrze przyjrzałam, okazało się zupełnie odmienne. Stwór miał jakieś pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt centymetrów długości, gumowatą skórę, która bez przerwy kurczyła się i rozszerzała, sprawiając, że części jego ciała bezładnie nadymały się i zapadały. Na plecach miał kępki półprzezroczystych kolców, przypominających jeża morskiego, z których każdy mienił się innym kolorem tęczy. Nieprzerwanie zmieniające się barwy nakładały się na siebie i mieszały ze sobą, tworząc w powietrzu połyskliwe wzory. Nawet patrząc przez okulary przeciwsłoneczne, czułam jak te piękne światła wprowadzają mnie w stan otępienia.

Fałszywy minoshiro powoli oddalił się w kierunku świątyni, pozostawiając za sobą świetlisty ślad.

Mój własny wrzask sprawił, że coś jakby ocknęło się w moim umyśle. Odwróciłam się do Shuna i Satoru i zaczęłam do nich krzyczeć.

– Szybciej... Satoru! Shun! Złapcie go, ucieka!

Żaden z nich jednak nawet nie drgnął; po prostu patrzyli na fałszywego minoshiro.

Miałam już zamiar wykorzystać cantus, ale się zawahałam. Jak mówiłam wcześniej, bardzo niebezpieczne było używanie mocy przez różne osoby na tym samym przedmiocie. Jeżeli ktoś wcześniej zdążył wybrać cel i skupić się na nim, lepiej dla pozostałych było powstrzymać się od korzystania z cantusu, bez względu na okoliczności.

Zarówno wzrok Shuna, jak i Satoru utkwiony był w fałszywym minoshiro. Zazwyczaj coś takiego oznaczało, że korzystają z mocy, ale pomimo tego pozostawali przykuci do ziemi.

Mimo, że naprawdę upłynęło zaledwie kilka sekund, miałam wrażenia, jakby to była cała wieczność. Fałszywy minoshiro wpełznął spokojnie w wysoką trawę, znikając pod głównym gmachem świątyni.

Nie mogłam zrozumieć, dlaczego cała czwórka moich przyjaciół nadal nie może się ruszyć i nie miałam pojęcia, co zrobić. Właściwie to nie wiedziałam nawet, co dokładnie sprawiło, że znaleźli się w takim stanie. Chciałam potrząsnąć ich za ramiona, by ich obudzić, ale powstrzymała mnie irracjonalna obawa, że jeżeli to zrobię, to padną martwi na ziemię.

Co zadziwiające, pierwszą osobą, która wybudziła się z letargu okazał się Mamoru.

– Jestem głodny... – powiedział cichym głosem, rozglądając się wkoło.

– Ee... Co się właśnie stało?

Maria, Satoru i Shun odzyskali zmysły i przewrócili się na ziemię. Satoru wyglądał na naprawdę chorego, a Shun przecierał oczy.

– Czy my umarliśmy?

Jak na ironię, pytanie Marii było tym, co ostatecznie nas wszystkich dobudziło.

– Tamta historia była najprawdopodobniej zmyślona, nie przejmuj się nią – zajęczał Satoru.

Zabrzmiało to tak, jakby przede wszystkim miał zamiar udawać, że to nie on był osobą, która nagadała nam tamtych bzdur.

– Abstrahując od tego, co takiego się stało, że nie mogłem się poruszyć?

– Ja też nie. Ale czemu? Satoru? – Maria nerwowo przycisnęła ramiona do ciała.

– Nie wiem. Gdy tylko zobaczyłem światła, poczułem zupełną pustkę w głowie i nie mogłem się skupić, nieważne jak usilnie próbowałem.

– Ach! – wykrzyknęłam. – To zupełnie tak, jak wtedy, racja? Tak jak wtedy gdy byliśmy w Świątyni Czystości, patrząc w płonący na ołtarzu ogień...

– Rozumiem – powiedział Shun, podnosząc się z ziemi. – W takim razie to ma sens. Zostaliśmy zahipnotyzowani.

– Co to znaczy?

– To starożytna technika kontrolowania ludzi. Poprzez sugestię można sprawić że ktoś zaśnie, powie prawdę lub wykona dowolne polecenie.

Nie miałam pojęcia, gdzie Shun mógł dowiedzieć się czegoś takiego.

– Ale Saki nic się nie stało, krzyczała do nas, żebyśmy go złapali i w ogóle. Może taka z niej ciemna masa, że jest na to odporna?

– Nie, nie jestem – odwarknęłam. – To dzięki temu, że miałam okulary przeciwsłoneczne.

Spośród nas wszystkich to definitywnie Mamoru był najmniej bystry; powstrzymałam się jednak przed powiedzeniem tego na głos.

– Hipnoza wykorzystuje mrugające czerwone i niebieskie światła. Czerwone szkła okularów prawdopodobnie osłabiły jej efekt. Pokaż mi je na chwilę.

Kiedy byłam zajęta zastanawianiem się, gdzie, u diabła, udało mu się dowiedzieć tych wszystkich rzeczy, wziął moje okulary, założył je i spojrzał na niebo.

– Ale skoro tylko Saki może korzystać z cantusu, trudno będzie nam schwytać to coś. Najwyraźniej lubi chować się w ciasnych szczelinach.

– Na to wygląda. Hej, czy nie powinniśmy już wracać? – spytała Maria z osobliwym rozdrażnieniem.

– Czemu nie wrócimy do kajaków i nie zjemy obiadu? – jęknął Mamoru. Nie byłam pewna czy jak zwykle się boi, czy po prostu jest głodny.

Nagle do głowy przyszedł mi pewien pomysł.

– No dobra! Możemy go złapać!

Cała czwórka spojrzała z zaniepokojeniem, ale gdy tylko wyjaśniłam im swój plan, wszystkie obawy zostały wyparte przez nadzieję i ekscytację. Nie mogłam zaprzeczyć, że było to dla mnie impulsem do działania.

Wtedy nie wiedzieliśmy jeszcze, jak wielkie następstwa przyniesie ze sobą schwytanie fałszywego minoshiro.

– Super, jest świetnie. Mamy tu wielki okaz – powiedział z satysfakcją Satoru, który zdążył już trochę dojść do siebie.

– Te typki wyglądają na całkiem smacznych. – Po tym, jak Mamoru zjadł obiad, również w jego głosie dało się usłyszeć znacznie więcej energii.

– Jesteś chyba jedyną osobą na świecie, która uważa, że one wyglądają apetycznie. – Shun wyglądał na lekko przerażonego.

Ja czułam się podobnie. Tuż przed nami, dwa metry nad ziemią lewitowały trzy kraby tygrysie. Wbrew naszym oczekiwaniom zwiślały spokojnie, potulnie wypuszczając z ust bąbelki i wcale nie próbowały uciekać. Wszystkie trzy były cętkowane, zielono-brunatne, a ubarwienie największego z nich przypominało jakąś mapę. Osobnik średniej wielkości miał na pancerzu cienkie paski, przypominające korzenie roślin, natomiast najmniejszy był upstrzony zielonkawymi plamkami, przypominającymi porosty.

Satoru, wykorzystując swój cantus, odwrócił największego z nich do góry nogami i spojrzał na jego podbrzusze. Krab nagle szarpnął się, gdy jego średniej wielkości towarzysz przeleciał mu przez pole widzenia. Wyglądało to jakby płynął w powietrzu, groźnie zaciskając szczypce.

– Ho ho. Co mu nie pasuje? – powiedział Satoru. Uśmiechnął się nerwowo, próbując zamaskować fakt, że właśnie z trudem powstrzymał się, by nie uciec w popłochu.

Związaliśmy kraby kilkoma pnączami winobluszczu. Trudno było to zrobić w taki sposób, by mogły poruszać się w miarę swobodnie, pozostając jednak przez cały czas pod naszą kontrolą.

Maria próbowała obwiązać końcówki pnączy wokół wystających z ich skorup kolców, tworząc uprząże, ale kraby okazały się sprytniejsze, niż przypuszczaliśmy. Cały czas próbowały szczypcami rozluźniać węzły i zrzucić z siebie pnącza. Ostatecznie musieliśmy przewlec je przez bambusowe pnie, żeby uniemożliwić krabom ich przecięcie.

Pomimo, że musieliśmy włożyć w to więcej wysiłku niż zakładaliśmy, byliśmy zadowoleni z uzyskanego efektu. Widok trzech smyczy, na końcu których uwiązane były kraby tygrysie przywiódł mi na myśl starożytną metodę połowu ryb z wykorzystaniem kormoranów. Ruszyliśmy na poszukiwanie fałszywego minoshiro, cały czas uważając na kraby i pilnując, by nie zbliżyły się zbyt mocno do siebie.

Spodziewaliśmy się, że związanie i prowadzenie na uwięzi nie przypadnie krabom do gustu, ale byliśmy w błędzie. Nawet, jeśli były niezadowolone, to nie dało się tego wywnioskować, gdyż wszystkim, czym się zajmowały, było jedzenie. Wszystko, co było żywe i miało nieszczęście znaleźć się w zasięgu ich szczypiec było rozszarpywane i pożerane.

Na początku obawialiśmy się, że gdy kraby nasycą już swój głód, zaprzestaną poszukiwać jedzenia. Zamiast tego jednak szły wciąż naprzód, rozczłonkowując napotkane ofiary ostrymi kleszczami. Widok wijących się w agonii węży i ropuch wydawał się trochę je zniechęcać, ale po chwili kontynuowały marsz.

Ta metoda poszukiwań nie była zbyt przyjemna; gdyby nie przyniosła oczekiwanego efektu, wszyscy z pewnością byliby na mnie źli. Na szczęście jednak nie minęło więcej jak pół godziny, gdy prowadzony przez Marię krab trafił w dziesiątkę.

– Wygląda na to, że znowu coś złapał – powiedziała Maria, zaglądając pod kapliczkę i krzywiąc się. – Tym razem to chyba coś dużego...

Wszyscy wzdrygnęliśmy się, słysząc te słowa. Krab pożerający jakiegoś większego ssaka z pewnością nie był widokiem, który chcielibyśmy ujrzeć.

– Wyciągnij go i sprawdź – powiedział Satoru, obracając się.

– Pomóż mi.

– Sama możesz to zrobić, nie? Po prostu wykorzystaj cantus do pociągnięcia za liny.

– Ale to jest takie odrażające. – Maria spojrzała na nas błagalnym wzrokiem.

Muszę się przyznać, że zignorowałam prośbę najlepszej przyjaciółki, udając, że jestem zajęta własnym krabem tygrysim. Wciąż było mi trochę niedobrze po tym, jak przed chwilą zobaczyłam kraba Satoru wypruwającego wnętrzności swojej ofierze.

– W takim razie ja to zrobię – niespodziewanie zgłosił się Mamoru.

Podczas gdy w dwójkę zaczęli wyciągać kraba, pozostali z nas odsunęli się, spodziewając się jakiegoś nieprzyjemnego widoku.

– Patrzcie, ma go – powiedział Shun. Słyszając to, wszyscy spojrzeliśmy na kraba.

– Fałszywy minoshiro! – wykrzyknęła Maria.

Zdażyłam założyć okulary w samą porę. Krab tygrysi wyłonił się, trzymając sztywno zdobycz w obu parach szczypiec. Nie ulegało wątpliwości, że był to ten sam osobnik, który wcześniej nam uciekł. Pomimo, że krab ścisnął go tak kurczowo, że wydawało się, że zaraz przetnie go na pół, fałszywy minoshiro z całych sił próbował się wyrwać. Gdy nas zobaczył, wszystkie kolce na jego plecach wystrzeliły w górę, a ich końcówki zaczęły świecić.

– Shun! Satoru! Szybko, łapcie go! – krzyknęłam, uświadamiając sobie w tej samej chwili, że znaleźliśmy się w takiej samej sytuacji, jak poprzednio.

Wszyscy oprócz mnie stali jak sparaliżowani. Każdy z nich uległ hipnozie minoshiro.

Wszystko pozostało na mojej głowie. Tym razem miałam przynajmniej silnego partnera po swojej stronie. Sojusznika o prymitywnym, odpornym na hipnozę umyśle i o zacieklej

determinacji, nie pozwalającej uciec jego ofierze – morderczego, plującego bańkami kraba tygrysięgo.

Nie licząc ochronnego działania okularów, wiedziałam już też, że nie mogę patrzeć na tworzone przez migoczące światła wzory, więc udało mi się zachować trzeźwość myśli. Patrząc przez przymrużone oczy, zaczęłam metodycznie wykręcać i ciągnąć błyszczące kolce.

– Proszę o zaprzestanie destrukcyjnej działalności.

Niosący się echem, żeński głos nagle pojawił się znikąd, sprawiając, że się przestraszyłam.

– Kto tu jest? Gdzie jesteś?

– Niszczysz własność biblioteki publicznej. Natychmiast zaprzestań swojej destrukcyjnej działalności.

Głos dochodził od fałszywego minoshiro.

– To dlatego, że próbowałeś nas zahipnotyzować.

– Wykorzystanie obronnej hipnozy świetlnej przez maszyny terminalowe jest prawnie dopuszczone rozporządzeniem 488722, paragraf 5. Natychmiast zaprzestań swojej destrukcyjnej działalności.

– Jak ty skończysz nas hipnotyzować, to ja przestanę wyrywać te twoje świecące dzyndzle.

– Ponawiam ostrzeżenie. W tej chwili zaprzestań swojej destrukcyjnej działalności – powtarzał uparcie fałszywy minoshiro.

– Ja też cię ostrzegam. Jeśli natychmiast nie przestaniesz, ja również nie odpuszczę. Wyrwę ci te wszystkie świecidełka!

Ku mojemu zdziwieniu, fałszywy minoshiro przestał świecić. Wyglądało na to, że tak prosta groźba była wystarczająca.

– Wszystko z wami w porządku?

Cała czwórka nadal wyglądała na mocno zamroczonych.

– Przerwij hipnozę, już! Albo znowu zacznę je wyrywać – ostrzegłam.

– Efekty hipnozy świetlnej ustępują po upływie określonego czasu. Zgodnie z raportem numer 49463165 Narodowego Instytutu Psychiatrycznego nie stwierdza się występowania obserwowalnych skutków ubocznych – odpowiedział pośpiesznie fałszywy minoshiro.

– Przerwij ją. Teraz. Albo...

Nie musiałam kończyć zdania. Fałszywy minoshiro nagle wydał z siebie przeszywający dźwięk. Instynktownie skuliłam się, zasłaniając uszy. Czwórka moich przyjaciół zaczęła ponownie się poruszać, zupełnie jakby obudzili się ze snu.

Powoli odwróciłam się do minoshiro; w myślach kłębiły mi się setki pytań, które chciałam mu zadać.

– Kim jesteś? *Czym* jesteś?

– Jestem Filią Tsukuby Biblioteki Zgromadzenia Narodowego.

– Biblioteki?

– Jeżeli ciekawi was mój model i wersja, jestem Zautomatyzowanym Archiwum Panasonic, wersja Autonomicznie Ewoluuująca SE-778H Lambda.

Nie byłam pewna, co to oznacza, ale niezależnie od tego, czym był ten stwór, sposób w jaki się przedstawił był absurdalny. To zupełnie tak, jakby ktoś zaczepił cię na ulicy, mówiąc: „Cześć, nazywam się Biblioteka Narodowa” albo „Witaj, jestem szkołą”.

– Mówisz, że właściwie to jesteś biblioteką? – spytałam ostrożnie.

– Tak.

Przyjrzałam się uważnie fałszywemu minoshiro. Teraz, gdy przestał wić się i świecić, ewidentnie dało się dostrzec, że jest stworzony ludzkimi rękoma.

– W takim razie, gdzie są książki?

– Wszystkie źródła drukowane na papierze uległy rozkładowi bądź zaginęły w wyniku wojen i innego rodzaju destrukcyjnych działań. Istnienie jakichkolwiek pozostałości nie zostało potwierdzone.

– Nie wiem właściwie, co masz na myśli, ale istotą sprawy jest to, że nie ma książek? Czyli jesteś tylko pustą biblioteką?

– Wszystkie informacje są zmagazynowane w ośmiuset dziewięćdziesięciu petabajtach pamięci holograficznej.

Nie miałam pojęcia, o czym on mówi.

– Jeśli próbujesz zamącić nam w głowach tym dziwnym językiem, to może rzeczywiście powinnam po prostu wyrwać ci te czułkowate wypustki.

Groźenie nie należało do czynności, które sprawiały mi szczególną przyjemność.

– Zawartość książek jest przechowywana w moim wnętrzu i można do niej uzyskać dostęp w dowolnym momencie – odparł niezwłocznie.

Tym razem było już lepiej, choć wciąż było dla mnie niejasne, na jakiej zasadzie ma to działać.

– Co to za książki? – spytał Satoru swobodnym tonem.

– Wszystkie 38,246,506 woluminów opublikowanych w Japonii do roku 2129 oraz 671,630 publikacji encyklopedycznych napisanych po angielsku oraz w innych językach.

Cała nasza piątka wymieniła zdumione spojrzenia. Największa biblioteka Kamisu 66, znajdująca się w Zbożowym Kręgu, posiadała nieco poniżej trzech tysięcy ogólnodostępnych tomów; jeżeli doliczyć do tego księgi przechowywane w podziemiach, łączna liczba sięgnęłaby może dziesięciu tysięcy. Upchanie w ciele tak małym jak minoshiro ponad cztery tysiące razy większej liczby publikacji było bzdurą, jakiej nawet Satoru nie odważyłby się powiedzieć.

– To, że są dostępne w dowolnym momencie, oznacza, że możesz przeczytać je, kiedy tylko zapragniesz?

– Zgadza się.

– Więc jeśli zadałabym ci pytanie, mógłbyś wyszukać wśród swoich zbiorów książkę zawierającą odpowiedź? – spytałam z powątpiewaniem.

– Tak. Średni czas wyszukiwania wynosi sześćdziesiąt nanosekund – odparł z dumą fałszywy minoshiro, lub raczej Filia Tsukuby Biblioteki Zgromadzenia Narodowego.

Nie miałam pojęcia, ile to jest sześćdziesiąt nanosekund, ale przypuszczałam, że to czas zbliżony do sześćdziesięciu sekund.

– W-więc... Chciałabym się zapytać...!

Nagle stałam się niesamowicie podekscytowana. Mogłam dostać odpowiedzi na wszystko, co do tej pory było dla mnie niejasne. Setki pytań naraz zakotłowały się w mojej głowie. Miałam właśnie się odezwać, gdy nagle wtrącił się Satoru, zadając najbardziej bezużyteczne pytanie na świecie.

– Dlaczego tutaj jest aż tyle ropuch? – zapytał.

– Dlaczego tak wyglądasz, skoro jesteś biblioteką? – spytała Maria.

Shun również wyglądał, jakby chciał się czegoś dowiedzieć, ale wciąż był zbyt zamroczony po hipnozie, by móc sklecić spójne zdanie.

– Chcę... Chcę zapytać... – W końcu zdecydowałam się czego najbardziej pragnę się dowiedzieć. – Czy Bestie naprawdę istnieją? I co z karmicznymi demonami?

Czekaliśmy z zapartym tchem. Upłynęło sześćdziesiąt sekund, później dwie minuty, trzy, ale fałszywy minoshiro nie odezwał się.

– Hej, czemu nie odpowiadasz? – Satoru wyczerpał swoje pokłady cierpliwości.

– Aby uzyskać dostęp do funkcji wyszukiwania, konieczna jest rejestracja użytkownika – odparł, nie zdradzając nawet cienia poczucia winy za to, że kazał nam tak długo czekać.

– Rany, nie mogłeś nam tego od razu powiedzieć? – powiedział Satoru z wyrzutem.

– Jak mamy się zarejestrować?

Fałszywy minoshiro zignorował Satoru i odpowiedział na pytanie Marii.

– Musicie mieć ukończone co najmniej osiemnaście lat i potwierdzić nazwisko, adres i wiek poprzez przedstawienie jednego z następujących druków: prawa jazdy, karty ubezpieczeniowej z adresem, paszportu z wpisaną pełną datą urodzenia i obecnym adresem zamieszkania, legitymacji studenckiej zawierającej adres i datę urodzenia, zaświadczenia meldunkowego wydanego w ciągu

ostatnich trzech miesięcy bądź innego oficjalnego dokumentu potwierdzającego tożsamość, którego ważność nie wygasła.

– Osiemnaście? Ale my...

– Ponadto, następujące formy identyfikacji są nieuznawane: identyfikator pracowniczy, legitymacja studencka bez adresu lub daty urodzenia, bilet sieciowy, karty kredytowe...

Falszywy minoshiro najwyraźniej wymieniał używane w przeszłości dokumentach. Mieliśmy mgliste pojęcie o tym, o czym mówił, ponieważ nauczono nas trochę o tamtej dziwnej epoce, w której kawałek papieru był więcej wart od człowieka.

– A co, jeśli nie mamy żadnej z tych rzeczy? – spytałam.

– Jeśli rejestracja użytkownika nie zostanie dokończona, usługi wyszukiwania pozostaną niedostępne – odparł minoshiro niezmiennym, spokojnym tonem.

– No więc nie ma rady. Muszę rozedrzeć cię na sztuki, kawałek po kawałku, żeby dostać się do książek, które są w twoim wnętrzu.

– Destrukcyjna działalność jest prawnie usankcjonowaną zbrodnią.

– Od czego powinniśmy zacząć? Może wyrwać mu czułki, a potem przeciąć go na pół? – spytałam Satoru, wykonując gest rozrywania.

– Hmm, spójrz jaką ma gumowatą skórę. Na początek powinniśmy go oskórować. – Satoru rzucił mi chytre spojrzenie, wyczuwając mój plan.

– Wymóg przedstawienia dokumentów został uchylony. Rozpoczęto proces rejestracji użytkownika! – powiedział głośno minoshiro, cały czas tym samym, kojącym, żeńskim głosem. – Każdy z użytkowników jest proszony o wyraźne wypowiedzenie nazwiska.

Po kolei stawaliśmy przed fałszywym minoshiro, mówiąc swoje imiona.

– Wzór tęczęwki, wzorzec głosowy oraz RM głowy potwierdzone. Rejestracja użytkownika zakończona. Shun Aonuma,

Maria Akizuki, Satoru Asahina, Mamoru Itou, Saki Watanabe, usługi wyszukiwania są dla was dostępne przez trzy lata licząc od dzisiaj.

– W porządku, w takim razie: czemu jest tutaj tyle ropuch?

Shun zasłonił prawą dłonią usta Satoru. – Jest cała góra pytań, które moglibyśmy zadać, lecz najpierw chcę usłyszeć odpowiedź na to, które zadała Saki... Czy Bestie naprawdę istnieją? A co z karmicznymi demonami?

Tym razem na odpowiedź fałszywego minoshiro nie musieliśmy czekać nawet sekundy.

– Słowo „Bestia” zwróciło 671,441 wyników w bazie danych. Można je podzielić z grubsza na dwie kategorie: 1. Stworzenia, które bywały widywane w zamierzchłej przeszłości, często zwane demonami, ghulami, duchami i podobnymi imionami, nie istniejące w rzeczywistości; 2. Pojęcie wprowadzone w ostatnich latach istnienia starożytnej cywilizacji, którym określano osoby cierpiące na zespół Ramana-Klogiusa, zwany też zespołem lisa w kurniku. W obecnej chwili ich występowanie nie jest potwierdzone; istniały jednak w przeszłości i wysoce prawdopodobne jest, że ponownie pojawią się w przyszłości.

Spojrzeliliśmy po swoich twarzach. Nie rozumieliśmy w pełni, o czym mówi, ale byliśmy pewni, że usłyszeliśmy coś, czego nigdy by nas nie nauczono; coś, czego definitywnie nie wolno było nam wiedzieć.

– Również karmiczne demony zostały odkryte przed upadkiem starożytnego imperium. Był to powszechny termin, jakim określano ciężkie przypadki zespołu Hashimoto-Appelbauma. Podobnie jak w przypadku Bestii, obecnie ich istnienie jest niepotwierdzone, lecz istnieje duże ryzyko, że ponownie się pojawią.

– To... – zająknął się Shun.

Zobaczyłam, jak z jego twarzy odpływają barwy i boleśnie zrozumiałam, o czym myśli. Nie powinniśmy pytać już o nic więcej. Ostrzeżenie przyszło podświadomie.

Otwieranie puszek Pandory, pomimo świadomości konsekwencji jest jednak elementem ludzkiej natury od zarania dziejów.

Rozdział 7

– W roku 2011 kalendarza gregoriańskiego naukowcy ostatecznie udokumentowali istnienie psychokinezy, która do tamtego czasu była zawsze uznawana za zjawisko powiązane z okultyzmem – wyjaśnił beznamiętnie fałszywy minoshiro.

Jego głos wydawał się należeć do kulturalnej, inteligentnej kobiety; pomimo tego, że był fascynujący, brzmiał zbyt idealnie i przez to nieludzko.

– Przed nadejściem tamtego dnia, wszystkie eksperymenty z psychokinezą, zarówno te przeprowadzane publicznie, jak i te odbywające się w laboratoriach, kończyły się niepowodzeniem. Jednakże, w roku 2011 w Baku, stolicy Republiki Azerbejdżanu, kognitywistyk Imran Ismailow przeprowadził zakończoną sukcesem próbę. W mechanice kwantowej istnieje dobrze znany paradoks wpływu obserwowalnych cząstek na inne cząstki, ale Ismailow jako pierwszy przewidział, że powiększenie skali tego zjawiska do świata makroskopowego dotyczy również psychokinezy. Ci, którzy wątpili w sukces Ismailowa zostali zaproszeni do udziału w eksperymencie w roli obserwatorów z utajoną zdolnością odpierania działania psychokinezy. Po przeprowadzeniu kilku testów, uczestników podzielono na różne grupy, więc żaden z nich nie wiedział o rzeczywistej skali eksperymentu. Obserwatorów poproszono następnie o zatajenie pewnych faktów przed kimś, kto znał całą strukturę doświadczenia Ismailowa. Istniało wiele czynników kontrolnych...

Cała nasza piątka słuchała długiej wypowiedzi minoshiro niczym w transie. Nawet jeśli nie byliśmy w stanie zrozumieć części z tych informacji, chłoniliśmy jego słowa jak rośliny spragnione wody po długiej suszy.

Dotychczas nasza wiedza o świecie była jak układanka, w której brakuje najważniejszego elementu. Słowa fałszywego minoshiro były właśnie tą brakującą częścią, zaspokojeniem naszej ciekawości.

Nigdy jednak nie wyobrażaliśmy sobie, że usłyszymy kiedyś historię tak potworną, że po jej wysłuchaniu włosy dosłownie staną nam dęba.

– Pierwszą osobą ze zdolnością pozazmysłowej percepcji, jaką odnalazł Ismailow, była dziewiętnastoletnia dziewczyna, Nona Mardanowa. Jej zdolności kończyły się na możliwości poruszenia lekką, plastikową kulką zamkniętą w przezroczystym cylindrze, jednakże, podobnie jak zarodek, rozpoczynający chemiczną reakcję krystalizacji, okazała się ona katalizatorem, który obudził uspioną moc ludzkości...

Zupełnie nieświadomie, Maria stanęła obok mnie i ścisnęła mocno moje dłonie. W jaki sposób ludzie weszli w posiadanie tej boskiej mocy? Informacje o jej pochodzeniu w książkach do historii były zdawkowe lub zupełnie tuszowane.

– Liczba użytkowników psychokinezy gwałtownie rosła, osiągając wreszcie poziom 0,3% światowej populacji. W przeciągu następnych lat, gdy społeczeństwo pogrążyło się w chaosie, dalsze dane statystyczne zostały utracone. Udokumentowano jednakże wzrost odsetka osób u których zdiagnozowano osobowość schizoidalną...

– Tylko 0,3%? – wymamrotał Satoru z powątpiewaniem.

Ja również nie mogłam w to uwierzyć. Jaki los spotkał pozostałe 99,7% populacji?

– Co masz na myśli, mówiąc o chaosie społecznym? – spytała Maria.

– Na początku, użytkownicy psychokinezy byli izolowani i wykluczani ze społeczności przez zwyczajnych ludzi. Nawet, jeśli ich umiejętności były niewielkie, było to więcej niż wystarczające do potencjalnego zniszczenia porządku społecznego tamtej epoki, a trzymali oni ten fakt w tajemnicy. W Japonii zagładę zapoczątkował incydent z chłopcem A.

– Chłopiec A? Czy to imię? – Mamoru zmarszczył brwi.

– Powszechną praktyką w tamtych czasach było zatajanie danych nieletnich zaangażowanych w działania kryminalne, więc został mu nadany pseudonim.

– Co on takiego zrobił? – zapytałam.

Spodziewałam się, że w najgorszym razie w odpowiedzi usłyszę, że był podejrzany o napad lub coś podobnego.

– Zdolności A były zaledwie elementarne, jednak pewnego dnia uświadomił on sobie, że jest w stanie otworzyć każdy napotkany zamek. Wykorzystując tę umiejętność, wielokrotnie włamywał się w środku nocy do domów, zgwałcił w śnie dziewiętnaście kobiet i zabił siedemnaście z nich.

Zamarliśmy ze zgrozy. Nie potrafiłam uwierzyć w to, co usłyszałam. Gwałt. I morderstwo... Zabijanie ludzi.

– Poczekaj chwilę! To niemożliwe! No bo przecież A był człowiekiem, tak? Człowiek zamordował innego człowieka? – zapytał Satoru ochrypniętym głosem.

– Tak. Po aresztowaniu A liczba przestępstw popełnianych z użyciem psychokinezy wzrosła. Większość z tych spraw pozostała jednak nierozwiązana z powodu braku skuteczności powszechnie wykorzystywanych metod dochodzeniowych wobec wykorzystania psychokinezy. Rozpoczęły się ataki ludzi nieobdarzonych mocą na psychokinetyków; najpierw były skierowane przeciwko konkretnym osobom a ostatecznie przerodziły się w prześladowania całej zbiorowości, nierzadko prawie kończąc się linczem. Użytkownicy psychokinezy w ramach samoobrony utworzyli własne stronnictwo, a najbardziej zagorzali z nich postulowali stworzenie odrębnej, psychokinetycznej społeczności. Masowy terroryzm użytkowników psychokinezy przybierał na sile. Wynikłe z niego konflikty na tle politycznym, etycznym i filozoficznym pogrążyły świat w czasach brutalnej niezgody. Bezprecedensowość zaistniałej sytuacji sprawiła, że nie było widać możliwości zakończenia tej globalnej konfrontacji.

Zaniemówiłam i spojrzałam na przyjaciół. Strach wymazał z ich twarzy wszelkie inne emocje. Mamoru kulił się na ziemi, zatykając uszy obiema dłońmi.

–Państwo, będące największą potęgą militarną, Ameryka, rozpoczęło wojnę domową, mającą na celu wymazanie wszystkich użytkowników psychokinezy z powierzchni Ziemi. Dzięki dużej dostępności broni i wykorzystaniu wyładowań elektrycznych do odróżniania normalnych ludzi od psychokinetyków, populacja tych drugich w Ameryce Północnej skurczyła się w krótkim czasie z 0,3% do zaledwie 0,0004%...

– To nie może być prawda... – wyszeptał Satoru, nie przestając kiwać głową.

–Innemu mocarstwu naukowemu, Indiom, udało się natomiast zróżnicować DNA użytkowników psychokinezy i zwykłych ludzi. Prowadzono tam badania nad metodami kontroli ludzkich genów. Niestety, ich prace zakończyły się niepowodzeniem, jednak dane, które udało się im zgromadzić okazały się przydatne w późniejszych czasach...

Jak we śnie wlepiałam wzrok w zwierzę-maszynę, ściśnięte w szczypcach kraba tygrysięgo. Czy tak naprawdę mógł to być demon przysłany wprost z piekła, który miał oczarować nas swoimi dziwnymi słowami i ostatecznie doprowadzić do obłędu?

– Jak na ironię, z powodu życia w stanie ciągłego zagrożenia śmiercią, psychokinetycy, którzy zdołali ocaleć, gwałtownie rozwinęli swoje umiejętności. Na początku uważano, że psychokineza jest manifestacją energii wytwarzanej przez rozkład cukru w mózgu. Gdyby tak było, ilość glukozy w ciele musiałaby być jej naturalnym ogranicznikiem. Okazało się jednak, że ta teoria jest błędna. W rzeczywistości, nie było górnej granicy dla ilości energii, która mogła zostać wyzwolona. W momencie dokonania tego odkrycia, najsilniejszy spośród psychokinetyków dysponował siłą wystarczającą do powstrzymania ataku jądrowego. Użytkownicy psychokinezy przechylili na swoją stronę szalę zwycięstwa, doprowadzając do

upadku rządów na całym świecie. Obecne księgi historyczne nie mówią o dawnej cywilizacji, ponieważ została ona, w dosłownym tego słowa znaczeniu, kompletnie wyzerowana. Historia zatoczyła krąg i powróciliśmy do ciemnych wieków. Wojny, głód, epidemie i inne katastrofy spowodowały, że populacja człowieka skurczyła się do zaledwie dwóch procent swojej wartości z czasu Złotej Epoki...

Poczułam jak kołacze mi serce. To było naprawdę nieprzyjemne uczucie. Chciałam, by fałszywy minoshiro przestał mówić, ale nie mogłam zmusić ust do wypowiedzenia choćby jednego słowa. Wyglądało na to, że dotyczy to też wszystkich pozostałych.

– Nie jest możliwe dokładne odtworzenie dziejów historii podczas Ciemnych Wieków, które nastąpiły na następne pięćset lat. Infrastruktura upadła, i, co oczywiste, odcięty został dostęp do Internetu, uniemożliwiając zdalną komunikację. Zasięg informacji ponownie stał się ograniczony geograficznie, a ludzie powrócili do życia w niewielkich, zamkniętych światach – powiedział radośnie fałszywy minoshiro, zupełnie, jakby dzielił się z nami wspaniałymi wiadomościami. – Mimo tego, kilka nowych ksiązek zostało wydanych w tamtym okresie. Najbardziej wiarygodne źródła literackie z tamtej epoki mówią, że społeczeństwa północno-wschodniej Azji podzieliły się na cztery skonfliktowane grupy. Pierwszą z nich były niewolnicze imperia, rządzone przez użytkowników psychokinezy. Kolejną stanowiły zbieracko-łowicze plemiona pozbawionych mocy ludzi, którzy chcieli uciec przed losem niewolników. Trzecią z grup tworzyli wędrowniczy bandyci, wykorzystujący psychokinezę do grabieży i morderstw. Ostatnią byli naukowcy, pragnący zachować starą wiedzę i technologię...

– Książek, takich jak te małe, o których wspomniałeś wcześniej, jak te naprawdę niewielkie, które masz w swoim wnętrzu? – spytał Shun, przerywając ciszę.

Zmiana tematu spowodowała, że napięcie trochę opadło.

– Nie. Normalnych książek, wykonanych starą metodą druku na papierze. Nasza biblioteka przeskanowała je i zgromadziła zawarte w nich informacje.

Przestałam zważać na jego słowa, gdy tylko przeszedł do najważniejszej kwestii.

– Więc w takim razie należysz do czwartej grupy?

– Utrzymywaliśmy regularny kontakt, ale nie licząc tego, nie pracowaliśmy razem. Biblioteki istnieją, by chronić wiedzę ludzkości; niestety w tamtych czasach byliśmy celem wielu ataków. Z tego powodu wynaleziono zautomatyzowane roboarchiwa. W obszarach miejskich istniały modele, mogące dowolnie się poruszać przez system kanałów, jednak zostały zniszczone podczas ataków jądrowych. Jedyne rodzaje, które przetrwały, to były modele mające imitować żywe stworzenia, odporne na działanie żywiołów i zdolne do samodzielnego wytwarzania energii. Później były one dodatkowo modyfikowane, aż osiągnęły zdolność zmiany wyglądu w zależności od środowiska, w którym się znajdowały. Modele Autonomicznie Ewoluuujące, takie jak ja – powiedział dumnie fałszywy minoshiro.

– Samodzielne wytwarzanie energii... Więc czym się żywisz? – spytał Mamoru, unosząc głowę.

– Zwierzętami o odpowiednich rozmiarach. Najmniejsze organizmy, takie jak mikroby mogą zostać spożyte i strawione w całości. Albo, gdy nadarzy się okazja, mogą chwycić niewielkie ssaki i wysysać ich krew.

Już samo wyobrażenie o tym było obrzydliwe. Odwróciłam się tyłem do minoshiro.

– I co było później? Co stało się pomiędzy Ciemnymi Wiekami a dniem dzisiejszym? – Shun powrócił do pierwotnego tematu.

– Podczas Ciemnych Wieków, poza tymi czterema grupami, nie było nikogo więcej, prawda? Więc która z nich...?

Wreszcie zrozumiałam. Byliśmy bezpośrednimi potomkami którejś z czterech społeczności.

– Pierwsi wyginęli bandyci – powiedział minoshiro.

Słyszając to, poczułam lekką ulgę.

– Każdy z bandyckich klanów składał się mniej więcej z dwudziestu do trzydziestu spokrewnionych członków. Ponieważ nie wahali się oni używać psychokinezy i od czasu do czasu wybijali całe wioski, budzili ogromne przerażenie. Ich tryb życia był jednak wyjątkowo niestabilny. Dla bandytów, niewolnicze imperia i nomadzi byli jedynie zwierzyną. Dla tych dwóch grup z kolei, bandyci byli jedynie utrapieniem, które starano się eliminować wszelkimi dostępnymi metodami.

– Wszelkimi dostępnymi metodami? – zapytał Satoru. Dużo bym dała, by to pytanie w ogóle nie padło.

– Metodą transportu, w której lubowali się bandyci, była jazda na samobieżnych dwukołowych maszynach. Pomimo, że w tamtych czasach nie istniały już środki do produkcji silników czy opon, bandytom udało się przy użyciu psychokinezy odrodzić przemysł żelazny. Używali setek kilogramów żelaza do produkcji kół, a następnie dzięki psychokinezie rozpędzali je do prędkości trzystu kilometrów na godzinę. Z pryskającymi spod kół iskrami pruli przez równiny i plądrowali napotkane osady. Gdy tylko mieszkańcy zauważali chmury pyłu i słyszeli ryk ich silników, wiedzieli, że nadchodzi bogowie śmierci. W samoobronie kopali rowy, najeżone ostrymi, bambusowymi włóczniami i rozpinali cienkie linki na wysokości szyi najeźdźców. Używali też innych, prostych, lecz efektywnych pułapek, takich jak podkładanie min lądowych, nasączenie wystawionego jako przynęta jedzenia wolno działającymi truciznami, zarażanie śmiertelnymi chorobami młodych kobiet a następnie pozwalanie, by zostały zgwałcone przez bandytów oraz wielu innych sposobów.

Jego słowa ponownie napełniły mnie takim wstrętem, że musiałam usilnie walczyć z chęcią wymiotowania.

– Bandyci oczywiście mścili się brutalnie, wykorzystując psychokinezę. Źródłem ich upadku ostatecznie okazały się jednak konflikty wewnętrzne. Ponieważ wszyscy byli spokrewnieni, budzili

przestrach wśród wrogów spoza swoich klanów, jednak w ich szeregach panował odwieczny strach przed zostaniem zamordowanym przez własnych kompanów. Aby przetrwać, musieli być wyczuleni na najmniejsze oznaki wrogości ze strony współtowarzyszy. Mentalność „zabij zanim zabiją ciebie” upowszechniła się do takiego stopnia, że rozpad grup stał się nieunikniony.

Otarliśmy pot z twarzy i spróbowaliśmy rozluźnić niewidzialne pętle, ściskające nasze żołądki. Mamoru jednak najwyraźniej osiągnął już swój limit; odwrócił się tyłem i zaczął wymiotować w zarośla.

– Przestań! Zamknij się! – wykrzyczał Satoru. – Nie słuchajcie tego, co mówi!

– Nie... Poczekaj. Mam jeszcze tylko kilka pytań – powiedział Shun, choć również był blady jak duch. – Dość już o bandytach. Co się stało z pozostałymi trzema grupami?

– Dzięki polityce wzajemnej nieagresji i nieinterwencji, w północno-wschodniej Azji przez sześćset lat przetrwało około dziewiętnaście niewolniczych imperiów. Spośród czterech, zlokalizowanych na archipelagu wysp Japonii, posiadam jedynie dane na temat Świętego Cesarstwa Kwitnącej Wiśni, składającego się z regionów Kanto i Chubu. Dłużej istniało jedynie Imperium Nowego Yamato, w skład którego wchodziły wszystkie ziemie na zachód od Kansai. W każdym razie, Święte Cesarstwo Kwitnącej Wiśni w przeciągu pięciuset siedemdziesięciu lat było rządzone łącznie przez dziewięćdziesiąt cztery pokolenia cesarzy.

– Obędzie się bez opowiadania nam historii wszystkich dziewięćdziesięciu czterech – powiedziała Maria, marszcząc brwi.

– Dlaczego władcy zmieniali się tak często? – Shun wyglądał na wstrząśniętego bardziej niż pozostali, ale konsekwentnie drażył temat.

– „Studium Świętego Cesarstwa Kwitnącej Wiśni” cytuje historyka J. E. Actona: „Władze mają skłonność do zepsucia, a władza absolutna jest zepsuta do szpiku kości”. Psychokinetycy, rządzący niewolniczymi imperiami, posiadali moc, która nigdy wcześniej nie istniała w historii ludzkości. Byli dosłownie jak bogowie, ale tak

wielka potęga niesie ze sobą równie duże, niszczycielskie konsekwencje.

Historia fałszywego minoshiro była tak urzekająca, że chłoniliśmy każde jej słowo, niezależnie od tego, co na ten temat sądziliśmy.

– Święte Cesarstwo Kwitnącej Wiśni powstało jako oligarchia rządzona przez wąską grupę użytkowników psychokinezy. Następujące po sobie fale czystek politycznych doprowadziły ostatecznie do tego, że u sterów pozostała jedna osoba, która stała się władcą absolutnym. Personalia cesarza zawsze pozostawały tajemnicą. Władca podróżował w otoczeniu licznych sobowtórów; w państwie zamieszkałym przez dużą liczbę psychokinetyków trudno jednak było wykryć i powstrzymać każdą próbę zamachu na cesarza. Po tym, jak wymarli bandyci, pojedyncza rodzina użytkowników psychokinezy rządziła dziesiątkami tysięcy obywateli. Nawet to jednak nie było w stanie przynieść prawdziwego pokoju i stabilizacji.

– Wracajmy już. Jestem trochę zmęczony i coraz bardziej chce mi się pić... – skarżył się Mamoru z łzami w oczach; wciąż zakrywał uszy dłońmi.

Nikt się nie poruszył.

– Zgodnie z informacjami zawartymi w „Studium Świętego Cesarstwa Kwitnącej Wiśni”, szóstka najdłużej panujących imperatorów cierpiała na tę samą psychologiczną przypadłość. Wielu naukowców z Towarzystwa Terenowych Badań Historycznych i Grupy Obserwacyjnej Sakura straciło życia, badając tę sprawę.

Nie licząc Mamoru, wszyscy ulegliśmy tej nowej formie hipnozy. Głos fałszywego minoshiro wwiercał się w nasze bębenki, niosąc się echem bezpośrednio w umysłach.

– Każdemu z cesarzy przyznawano pośmiertnie przydomek, odzwierciedlający czyny, których dokonał za życia. W niektórych przypadkach były to szydercze przezwiska nadawane przez lud. Wedle zachowanych zapisków, podczas koronacji piątego imperatora, Cesarza Rozkoszy, radość i aplauz publiczności trwały przez trzy dni i trzy

noce. Może to brzmieć na grubą przesadę, ale później odkryto prawdziwą istotę tamtego wydarzenia. Pierwsze sto osób, które przestało klaskać, stało się ofiarami. Zostali podpaleni, a ich zwęglone ciała przekształcono w posągi zdobiące pałacowe korytarze. Od tego momentu Cesarz Rozkoszy był nazywany Cesarzem Wiecznych Wrzasków – kontynuował spokojnie fałszywy minoshiro.

– Trzynasta z władców, cesarzowa Airin, była zwana Królową Smutku. Każdego poranka z radością przyglądała się publicznym egzekucjom ludzi, którzy choćby troszeczkę ją zdenerwowali. Wśród pałacowych robotników zwyczajem stało się powstrzymywanie się od jedzenia tylko po to, by nie zwymiotować ze zgrozy podczas egzekucji...

– Trzydziestego trzeciego imperatora, Cesarza Wspaniałomyślności, przez całe życie nazywano Królem Wilkiem, jednak ten przydomek zyskał z czasem negatywne zabarwienie. Stało się tak dlatego, że często dla kaprysu robił sobie wycieczki po mieście, zostawiając za sobą góry trupów, podobnie jak rozszalała bestia. Psychokinetyczny obraz Cesarza Wspaniałomyślności przedstawiał szczęki olbrzymiego potwora, wyrwijące ludziom kończyny; mówiło się jednak, że niektóre z ciał noszą ślady zębów samego władcy...

– Syn Cesarza Wspaniałomyślności, trzydziesty czwarty imperator, Cesarz Nieskalanej Cnoty, został po swojej śmierci nazwany Królem Heretykiem. Gdy miał dwanaście lat, udusił swojego ojca i rzucił jego zwłoki na pożarcie psom. Był wielbiony przez lud, lecz szybko został ogarnięty paranoicznym strachem przed zostaniem zamordowanym, więc po kolei pozabijał wszystkich swoich młodszych braci i męską część kuzynostwa, pozwalając by karaluchy pożarły ich ciała. Pomimo tego, że nie było już zagrażających jego władzy użytkowników psychokinezy, na jego tron zaczęły czyhać inne niebezpieczeństwa. Zwyczajni obywatele rozpoczęli próby zamachu. Ostatecznie, Cesarza Nieskalanej Cnoty ogarnęła nienormalna obsesja karmienia dzikich zwierząt żywymi ludźmi...

– Sześćdziesiąta czwarta władczyni, Cesarzowa Świętej Dobroci, otrzymała przydomek Sowiej Królowej jeszcze zanim wstąpiła na tron. Wierzyła we wszystkie dziwne kultury, a manifestacją jej psychokinezy była potworna sowa, pojawiająca się podczas pełni księżyca i porywająca młode dziewczyny w ciąży. Wyrywała ona z ich ciał płody, nabijała je na pal i składała w ofierze zdegenerowanym bożkom wspomnianych kultów...

Zadrżałam. Obraz, który sama wyobrażałam sobie, używając cantusu był bardzo podobny. Wyraźnie tworzyłam wizję olbrzymiej istoty lecącej przez nocne niebo.

– Stało się zwyczajem, że następca tronu zabijał swojego poprzednika, by zająć jego miejsce. Gdy osiągał on wiek młodzieńczy i budziła się jego psychokineza, życie cesarza stawało się płomykiem świecy na wietrze. Z tego powodu, książęta byli bacznie obserwowani pod kątem jakichkolwiek oznak buntu i bardzo częstą praktyką stało się ich prewencyjne zabijanie, bądź wykłuwanie oczu i wtrącanie do lochów. Siedemdziesiąty dziewiąty imperator, Cesarz Miłosiernego Światła zdał sobie sprawę, że może korzystać z psychokinezy, gdy miał dziewięć lat. O świcie zakradł się do pałacu i ukrył we wnęce za jedną z ustawionych w rzędzie, stojących w sali tronowej waz. Miał stamtąd doskonały widok na tron. W chwili, gdy jego ojciec, Cesarz Szczerości, na nim usiadł, zatrzymał pracę jego serca. Następnie, wykorzystując psychokinezę udał, że cesarz nadal żyje i skrzył karki wszystkim jego doradcom i pomocnikom, a później umieścił ich ciała w stojących wzdłuż korytarza wazach. Życie straciło ponad dwanaście osób, lecz dla Cesarza Miłosiernego Światła, który dał się poznać jako najpotworniejszy morderca Świętego Cesarstwa Kwitnącej Wiśni, to była zaledwie rozgrzewka. Zabijanie było dla niego równie naturalne jak oddychanie. Niektórzy mówili nawet, że gdy zabijał swoich służących i obywateli, w połowie przypadków nie był nawet świadomy swoich czynów. Podczas jego panowania, populacja cesarstwa zmalała o połowę, na ulicach zalegały stosy ciał, niebo zasnuwały chmary much, a zapach rozkładu niósł się na dziesiątki

kilometrów. Dziś zapomniano już o przydomku Cesarza Miłosiernego Światła i w pamięci zostaje jedynie inne imię – Króla Rzezi.¹ O tym, jak bardzo niehumanitarna była jego osobowość świadczyć może...

– Skończ! Mówiłem już, żebyś przestał! – wrzasnął Satoru. – W jakim celu każesz nam tego słuchać? Z tego co wiemy, to wszystko może być zmyślone. Shun, daruj już sobie! To doprowadzi nas do szaleństwa.

– Też nie czerpię przyjemności ze słuchania tych słów. – Shun obliznął usta, z których odpłynęła cała krew, i spojrzał na fałszywego minoshiro. – Jak powstało nasze społeczeństwo? To wszystko, co chcę wiedzieć. Oszczędź mi zbędnych szczegółów. Powiedz po prostu, w jaki sposób powołano do życia naszą społeczność.

– Pięćsetletni okres Ciemnych Wieków zakończył się wraz z upadkiem niewolniczych imperiów. Długotrwałe odseparowanie od kontynentu i wzajemne eliminowanie się kolejnych pokoleń sprawiło, że na wyspach Japonii doszczętnie wyginęły wszystkie linie rodowe posiadające zdolności psychokinetyczne. Imperia podzieliły się i zaczęły toczyć między sobą wojny. Żyjące w dziczy plemiona myśliwych rozpoczęły konspiracyjne ataki na niechronione już wioski, które z kolei zawiązywały między sobą sojusze, sprawiając jedynie, że walki przybierały na sile. W ciągu następnych, naznaczonych wojną dekad, ci którzy zostali zabici przez psychokinetyków, urosli do rangi męczenników. Naukowcy, którzy dotychczas jedynie biernie obserwowali bieg wydarzeń, wyszli z ukrycia, by wprowadzić porządek.

Więc to byli oni. Poczułam jak ciepłe uczucie ulgi rozlewa się po moich piersiach. Krew cesarzy nie płynie w naszych żyłach, tak samo jak krew bandytów. Jesteśmy potomkami tych, którzy zawsze stali na straży logiki i rozsądku.

– Ale w jaki sposób ich społeczeństwo stało się tym, które istnieje obecnie? Zwyczajni obywatele imperiów niewolniczych oraz

¹ Oryginalne imię tłumaczy się raczej jako „Król Stosów Ciał i Rzek Krwi”, ale wzorując się na przekładzie na angielski, uznałem, że jest trochę za długie

myśliwi-zbieracze nie posiadali cantusu... psychokinezy, prawda? Co się z nimi stało? – Shun wyrzucił z siebie serię pytań.

Wydawało mi się, że fałszywy minoshiro oczekiwał, że zostanie o to zapytany.

– Istnieje niewiele wiarygodnych źródeł z kilku ostatnich wieków. Obawiam się, że nie potrafię ci odpowiedzieć. – odparł.

– Dlaczego? Przecież naukowcy musieli prowadzić zapiski, prawda? – zagryzła usta Maria.

– Robili to podczas Ciemnych Wieków. W celu wprowadzenia kontroli i stworzenia nowego społeczeństwa przyjęto jednak inną strategię. Skoro cała wiedza jest jak obusieczny miecz, postanowiono kontrolować przepływ wszelkich informacji tak ściśle, jak to możliwe. Na nieszczęście, oznaczało to spalenie wielu ksiąg. Filia Tsukuby Biblioteki Zgromadzenia Narodowego, czyli ściślej mówiąc – ja, po przeanalizowaniu sytuacji i zadecydowaniu, że grozi mi niebezpieczeństwo, postanowiłam na pewien czas wraz z licznymi kopiami zapasowymi ukryć się na górze Tsukuba.

Najwyraźniej według definicji fałszywego minoshiro, „pewien czas” oznaczał kilkaset lat.

– Zewnętrzna powłoka biblioteki od tamtej chwili zaczęła się zmieniać i wytworzyła czułki, imitując minoshiro. Nawet w przypadku napotkania człowieka posiadającego cantus mogę uciec, używając jednej z moich dodatkowych zdolności – hipnozy świetlnej.

– Nie o to pytam! – prychnął Shun. – W jaki sposób *ich* społeczeństwo stało się *naszym* społeczeństwem? Nie, może nie musiało się nim stawać... To naukowcy stworzyli dzisiejszą społeczność, racja? Jeśli byli naszymi przodkami, to musieli posiadać cantus, lecz w przeciwieństwie do cesarzy i bandytów nie używali go nigdy do walki. Dlaczego tak było?

Uświadomiłam sobie, że to nie jest takie oczywiste. Jeżeli nasz świat rzeczywiście był taki, jak w opowieściach o Szeherazadzie, oznaczało to, że historia ludzkości jest niewiarygodnie krwawa. Innymi słowy, jeśli stworzenie zwane człowiekiem było z natury tak

brutalne i krwiożercze, że nawet kraby tygrysie w porównaniu z nim pod tym względem wypadały blado, to jak to możliwe, że nasze obecne społeczeństwo jest takie pokojowe?

– Zdawali sobie sprawę z nieograniczonego potencjału i niszczyielskiej siły psychokinezy, więc największym problemem, z jakim borykali się u schyłku poprzedniej cywilizacji było to, w jaki sposób uchronić kogoś przed wyrządzeniem krzywd. W tym celu psychologowie, socjologowie, biolodzy i inni naukowcy prowadzili przeróżne badania, nie ma jednak informacji dotyczących strategii, którą ostatecznie zdecydowali się przyjąć.

– Znasz jakieś pomysły, na które wpadli? – spytałam.

– Jedną z pierwszych propozycji było skupienie się na znaczeniu edukacji. Wczesne nauczanie o wrażliwości, logice i moralności udzielane przez rodziców, żarliwe głoszenie wiary; każdy aspekt edukacji był jasno zaplanowany. W rezultacie okazało się, że choć miało to krytyczne znaczenie, nie było wystarczające. Niezależnie od tego, jak perfekcyjny by nie był system nauczania, brutalne skłonności rasy ludzkiej nie mogły zostać całkowicie stłumione.

Mimo tego, że była to tylko zebrana treść kilku książek, fałszywy minoshiro mówił tak płynnie, jakby wyrażał własne przekonania.

– Kolejną z sugestii było podejście psychologiczne. Badano także działanie ćwiczących umysł technik radzenia sobie z gniewem, takich jak zen, joga czy medytacja transcendentalna w połączeniu z bardziej drastycznymi środkami, jak leki psychotropowe. Obydwie metody były skuteczne, ale od razu stało się jasne że żadna z nich nie jest idealna. Jednakże, testy psychologiczne i behawioralne z prawie stuprocentową dokładnością pozwalały na odsiewanie dzieci mogących wyrządzić potencjalne szkody. Następnym krokiem było więc w prowadzenie w życie tak zwanej Teorii Zgniłego Jabłka. Zwyczajową praktyką stało się eliminowanie dzieci, wykazujących jakiegokolwiek ostrzegawcze oznaki.

Wzdłuż kręgosłupa przebiegły mi ciarki. Nie chciałam myśleć o tym, co przyszło mi do głowy, ale mimowolnie to zrobiłam.

*Czy to możliwe, że tą regułę stosuje się do dnia dzisiejszego?
W Szkole Harmonii, w Akademii Mędrców...*

– Nawet to nie wystarczyło jednak, by uniknąć wszystkich niebezpieczeństw. Nawet zwykli, serdeczni i przyjaźni ludzie, żyjący pełnią życia, mogli zatracić się w przypiływie gniewu. Badania wykazały, że dziewięćdziesiąt procent doświadczanego przez ludzi stresu wywołane jest przez innego człowieka. Jak można utrzymać bezpieczeństwo społeczeństwa, jeżeli każdy z jego członków podczas trwającego ułamek sekundy przypiływu silnego gniewu, jest w stanie z łatwością urwać głowę stojącej przed nim osobie?

Przemówienie fałszywego minoshiro urzekło nas tak doszczętnie, że nie mogliśmy odtrącić jego słów. Gdy teraz o tym pomyślę, ta zdolność mogła być kolejną z jego wielu funkcji obronnych.

– Kiedy wyczerpano możliwości metod psychologicznych, zastąpiono je lekami, zaprojektowanymi do regulowania równowagi hormonalnej w mózgu. Szybko ujawniły się ograniczenia tej metody, ponieważ utrzymywanie ludzi na lekach przez całe życie było niemożliwe. Dziedziną nauki, która przejęła pałeczkę była etologia. Skupiono się na społecznościach małp naczelných, zwanych bonobo. Nazywano je też czasami szympanсами karłowatymi, lecz podczas gdy zwykle szympanсы znane są z prowadzenia brutalnych walk, nieraz na śmierć i życie, w grupach bonobo praktycznie nie spotyka się incydentów agresji.

– Czemu? – zapytałam.

– Kiedy wśród członków stada narasta gniew i niepokój, dają mu upust poprzez intymne zachowania seksualne. Dorosłe samce i samice odbywają stosunki, ale nawet niedojrzale osobniki i pary jednopłciowe pocierają wzajemnie swoje genitalia w akcie seksualnej zabawy. Prymatolodzy i socjolodzy uznali, że najwyższą

koniecznością jest przekształcenie dotychczasowej, brutalnej zbiorowości w społeczeństwo oparte na miłości, jak u bonobo.

– Jak tego dokonali?

– Podręcznik „Ku Społeczeństwu Miłości” wylicza trzy kroki. Pierwszym z nich był częsty kontakt fizyczny, taki jak trzymanie się za ręce, przytulanie czy całusy w policzek. Drugi etap zakładał zachęcanie do takich kontaktów, zarówno z płcią przeciwną, jak i w obrębie własnej płci, począwszy od dzieciństwa, aż do późnej starości. Chciano w ten sposób wytworzyć nawyk rozpraszania napięć międzyludzkich poprzez seksualne zabawy i przeżywanie orgazmów. Trzecim krokiem było zachęcenie dorosłych ludzi do praktykowania między sobą swobodnego seksu. Oczywiście, konieczne było stosowanie wygodnych i skutecznych środków antykoncepcyjnych.

Spojrzelśmy na siebie wzajemnie.

– Więc ludzie kiedyś tacy nie byli? – zapytała Maria z niepokojem, marszcząc brwi.

– Nie mam danych na temat obecnie żyjącego społeczeństwa, więc trudno jest mi dokonać porównania, ale w starożytnych cywilizacjach występowały różne zakazy i ograniczenia dotyczące kontaktów fizycznych. W wielu miejscach związki homoseksualne były nielegalne i karane. To samo dotyczyło swobodnego seksu.

Dla nas kontakt fizyczny był codziennością, czymś doskonale zwyczajnym. Dziewczęta z chłopcami, dziewczęta z dziewczętami, chłopcy z chłopcami, dorośli z dorosłymi, dzieci z dziećmi i dorośli z dziećmi. Zasadniczo, intymny kontakt między ludźmi był czymś dobrym. Jedynym wyjątkiem od tej reguły były zachowania, mogące prowadzić do ciąży; po spełnieniu pewnych warunków można było uzyskać na nie odpowiednie pozwolenie od Komisji Etyki.

– Jednak również to okazało się niewystarczające. Komputerowe symulacje przewidywały, że społeczność upadnie w przeciągu dziesięciu lat, nawet jeśli wszystkie podjęte środki zadziałają perfekcyjnie. Powód takiego stanu rzeczy był zupełnie jasny. Wszyscy członkowie psychokinetycznego społeczeństwa byli w posiadaniu

odpowiednika przycisku, wystrzeliwującego bombę atomową. Wystarczyłoby, żeby choć jedna osoba utraciła kontrolę, by doprowadzić do zniszczenia całej infrastruktury.

Tak jak wcześniej, byłam w stanie zrozumieć mniej więcej połowę z tego, co mówił fałszywy minoshiro. Niezależnie od tego, odczuwałam ciężar jego słów.

– Ludzkie zachowanie można kontrolować poprzez edukację, psychologię i eugenikę. A ponieważ ludzie również są gatunkiem naczelnym, także etologia może być wykorzystana do stworzenia bezpieczniejszego środowiska. Jednakże, by ta tama zwana społeczeństwem mogła ocaleć, nie można dopuścić do pojawienia się w jej ścianie nawet pojedynczej rysy. Ostateczne rozwiązanie oparło się na pomysł, że człowiek nie jest niczym więcej, jak społecznym ssakiem, i tak też musi być traktowany.

Co za ironia. Kiedy człowiek w końcu otrzymał moc równą boskiej, okazało się, że jej posiadanie daleko wykracza poza jego możliwości. Żeby móc kontrolować taką potęgę, ludzkość musiała zostać zdegradowana do rangi małp, a później sprowadzona jeszcze niżej, do poziomu zwykłych ssaków socjalnych.

– Etolog o imieniu Konrad Lorenz, żyjący u szczytu starej cywilizacji stwierdził, że silne zwierzęta, takie jak wilki czy kruki, jak również zwierzęta socjalne, posiadają wrodzony mechanizm, zmuszający je do unikania konfliktów z przedstawicielami własnego gatunku. Nazwano to kontrolą ataku. Z drugiej strony, słabsze fizycznie zwierzęta, jak ludzie i szczury, nie podlegają takiej kontroli i mają tendencję do walczenia między sobą, co kończy się brutalną rzezią. Skoro psychokinetycy mieli żyć obok siebie w społeczności, niezbędny był potężny ogranicznik przemocy.

– Ale jak to zrobili? – wyszeptał Shun, jakby mówił do siebie.

– Jediną skuteczną metodą była modyfikacja ludzkiego genomu. Z rozkodowanego wilczego DNA wyizolowano gen odpowiedzialny za kontrolę agresji. Samo to jednak nie wystarczyło. Potrzebne było jeszcze coś, co upośledzi samą zdolność ataku.

– Więc, ujmując to inaczej, mówisz, że ludzkie zdolności kontroli agresji nie pochodzą od wilka, ale z jakiegoś innego, niezwykle potężnego źródła?

– Nie ma wiarygodnych danych, które dowodziłyby, że ludzkie geny zostały zmodyfikowane do tego stopnia, więc można tylko snuć domysły. Jednakże, do kodu genetycznego dodano dwa mechanizmy. Pierwszy z nich to zwykły mechanizm kontroli ataku, taki sam, jak u wilków. Drugim jest coś, co nazwano śmiertelnym sprzężeniem zwrotnym.

Prąd przebiegł mi po ciele. Śmiertelne sprzężenie zwrotne było czymś, o czym wielokrotnie mówiono nam już w Szkole Harmonii i co było zakorzenione głęboko w naszej świadomości. To najpodlejsza, najbardziej haniebna śmierć, jaka może spotkać człowieka.

– Na początku wymyślono coś, co nazwano sprzężeniem zwrotnym sumienia. Mechanizm ten miał zaburzać koncentrację osoby, próbującej zaatakować innego człowieka psychokinezą i stanowić uzupełnienie kontroli ataku. Nie udało się jednak osiągnąć powtarzalnych efektów mechanizmu, więc był on nieskuteczny w codziennym życiu. Zamieniono go więc na proste, ale skuteczne śmiertelne sprzężenie zwrotne. Sposób jego działania jest następujący: Kiedy umysł człowieka rozpoznaje zamiar skrzywdzenia innej osoby, podświadomie aktywuje się psychokineza, która zatrzymuje funkcję nerek i przytarczyc. Skutkuje to takimi objawami jak dyskomfort, kołatanie serca i pocenie się. Efekty te można dodatkowo nasilić poprzez edukację, warunkowanie i hipnozę. W tym momencie większość ludzi powstrzymuje się od ataku, ale jeśli mimo to agresja jest kontynuowana, człowiek ponosi śmierć w wyniku tężcowego skurczu mięśni oddechowych, spowodowanego niskim poziomem wapnia we krwi, bądź w efekcie nagłego zatrzymania krążenia, wywołanego gwałtownym wzrostem stężenia potasu.

– To... To niemożliwe – wydusił Satoru.

Jeśli to wszystko było prawdą, to w co my właściwie wierzyliśmy przez te wszystkie lata? Zawsze uczono nas, że nam, ludziom, została podarowana boska moc jako dowód uznania dla naszych cnót. W rzeczywistości, bez stale utrzymującej nas w ryzach groźby śmierci, walczylibyśmy między sobą aż do kompletnego unicestwienia naszego gatunku. Czy to nie znaczy, że jesteśmy znacznie bardziej prymitywnymi zwierzętami niż wilki i kruki?

– Kłamiesz! To wszystko gówno prawda! – wysyczała Maria przez zaciśnięte zęby.

– Ale to ma sens – powiedział Shun niskim tonem.

– Więc mu wierzysz?

Zamiast mi odpowiedzieć, Shun zadał fałszywemu minoshiro pytanie.

– Czy... Czy Bestie pojawiły się właśnie wtedy?

Zmarszczyłam czoło. To od tego rozpoczęła się cała rozmowa, ale co miały wspólnego Bestie z tym, co przed chwilą usłyszeliśmy od fałszywego minoshiro?

– Nie. Bestie, czyli osoby chore na zespół Ramana-Klogiusa, istniały już przed upadkiem dawnej cywilizacji. Uważa się, że również karmiczne demony, czyli przypadki zespołu Hashimoto-Appelbauma pojawiły się w tamtym okresie. Podczas wojennego chaosu oraz w epoce Ciemnych Wieków ich istnienie nie było jednak obiektem szczególnego zainteresowania.

Nie rozumiałam wtedy do końca, co ma na myśli fałszywy minoshiro. Gdy teraz sięgam pamięcią do tamtej rozmowy, Bestie i karmiczne demony mogły doskonale maskować swoją obecność w świecie pełnym przemocy, w którym śmierć i rozlew krwi były codziennością.

– Więc twierdzisz, że zaczęliśmy zauważać ich istnienie dopiero, gdy stworzono nasze społeczeństwo? Ale czy to nie jest tak, że struktura naszej społeczności została celowo zaprojektowana w taki sposób, by przede wszystkim zapobiegać ich pojawianiu się? – zapytał ostro Shun.

– Nie posiadam informacji o terażniejszym społeczeństwie, więc nie mogę odpowiedzieć na twoje pytanie.

– Ale odnosząc się do tego, co mówiłeś wcześniej o śmiertelnym sprzężeniu zwrotnym, dlaczego Bestie...

– P-poczekaj sekundę – przerwał mu Satoru poddenerwowanym tonem. – Shun, może ty rozumiesz, o czym mowa, ale my nie nadażamy. Bestie, to coś-tam-Klogiusa, czym one dokładnie są? I czym się różnią od karmicznych demonów?

– Zespół Ramana-Klogiusa to inna nazwa na...

Wszyscy słuchaliśmy w skupieniu, lecz nigdy nie było nam dane usłyszeć pozostałej części zdania.

Fałszywy minoshiro i ściskający go krab tygrysi nagle stanęli w gorących, białych płomieniach.

Instynktownie odskoczyliśmy, patrząc w oszołomieniu na to, co się dzieje. Krab wypuścił minoshiro i próbował ratować się ucieczką. Dziko machając szczypcami, przyciągnął ciało do ziemi, ale nie był w stanie ugasić ognia. Wydał z siebie pisk, przetoczył się na plecy i znieruchomiał.

Fałszywy minoshiro zwijał się w przód i w tył. Jego ciało wydzielalo ogromne ilości gęstej, pianistej cieczy. Wyglądało jednak na to, że płomienie pochodzą z samych piekielnych czeluści i nie da się ich zdławić. Gumowata skóra stopiła się z gorąca i szybko uległa zwęgleniu.

Wtedy coś dziwnego pojawiło się nad płonącym ciałem fałszywego minoshiro.

To była matka, trzymająca niemowlę. Obraz był trójwymiarowy. Patrzyła na nas błagalnie pełnymi łez oczyma. Oddychanie stało się bolesne, a nasze ciała zamarły w bezruchu.

Co zdumiewające, z chwilą pojawienia się obrazu kobiety, płomienie zniknęły. Wyglądało jednak na to, że minoshiro zbyt późno zagrał swoją atutową kartę. Obraz zaczęły zniekształcać dziwne, migoczące linie, a całość pociemniała i ostatecznie nagle zniknęła.

Chwilę później, również fałszywy minoshiro przestał się poruszać. Z jego poczerńałego ciała unosił się drażniący, biały dym.

– Kto...? – spytał ochryple Satoru, rozglądając się po nas.

– Kto co? – zapytała beznamiętnie Maria.

– Widzieliście to, nie? Sposób, w jaki płonął ten ogień był niewiarygodny. Musiał być stworzony przez cantus, tak mi się wydaje. Ale kto to zrobił?

Wszyscy podskoczyliśmy, słysząc dobiegającą zza pleców odpowiedź.

– Ja.

To był ktoś odziany w kapłańskie szaty. Był zdumiewająco wysoki, miał przenikliwe, jastrzębie oczy. Jego głowa wyglądała na świeżo ogoloną, a czoło było usiane kroplami potu.

– To był demon, którego słowa mamią umysł i zniewalają duszę. Musiał zostać spalony, gdy tylko się ujawnił. Co, u licha, wy tu właściwie robicie?

– Płynęliśmy... – Satoru próbował odpowiedzieć, ale zabrakło mu słów.

– Płynęliśmy w górę rzeki Tone, w ramach letniego obozu – dokończyła za niego Maria.

– Czy szkoła wyraziła zgodę na to, byście tak bardzo się oddalili? – Kapłan skrzyżował ramiona, co nadało mu chwilowo bardziej ponury wygląd.

Nie odważyliśmy się na więcej kłamstw.

– Przepraszamy. Nie mieliśmy zgody. Nie zamierzaliśmy płynąć tak daleko – powiedział Shun z szacunkiem.

– Rozumiem. Nie zamierzaliście? Więc dla zabawy uwiązaliście kilka krabów, przypadkowo schwytaście tego demona i zupełnie niezamierzenie wypytywaliście go o Bestie?

Żadne z nas nie odezwało się nawet słowem. Nie było możliwości wytłumaczenia się z tej sytuacji.

– Jestem Rijin, emerytowany mnich, służący w Świątyni Czystości. Dobrze wiem kim jest każde z was.

Emerytowany mnich zajmował najwyższe stanowisko w świątynnej sekcji edukacji. Nagle sobie przypomniałam. Jako zastępca Naczelnego Mnicha Mushina stał tuż za nim podczas ceremonii przejścia w dorosłość.

– Pójdziecie teraz ze mną do świątyni. Nie pozwolę wam wrócić do wioski, dopóki Naczelnny Mnich Mushin nie dowie się, co tu miało miejsce.

– Poczekaj chwilę. Zanim pójdziemy, odpowiedz mi na jedno pytanie – powiedział Shun, wskazując na szczątki fałszywego minoshiro. – Czy wszystko, co powiedział było kłamstwem?

Nasze serca boleśnie łomotały w piersiach, gdy tego słuchaliśmy. Pomyślałam, że nie powinien o to pytać. Tak jak się spodziewałam, Rijin spojrzał na nas z dziwnym błyskiem w oczach.

– Wierzysz mu?

– Sam nie wiem. To bardzo się różniło od wiedzy przekazywanej nam w szkołach. Ale to co mówił, było bardzo spójne.

Słowa Shuna wyraziły odczucia nas wszystkich. W sytuacjach takich, jak ta, szczerść mogła jednak okazać się nienajlepszym posunięciem.

– Złamaliście zasady, przychodząc do miejsca dla was nieprzeznaczonego. Co więcej, zwiodły was słowa demona. To samo w sobie jest śmiertelnym grzechem, ale prawdziwy problem jest znacznie poważniejszy. – Głos Rijina był tak zimny, że zmroził nam krew w żyłach. – Pogwałciliście najbardziej fundamentalną regułę Kodeksu Etyki, ostatnie z Dziesięciu Wskazań: „Nie bezcześć Trzech Klejnotów”. Uwierziliście w słowa demona i poddaliście w wątpliwość nauczanie Buddy. Z tego powodu muszę natychmiast zapieczętować wasz cantus.

Rijin sięgnął do swych szat i wyciągnął plik kartek. Dwukrotnie złożonych półarkuszy z których uformowano kształt człowieka. Położył przed nami pięć z nich.

Głowa i tors kukielki były pokryte dziwnymi symbolami, wyglądającymi na sanskryt. Przypomniałam sobie ceremonię

w Świątyni Czystości, podczas której Naczelny Mnich Mushin tymczasowo zapieczętował moją moc.

Nie – pomyślałam. Nie chcę stracić cantusu. Nie chcę znowu czuć tej bezradności, która towarzyszyła mi dopóki nie ukończyłam Szkoły Harmonii.

W sytuacji, w której się znajdowałam, nie mogłam nawet myśleć o nieposłuszeństwie.

– Zamknę teraz wasz cantus w tych oto figurkach – ogłosił Rijin.
– Zmuscie je, by powstały.

Sprawiłam, że człowieczek stanął przede mną. Oczy wypełniły mi się nagle łzami, które zaczęły spływać po policzkach.

– Shun Aonuma! Maria Akizuki! Satoru Asahina! Mamoru Itou! Saki Watanabe! – Głos Rijina niósł się echem wśród okolicznych drzew. – Wasz cantus został tu zapieczętowany!

Cała chmara igieł, niczym rój karmazynowych os, wyfrunęła z jego dłoni i przebiła czoła, piersi i kończyny kukielek.

– Niech wasze umysły zostaną uzdrowione... Pozwólcie spłonąć waszym żądzom... A ich popioły niechaj powrócą do przepastnej, dzikiej ziemi – zaintonował nisko Rijin, podczas gdy figurki zostały pochłonięte przez eksplozję płomieni.

To wszystko było farsą, niczym więcej, jak zwykłą sugestią hipnotyczną. Nie powinno było sprawić, że utracę możliwość korzystania z cantusu. Zdziałało tylko dlatego, że byłam jeszcze młoda i nie uczyniłam własnej mocy w pełni moją. Teraz mój cantus należy tylko i wyłącznie do mnie. Nikt nie może mi go odebrać.

W taki właśnie sposób próbowałam przekonywać się, że tak jest w istocie. Rijin jednak nie dokończył jeszcze rytuału zapieczętowania.

– Pamiętajcie, wyrzekliście się swojej mocy w obliczu Buddy w Świątyni Czystości. Dzięki jego miłosierdziu otrzymaliście od Naczelnego Mnicha Mushina czystą mantrę, zostaliście natchnieni nowym duchem i przywrócono wam wasz cantus. – Głos Rijina przybrał złowieszczą barwę. – Lecz wy, którzy porzuciliście ścieżkę

Buddy, sprawiliście, że wasze dusze uleciały, a mantry zniknęły. Niech te słowa dotrą do głębi waszych serc. Nigdy już nie przypomnicie sobie swoich mantr.

Wykorzystał w ten sposób coś w rodzaju głęboko zakotwiczonej w naszej podświadomości linki. Wystarczyło jedynie, że za nią pociągnął, byśmy ulegli jego sugestiom, i by mógł kontrolować nasze umysły wedle własnej woli.

Wówczas jednak zadziałało to perfekcyjnie. Mantra, którą zwykle nosiliśmy wyrytą w sercach, wyparowała bez śladu.

Spojrzałam na przyjaciół, poszukując choćby promyka nadziei, ale na wszystkich twarzach gościł ten sam wyraz. Wyglądający, jakby miał się zaraz rozplakać Satoru cały czas kręcił głową.

– Ruszajmy więc – powiedział Rijin, rzucając nam pogardliwe spojrzenie. – Nie ociągajcie się. Musimy dotrzeć do świątyni przed zmierzchem.